

Józef Weyssenhoff.

Puszcza

powieść.



Kijów.

Nakładem Leona Idzikowskiego.

1916.

Puszcza

Józef Weysenhoff.

Puszcza

powieść.

(wydanie podczas wojny,
przejrzone przez autora)



M. Omyńska
F. Simeonowski
25. VIII - 16

Kijów.
Nakładem Leona Idzikowskiego.
1916.



92 126

Gospodarzom i organizatorom puszczy

Hieronimowi i Adeli

Kieniewiczom

w przyjaznym hołdzie składa

Autor.

K-22/79/98477

I.

Wezbrana Ptycz lała się szeroko między leśnymi brzegami; snuła się płynną tkaniną, dzierganą z pasm i węzłów, przez kraj dziko zarośnięty, bez widoku na pola uprawne, ani na ludzkie siedziby. Woda lodowata, świeżo ze śniegów topiona, dyszała zimnym oparem. Las nagi jeszcze, okazywał bez osłon mietliste powikłania sosny, olchy i łyzy, suto podlane wodą, w której mokły liczne zawaly. Przez gęstwinę szarą świeciły jasne pnie brzozowe, tryskające tłumnie z kęp nawodnionych i wszechlas osnuty był mgłą zielonawą, zapowiedzią pory wesolej, a z brzegów rzeki i z pokrewnych jej łęgów leśnych budziła się już blada ruń wodna. Ptaki rozmaite ćwierkały, bąkały i gwizdały po bezmiarach pełnych nadziei.

Aliści ku szczebiotom ptasim zbliżała się, głuszając je, pieśń większa, jęcząca akordem przewlekłym, jak zespół dud organowych. Na zakręcie rzeki ukazało się szerokie czoło ogromnego wodnego płazu o podłużnych, rudych łuskach; na łbie mu stanął pogromca w krótkim kozuchu, w siwej czapie; ciemna jego postać sunęła po wodzie bez ruchu, tryumfalnie. Za dowódcą uwijało się kilku pomocników, odpychając długimi dragami boki snowego węża od mielizn przybrzeżnych. Suną tratwy! Niby to niesie je sama rzeka, jednak ludzie muszą pilne dawać baczenie na prąd ujarzmiony. Zaskrzypiały wiązadła tratw na kolanie, wlały się posłusznie rude kłody we wstęgę rzeki i, połyskując w płaskich przegubach, śpieszą daleko — ku Prypeci.

Oniemiały na chwilę sójki jęły znowu skrzeczeć rozgłośnie, że od starszych kruków słyszały o takich tratwach i ludziach, — a to znaczy niechybnie powrót wiosny. Wysłuchała puszcza tych krzyków zbytecznych, bo czuła sama na zziębniętych członkach lubie przypiekanie skąpego wiosennego słońca, o południu.

A tratwy posunęły się znacznie w dół rzeki i kraj się zmienił po brzegach bardziej nad poziom wody wyniesionych. Cofnęła się puszcza wstecz i w głąb, ustąpiły jej zarosła dzikie i bezładne; twarz ziemi zabarwiła się gładką, zdrową cerą; dęby, przyjaciele i sąsiady siedzib ludzkich, odwieczne, rozstawiły się paradnym, rzadkim szykiem, przez który zamigotała ruń drogocenna, ruń żytnia, karmicielka.

Janko Szlaha, flis naczelny, pomyślał, że tutaj wypadnie przystanąć i kupić, co się da, na obiad: albo kartofli i słoniny, albo ryby, bo widać na brzegu rzeki rybaka przy wędzierzu, a i kosz ma przy sobie, zapewne nie próżny. Ogień też przyjemnie rozłożyć na suchej polanie, uwarzyć coś ciepłego ku ucieście gęby, odpocząć od ogarniających zadumą lasów, od przenikliwych aż do duszy wyziewów rzeki i bagien.

Jakoż przybiły tratwy do brzegu, kierowane przemyślnie drągami i sterem, żeby przód nie utknął nadto w muły brzeżne, a prąd nie zawinął ogona pomostu wpoprzek rzeki. Żwawo ogrodzili chłopcy tratwy drągami, zahamowali — stanęły. Ciżba falek, zbyt długo dzwigająca belkowe ciężary, wymknęła się teraz z pod nich, ciurkając ulgą i jakoby śmiechem. Wam tu, pasibrzuchy, wylegać się i popasać — nam płynąć tylko i płynąć! I nigdy już nas nie dogonicie...

— *Zdarou, Halimon* — odezwał się Szlaha do rybaka po białorusku.

— *Zdarou Januk* ¹⁾ — odpowiedział rybak, nie powstając, podnosząc tylko przyjaźnie oczy na flisaka.

Znali się oddawna, ale widywali się pono raz tylko na rok, kiedy wezbrana Ptycz przynosiła razem z kłódami — Janka. Patrzyli teraz na siebie uważnie i wesoło, miarkując, że nie zmienili się od przeszłego roku. Halimon był płowy i chuderlawy, mało upasiony przez skąpą ziemię i przemysł swój rybacki; zato „Janko“ wyglądał raczej na rozrosłe wodne Janisko, dumny w chytrych oczach, przysłoniętych ściągniętymi ku policzkom powiekami, ukłaczony na twarzy czarnym zarostem, jakby zawsze obmokłym.

— Jakże tego roku? ryba jest?

— Idzie pomalenku, idzie...

— Ta w koszu pańska, czy twoja?

-- A już tak, jak wszystko teraz u nas — niczyje.

Szlaha bystro wpatrzył się w zatęsknioną twarz rybaka, zamyślił się, przypomniał — zrozumiał. Rzekł wreszcie, ni to pytając, ni twierdząc:

— Stary Kotowicz umarł...

— Kiedy to! — westchnął Halimon — pięć lat!

— A młodemu nasz chleb nadto czarny — sarknął flisak pogardliwie.

— Bój się ty Boga, Januk — rozgadał się rybak — jaki tu czarny chleb?! Za nieboszczyka marszałka kucharze codzien wołowinę w rosole gotowali, a od limonów aż się w kuchni złościło — ot jak było! I cóż to? Turowicze nie starczą na pańskie jedzenie? Przy samym

¹⁾ Wyrazy lub zdania po białorusku w druku odznaczone są *kursywą*. Nadto w odezwach ludzi miejscowych pozostawiono umyślnie dużo zwrotów niepolskich. Autor odpowiada za czyistość polszczyzny tam tylko, gdzie przemawia od siebie. (Przyp. autora).

tym folwarku dwieście dziesięcin ziemi ornej i jeszcze ze dwieście wykarczowane w puszczy... Aa?...

Halimon przerwał, miarkując, czy pognebił flisaka wyliczeniem bogactw dziedziców, którym służył od dziecka. Ale Janko nie dziwił się, bo, wędrując po świecie, widywał znacznie jeszcze większe państwa. Zapytał znowu:

— A lasu dużo u was?

— Lasu... jest — odpowiedział rybak niedbale — jedni mówią: piętnaście tysięcy dziesięcin, drudzy: dwadzieścia pięć. Dawniej tego nie liczyli, ale dzisiaj już i drzewo swoją cenę ma...

— Ho, ho! — zaśmiał się Janko, obeznany z ceną towaru — tylkoby te dęby spuścić, byłyby grosze.

— Nawet i nie rąbią — objaśniał dalej Halimon — smołę pędzą; cała to u nas w lesie robota. I komu tu dobra przysparzać? nikt u nas nie mieszka!

— Tak on durny chyba, wasz dziedzic?

— Bóg jego wie, jaki. I nie znamy jego. Dwa, trzy razy ja jego na oczy widział; człowiek do naszych niepodobny, chudziutki, jak łuczywo; butów porządnych nie obuje, tylko po lesie w pończochach *ryska*, jak baba. Taki on!

Ogień, podsadzony pod kupę chrustu, zaczynał prażyć surowe gałęzie, skarżące się bolesnym trzaskiem; dym siny, obfity, wystrzelił obłokiem i powłókł się z wiatrem, przekreślając pnie dębów mgłą wonną i gorącą, do której pokwapili się z trawy zziębnięci flisacy.

— Chleb *majesz*, Halimon? a suchy?

— Suchy, *suchoputny* — chwalił się rybak — wraz przyniosę.

— No i sława Bogu!

Jeszcze nie powrócił rybak z niedalekiej chaty, jeszcze ogień nie zwyciężył surowizny chrustu, kiedy wszyscy flisacy zastanowili się nad niepospolitością dźwię-

ku, który ich trącił lekuchno, wypływając z ogromnej ciszy okólnej, bo i ptaki umilkły na południe. To jeden, to drugi flisak mrugnął przebiegle, palec wznosił do góry na znak baczności... aż słuchali już wszyscy... I bez słów porozumieli się łatwo, że w oddali jęczy dzwonek poczty konnej. Skoczył jeden młody do wizówki przerzedzonej między dębami i dającej widok w głąb kraju, na przypuszczalną drogę — wypatrywał długo i nie mógł nic dopatrzeć. Aż Janko — dowódca przypadł do ziemi, przyłożył do niej ucho i, wysłuchawszy pilnie podziemnego telegrafu, oznajmił:

— Czworką albo i sześciórką jadą — ziemia dudni, jak pod tabunem.

Dzwonek zbliżył się nieco, siekał teraz wyraźnie taktem kłusa; kierunek pojazdu miał ukośne ciążenie ku Ptyczy, zdążał widocznie główną drogą do Turowicz.

Wtem Halimon, zdyszany od pośpiechu i wzruszenia, z bochenkiem chleba i garnkiem w rękę, dopadł flisaków.

— Jadą do nas! pocztową kolasą pany jadą!

— A kto taki? wiesz? widziałeś?

Halimon głowę wtulił w ramiona, rozczapierzonemi rękami tłumaczył się z niewiadomości, ale twarz jaśniała mu radością i nadzieją.

— Tak czegoż ty cieszysz się, *koli nie znajesz?*

— Zawsze to ludzie... i do nas!

* * *

Pocztowa landara, umorusana w błocie, najeżona tu i ówdzie zadrami, jak dzik, który dopiero co prze-
darł się przez gąszczary, stanęła przed podjazdem dużego, drewnianego domu. Czworka koni zdrożona zatrzy-
mała się bez wszelkiego wysiłku woźnicy, bez parsknię-
cia na dobrą wróżbę. Nikt też nie witał od przodu, żaden

nawet pacholek nie pośpieszył z pomocą gościom przy wysiadaniu. Jeden z podróżnych powodził zmęczonemi i gorączkowo błyszczącemi oczyma po ciemnym froncie dworu, po trawniku nie oczyszczonym z zimowych nawalów... wreszcie westchnął, a raczej parsknął pogardliwie. Od gorzkiego namysłu oderwało go spostrzeżenie, że jego towarzysz drzemie, zasunięty w kął powozu i, znużony spokojem, układa się jeszcze wygodniej do snu na dobre.

— Kamil!... Dojechaliliśmy...

Z pod daszka czapki błysnęły oczy niebieskie, mętne, niby pijane — Kamil wyprostował się szybko i ochoczo.

— Patrzajcie! myślałem, że to dużo dalej...

— Kto ma takie, jak ty, zdrowie, dojechałby drze miąc aż na Syberyę.

— Nie dogaduj mi do zdrowia, Edziu, bo gotówem zachorować. I cóż? wysiadamy?

— Nie widzę nic lepszego do zrobienia, chociaż nikt się nie rzuca na nasze przyjęcie. Uprzedziłem cię, że to dzicz odludna.

Edward Kotowicz, siedzący od strony dworu, zaczął otwierać drzwiczki landary, których kłamkę obluzowaną umacniał dla pewności sznurek dodatkowy. Sznurek był gdzieś tak misternie zaczepiony, że Edward, po chwili poszukiwania, wywalił drzwiczki nogą i wysiadł. Podążył za nim Kamil Werda, ostrożnie stąpając po niegracowanej ziemi, aby nie zabłócić żółtych trzewików, do połowy przykrytych jasnym sukniem.

Przystanąłi na schodach przed zamkniętymi drzwiami. Kamil rozejrzał się po froncie domu i rzekł wesoło:

— Styl niby... szwajcarski. Czy to dawno budowane?

— Kiedyś... mój pradziad. Rudera niemożliwa. I tu mi radzą mieszkać!

— No tak... domek potrzebuje trochę... tego. Ale co tu za powietrze! czujesz?

— Co mi tam! Nie samem powietrzem żyje człowiek...

Tymczasem drzwi wchodowe otworzyły się powoli i w progu ukazał się człowiek stary, lecz mocny, osyty sprawnie szarym samodziałem z zieloną wypustką, w wysokich butach. Nie wypatrywał długo, poznał odrazu pana bystremi, przymkniętymi oczyma i w pas się uklonił...

— No, przecież znajoma dusza! — poznał go i Kotowicz. Moroz! jak się masz?

— Pomaleńku... a wielmożny panoczek zdrow?

Stary ujął dłoń Kotowicza i do ust przycisnął namiętnie. Na Werdę rzucił tylko okiem, jak na przedmiot dodatkowy i obojętny.

— Prowadź-że nas, Moroz, do naszych pokojów. Pan Juchniewicz odebrał przecie mój list!

— O wysokim przyjeździe nastąpiła wiadomość, ale godziny my nie wiedzieli. Tak jednak wszystko gotowe. Obiad wielmożny pan każe sobie podać?

— Owszem. Mój przyjaciel, pan Werda, pewnie także głodny? zwrócił się Edward do towarzysza, chcąc go ubocznie przedstawić staremu strzelcowi.

Ale Moroz kiwnął tylko głową pobieżnie, jakby chciał powiedzieć, że może być i taki dopuszczony do pańskiego stołu. Poczem rzucił się do zdejmowania płaszcza z ramion Edwarda, ale gdy i Kamila nadstawił mu swe plecy, Moroz nie ruszył nawet ręką, tak, że płaszcz Kamila, strząśnięty z ramion, a nie przytrzymany, upadł na podłogę. Gładki zawsze Werda sam go podniósł i powiesił na kołku.

Przyjaciele weszli do pokojów ciekawych, jak każde stare gniazdo ludzkie, ale niczem nie przypominających miejsc, które jeszcze trzy dni temu zamieszkiwali ci wy-

tworni panowie, współnicy różnych uciech, a nawet dramatów, od lat co najmniej dziesięciu. Teraz jechali prosto z wybrzeży morza Śródziemnego przez Paryż. Nagle przenieśli się w kraj i wrażenia, które nie były im wprawdzie obce, bo urodzili się na Litwie i czasem do niej wracali, ale te zapadłe, odludne strony przejmowały ich odrazą, jak obowiązek wbrew przeciwny pokusom i upodobaniom. Każdy po swojemu utyskiwali na los: Edward tragicznie, Kamil żartobliwie.

— Jaki tu zapach pleśni w całym domu — narzekał Edward.

— Nie powiem — pocieszał go Kamil — pachnie trochę śpichrzem, jak stara wódka. Pewno jest gdzieś starka w pobliżu?

— Poczekaj... pamiętam, że chwalono starą moją ojca. Może jej całej starzy nie wytrąbili?

Trzeba było odszukać Morozą, który się oddalił. O dzwonieniu na służbę nie mogło być mowy, bo starożytnie dzwonki nie działały. Wołali, klaskali w dłonie, aż nareszcie poszli do kuchni, gdzie znalazł się Moroz i — co ważniejsza — klucze przy nim od piwnicy, gdzie dojrzewały pękate beczki i omszałe butle złotego płynu.

Gdy Moroz przyniósł butelkę, czarny chleb i masło, Kamilowi zabłysły oczy weselem życia, a gdy skosztował, zaszyły mu rosą rozrzewnienia.

— Cudowności, słowo honoru! Przypominają się najlepsze koniaki. W Paryżu sprzedawaliby to po pięć franków kieliszek. Spróbuj tylko, Edziu.

— Nie; wódki nie pijam; rozdrażnia mi nerwy.

— Mnie także, ale tymczasem miło się napić na frasunek.

Nalał sobie drugi kieliszek i cedził wódkę przez przymknięte wargi, jakby ją całował.

Tymczasem nadjechał z kuframi służący Karol, któ-

remu zaraz polecono nakrywać stół do obiadu. Jednak obiad nie udał się tak dobrze, jak starka: kwaśna zupka z kaczką zatłusta, ale jadalna, ryba rozgotowana doszczętnie i ptaki jakieś pieczone.

— To chyba wrony? — sarknął Kotowicz — nigdy nie jadłem takiej ptasiej spalenizny!

— Nie; to muszą być gołębie. Naturalnie! zakochane gołąbki: dlatego trochę schudły.

Służącego zaś, Karola, srodze gorszyło tutejsze barbarzyństwo, zwłaszcza w kuchni. Był to służący prawie z łaski, bywalec po wielkich domach i zagranicą; miał zdanie wyrobione w sprawach komfortu. Pozwolił sobie wmieszać się do rozmowy panów przy obiedzie, a żeby nie być zrozumiany przez chłopca, pomagającego w usłudze, przemówił po francusku:

— „Ci panowie“ nie będą mogli jadać z tutejszej kuchni, jeżeli nie sprowadzi się kucharza, albo przynajmniej inteligentnej kucharki. Gotuje ten sam stary strzelec, który wszystko robi, w kuchni niema stosownych urządzeń, a przypraw nie znają żadnych, oprócz masła, soli i traw miejscowych. Mięsa tu nikt nie kupuje; jedzą tylko rybę i zwierzynę... — odetchnął i zakończył tragicznie: kawy niema w domu!

Edward, aby przerwać tę jeroimiadę, zwrócił się do Kamila:

— Nie będziesz mógł mi podziękować, jak ten stary sybaryta, którego zaproszono na zły obiad. Milczał przez cały czas, aż gdy podano kawę, spróbował jej i odezwał się: „No, obiadek się udał, bo i kawa pod psem“!

Kamil za ledwie na śmiech się zdobył, bo liczył na kawę poobiednią, a już dotkliwie odczuwał brak czerwonego wina francuskiego. W piwnicy, oprócz starej wódki, był tylko węgrzyn i jakieś wina nieokreślone, deserowe.

Jednak, aby smakował deser, trzeba uprzednio zjeść porządnie.

Pomimo to dzień upływał jako tako. Przyjaciele przestali oglądać dom, aby nie stwierdzać dalszych braków wygody i cywilizacji; wyszli na powietrze.

Było im chłodno w tej wiosnie, bo skóra ich nawykła już tego roku do zaperfumowanych, odurzających pocałunków wiosny nicejskiej. Ale kraj był po swojemu dosyć wspaniały i mógł nawet uraczyć zdrowe zmysły. Skoro tylko wyszli za parkan ogrodu, przyjęło ich kwietniowe słońce, nieśmiałe i różowe dziewczym swym urokiem. Na błady jeszcze kobierzec runi żytniej szykowna dąbrowa wystawiła pikietem dęby co najcięższe, nieszumne, radujące oczy doskonałością swych rozgałęzień. A przez pnie ich rzadko rozstawione, za polem, połyskiwała płynna wstęga Ptyczy, nabrzmiałej wiosną, bujnej kochanicy kraju. Siegał aż do dworu bachiczny zapach jej fal roz hulanych; ona jedyna żyła tu dzisiaj w powietrzu nieruchomem, w krainie próżnej ludzi, wśród milczenia zwierząt zaczajonych, lub zaspanych po jej brzegach lesistych.

Towarzysze milczeli także, postępując wolno ku rzece. Powaga przyrody oniemiała zgryźliwą krytykę Edwarda i żarty Kamila. Ale obaj nie dosyć byli prości i zdrowi, aby się tu czuć silnie, jak te dęby, nadziejnie, jak ta ruń, ochoczo do dzikiej gonitwy, jak ta rwąca rzeka.

Gdy do niej doszli i napili się odurzającej woni leśnej wody, Kamil przypomniał sobie, że wypadaloby coś stosownego powiedzieć.

— *Ça a du cachet, cependant* — rzekł magistralnie.

Edward nic nie odpowiedział. Wietrzyk się tylko obruszył na takie gadanie, zaszeleścił w gałęziach, chudo jeszcze i gdzieś tylko omglonych zielenią, a razem przyniósł zdaleka gruby głos gderliwy, nawalny.

— Czy jest tu gdzie wodospad? — zapytał Kamil.

— Zdaje się, że to młyn o parę wiorst stąd; już nie pamiętam.

Niebo miedziane za żywoplotem lasów zwiastowało blizki zachód. Chłód się zaostrzył, zateśniła się kraina. Gdziekolwiek spojrzeć — za rzeką i za osadą dworską — taką maleńką — od krańca do krańca widnokregu świat był zamknięty murem lasów. Kamil rozglądał się wokół i nic już stosownego nie mówił, tylko rozmyślał, jak tu długo jechało się przez te lasy i koleją i pocztą, aby dotrzeć do siedziby w Turowiczach, gdzie niema nawet butelki francuskiego wina, a Bóg wie jeszcze, czego tam brakować może człowiekowi kulturalnemu?...

Edward zaś patrzył na rzekę. Nurt jej mętno-zielony sprawiał dziką świeżość i głuchą muzykę; groza i spokój lały się wezbraną powodzią. Edward uśmiechnął się smutnie:

— Tak muszą wyglądać zaświatowe rzeki, Styx i Lete...

— Sądysz? — odbąknął Kamil.

I skrzywił się, bo nie lubił przypomnień o śmierci, na ziemi zaś wybierał sobie miejsca najpełniejsze słońca i gwaru życia. Ale Edward brnął dalej w melancholię:

— Lekko się zapewne umiera w tym kraju?

— Daj pokój, Edziu! Mieliśmy wcale nie wracać do gawędy o... ostatnich wypadkach, przynajmniej przez miesiąc.

Chwycił się Kamil obiema rękami za wyłogi wierzchniego ubrania i obciągnął je ruchem energicznym, swoim własnym, wyrażającym niby gotowość do wszelkich uciech życia strojnego, balowego, do zapomnienia o wszelkich, mącących radość namysłach.

— Powróciłbym chętnie do twojej „marszałkowskiej“ starki, Edziu. Chłodno przy rzece.

— To wracajmy.



II.

Stary dwór milczał, słuchając narzekania na swe niedostatki, drwin ze swych zalet. Ciepły był przecie i obszerny, gościł przez wiek w swych zrębach pokolenia panów. A, że tam nie zawierał w sobie różnych wymysłów, jak łazienka, albo inne ustronia specjalne—ot wielka bieda! Przez wiek panowie bez tego się obchodzili.

Był tego zdania Moroz, strzelec, klucznik i kucharz „pałacowy“ w jednej osobie, jednak miał uszanowanie dla wymagań marszałkowicza; tylko zachcianki Kamila traktował z pogardą, a nawet nie taił się z wyraźną niechęcią do tego eleganta, jakby mu chciał pobyt w Turowiczach obrzydzić. Werda, człowiek wysokich manier, nie chciał zwracać uwagi na dąsy famulusa, próbował go dobrze usposobić datkiem, ale gdy się to nie udało, wtrącił do rozmowy z Edwardem prośbę, aby mu dano do usługi jakiego młodzieniaszka, który przy tej sposobności niejednego się nauczy. Karol, kamerdyner, poczuwał się tylko do dyrygowania służbą: był zresztą na miejscową gospodarke mocno oburzony, uważał ją za barbarzyńską, klócił się już z Morozem, który nie wypuszczał z rąk kluczy od piwnicy i od spiżarni. Sam zaś Kotowicz nadto był zadumany i obcy tutejszemu życiu domowemu, aby w niem zaprowadzać reformy. Na upomnienie się Kamila o nowego chłopca do usługi odpowiedział:

— Wybierz go sobie sam, mój drogi, z kuchni albo

z folwarku. Ja ich tak mało znam, jak ty. A Moroz do niczego? co? niedźwiedź?

— Nie powiem... dużo ma typu, charakteru... dużo. Tylko figura trochę leśna—i stary; trudno go formować.

— Ma to być sławny strzelec, majster do losi, do głuszców—rzekł Kotowicz niedbale.

— O! widzisz! osadź go w lesie, postaw na czele łowiectwa. *Grand veneur de Turowicze!* brzmi to ładnie.

— Co ja tu mam urządzać, mój Kamilu?! Dobyc stąd tylko pieniądze potrzebne na zażegnanie kalaputryny... albo nie dobywać—razem ze wszystkim zapaść się; zginać... Niech sobie po mnie rozdrapią Turowicze...

— Aa! tak nie można mówić, Edziu—odrzekł Werda szlachetnie. —Najprzód długi honorowe! następnie... te tam inne. Masa tu pieniędzy leży w lesie. Takie dęby!—a przecie i sośnina coś warta.

— Tak—tłumaczył Kotowicz niechętnie—ale Turowicze zastawione w banku; są zastrzeżenia co do rąbania lasu.

— Phi... to się daje zrobić... Kolacyjka z dyrektorami, układzik z lichwiarzem jednym i drugim... Czasy są antysemityczne, można nastraszyć... Daj mi tylko Turowicze, ja ci to urządzę!

— Kiedy zaraz potrzeba pieniędzy.

— Zaraz?.. poczekaj; jest w salonie kilka obrazków; nawet jeden szkoły francuskiej, wiesz? taka *fête champêtre*. Jabym ci to mógł splawić w Paryżu?..

— Zauważyłem te obrazki, tych szkoda—wyrwało się Edwardowi.

— Ach, ten Edzio najdroższy!—uściskał Kamil Edwarda—pożąda nirwany, a żałuje obrazków! Masz poprostu do życia ochotę, tylko do życia wolnego, z pełnymi kieszeniami, w naszym świecie. Coś, tego... mnóstwo światła, Cygany różną, butelecżka...

— O, nie! — przerwał Kotowicz gorzko i z przekonaniem — wierz mi, że to mi obrzydło, aż do mdłości, aż do nienawiści. To zresztą łatwo porzucić, nie tak, jak inne... omyłki.

Werda podniósł palec ostrzegawczo:

— O tej „omyłce“ obiecaliśmy sobie nie mówić. Ale na przykład, żeby jaki szlachetny krewny—tacy wymarli niestety! — żeby choć lekkomyślny lichwiarz dał ci dzisiaj potrzebną sumę, cóżbyś ty robił, Edziu?

— Właśnie, że nie wiem — odrzekł Kotowicz szczerze i tragicznie — mieszkać tu i beczki smoły przerabiać na kupy miedziaków, to śmierć najgorsza, bez szczypty estetyki. A tam powrócić? niepodobieństwo, najprzód materialne, potem... wogóle niepodobieństwo.

Po chudej, znekanej twarzy Edwarda przemknął niby to uśmiech, ale groźny w oczach ciemnych i gorączkowo błyszczących. Dodał:

— Dlatego przemyślam o najodpowiedniejszym zniknięciu ze świata...

— Wiesz co, Edziu, że to nawet niegościnnie zapraszać mnie na takie rozmowy!

Już kilka dni mieszkali przyjaciele w Turowiczach, ale ani jeden, ani drugi nie nabierał ochoty do przyszłości swojej w tem zaciszu. Edward miewał narady z Juchniewiczem, beznadziejne, bo rządca rozumiał tylko *status quo* w gospodarstwie, a o zrealizowaniu doraźnym ogromnych sum potrzebnych mówił, jak o bajce. To znowu Kotowicz zamykał się sam w pokoju, robił zapewne rachunki, pisał listy, a może nawet testament.

Kamil zgodziłby się łatwo na taką willegiaturę, bo całe życie spędzał właściwie w gościnie u bliźnich—lepiej lub gorszej—gdyby miał tu przynajmniej zadowolenie fizycznego dobrobytu. Przypominał sobie miesiące, spędzone na wsi u możniejszych przyjaciół, którzy po-

siadali albo plac tenisowy, albo bilard, albo wyborną stajnię, wszyscy zaś dobrą kuchnię i ponęty towarzyskie pań domowych. Tutaj brakowało tego wszystkiego. Nawet porządnej łódki nie było na rzece, same tylko rybackie, niebezpieczne *duszehubki*. Oprócz spotkań z Edwardem przy stole jadalnym, nie dosyć rozkosznym, pozostawałaby partyjka w *écarté* lub w pikietę, z którego to przemysłu miewał Kamil stały dochodzik od przyjaciół, ale Edward, po niedawno przegranych wielkich sumach, nabrał takiego obrzydzenia do kart, że nie chciał ich brać do rąk. Doświadczenia życia nie zawsze łatwego wyrobiły w Kamilu stoicyzm, równość humoru i delikatność manier, któremi opłacał uprzejmości świadczone mu przez bogatszych przyjaciół, ale te zalety towarzyskie nigdy nie zostały wystawione na cięższą próbę, jak w Turowiczach. Z rozpaczy wziął się Werda do czytania; skończył romans „wagonowy“, który miał z sobą, potem zaczął szukać po szafach, gdzie było sporo książek zapyłonych i niemodnych. Pewnego dnia wynalazł „Listopad“ Henryka Rzewuskiego i w nim odkrył zamach na Stanisława Augusta, w listopadzie roku 1771-go, co mu dało sposobność rozwodzenia się przy wieczerzy o rewolucjach wogóle, a specyalnie o zamachach na życie osób koronowanych; o spisku 1771-go roku dowiedział się dopiero co, ale o ścięciu Karola I-go w White-Hall i Ludwika XVI w Paryżu wiedział już dawniej.

Edward nie słuchał, nie odpowiadał, był fatalnie smutnym towarzyszem. Kamil przebaczał mu ze względu na przygnębiające wypadki. Zresztą dla Edwarda, jako dla dawnego i cennego przyjaciela przybył tutaj Kamil, poświęcił się.

Dopiero zdarzenie dość pospolite rozproszyło na parę godzin ponurą zadumę Edwarda i regularną nudę Kamila. Po obiedzie, lepiej udanym, niż poprzednie, przy-

jaciele skosztowali jakiegoś wina, które okazało się wybornym maślaczem, wypróżnili butelkę i tego sobie podpili.

Chociaż otaczała dwór noc pochmurna, stało się tak, jakby zapanowała nad światem sztuczna, przenikająca radosnem zaufaniem do życia, pogoda. Zapadły się gdzieś mroki i bole, znikły tragiczne trudności, puściły więzy postanowień i zakazów. Przyjaciele rozmawiali gorąco o „niej“, o tej, która była samym rdzeniem dramatu, szarpiącego duszę Edwarda.

— Ona ciebie jednego naprawdę kocha, Edziu. Słowo honoru... no, słowa dać nie mogę za nią, ale wierz mi: ona cię kocha...

— Po co ty mnie tumanisz, Kamilu? Nie jestem dzieckiem, anim pijany. Gdybym nawet w to wierzył kiedyś, to bym stracił wiarę teraz, gdy tak sobie ze mną postąpiła.

— Przesadzasz, Edziu! Cóż tak straszego w tem jej wyjeździe? Wyjechała z mężem.

— Drwisz chyba, Kamilu? Ona wszędzie jeździ z mężem. Ale dlaczego powlokła za sobą tego Sanchez Toledo, tego przybłędę?!...

— Sanchez Toledo?... bardzo dobra rodzina. A pojechał za nią?... no, bośmy się wszyscy trzymali w jednej paczce. Myśmy wrócili do kraju, on pozostał — to naturalne.

— Et, gadasz! Wiedziała przecie w jakie ja wpadłem tarapaty, wiedziała jeszcze więcej... I wyjechała na przejażdżkę po Hiszpanii, bo ją namówił ten markiz! To niegodne!

— Prosiła nas przecie, żebyśmy razem jechali.

— Jakże, skoro musiałem powracać do siebie? Mówiłem jej o tem.

— Nie skombinowała, Edeczku. Ona jest niepraktyczna, nie widzi ziemi, po której stąpa... „wygnanka z

— To coś nowego. Jak to: z jej powodu?

— Związek nie matematyczny, ale psychologiczny. Zrozumiesz mnie, Kamilu. Jak wiesz, grałem ciągle i nieszczęśliwie, trochę dla uśmierzenia gorączkowego nastroju, którym mnie ta kobieta od początku naszej znajomości przejmowała, trochę i dla zyskania pieniędzy potrzebnych na takie szalone życie. Wiesz, ile kosztuje codzienna uczta i dogadzania fantazyom kobiety, która nie ma pojęcia o cenie rzeczy?

— Tak, tak — kiwał głową Kamil, umyślnie, czy przypadkowo szczery — życie na Rivierze jest drogie, gdy się z kieszeni za wszystko płaci...

— No właśnie. Ostatnia schadzka z Teo doprowadziła mnie do szaleństwa nerwów i pomysłów. Wdałem się w tę partię milionerów: albo im wydrę takie sumy, które mi dadzą absolutną swobodę działania, podróżowania, olśniewania tej dziwnej kobiety jakimiś pomysłami z bajek, albo... Co prawda, nie przewidywałem, że się zgram tak do naga. I te przygrze idyotyczne przesady! Zdawało mi się, że ponieważ jestem nieszczęśliwy w miłości, więc muszę wygrać. Pięknie się to sprawdziło!

— Bo też ty wcale nie jesteś nieszczęśliwy w miłości, Edziu! Tak ci się tylko zdaje. Czyżby ona na przykład pokazała się komu tak, jak tobie, w tym tańcu? Pomyśl Edziu! Każda kobieta kocha po swojemu.

— Ta kocha... okrutnie, w każdym razie — westchnął Kotowicz, a twarz zbiedzoną skurczył tak boleśnie, że się Werdzie zebrało na rzewność i rozplakał się.

To znowu rozśmieszyło Edwarda i przeprowadziło Kamila od łez do śmiechu. Pili i śmiali się na stypie pogrzebanego wesela.

III.

Jakby kropla jadowitego kwasu spadła na gładką powierzchnię poleskiego życia i zakipiała na niej, pozostawiając rdzawą plamę, — powrót do niebezpiecznych wspomnień zamącił niejaki spokój, który zaczynał ogarniać Kotowicza. Już się był zawział do wybrnięcia choćby z bagna finansowego, majaczyła mu już w przyszłości pożądana chwila, gdy wolny od utrapień pieniężnych, będzie mógł pójść stąd albo w świat, albo w zaświat. Planując swe wyzwolenie, ani myślał o żałowaniu straty ponurych Turowicz; sprzedałby dęby i resztę puszczy i ziemię i rzekę — możeby z domu zabrał tylko parę ładniejszych sprzętów i obrazów. Chociaż... poco mu i to, jeżeli nie wie, gdzie i dla czego ma żyć? Gdyby przynajmniej operacja zamiany tych włości na złoto łatwa była i szybka! Ale trzeba tu starań, układów, żmudnej i wstrętnej pracy, aby dojść do wyniku oczyszczenia się z długów i z zarzutów niewypłacalności. A potem co? Gdyby mógł liczyć choć trochę na serce Teo! Wtedy waliliby na kupę wszystko, co jeszcze posiadał cennego, samby rąbał ten las, aby utorować sobie drogę do niej! Ale ona opuściła go właśnie w chwili jego rozpacz; odjechała nawet nie jak zwykły bliźni, który, idąc swoją drogą, mija przyjaciela, rzucając mu drobną jałmużnę współczucia — ale zerwała się, znikła bez tłumaczenia. Wesola zagadka!

Kotowicz nie był bynajmniej niedołągą. Uczył się

dobrze w wieku młodzieńczym, podróżował nie bezmyślnie; z kultury obcych narodów przyswajał sobie nietylko pozłote, lecz i pożyteczne zasoby na przyszłe swe obywatelstwo. Ale nadmiernie wrażliwy i głodny użycia, po ścisłej ferule w domu rodzicielskim, hodował w sobie kiełkujący kosmopolityzm, który jest najpospolitszą u ludzi możliwą formą egoizmu. Rodzinny kraj był mu starą macierzą, zasadniczo szanowną, ale nudną i obyczajem niepokrewną. Związki jego z ojczyzną rozluźniły się jeszcze bardziej, gdy rodzice umarli, najprzód matka, potem ojciec. Od pięciu lat był więc dziedzicem włości, mniej zaś tradycyji rodzinnej, która się streszczała od pokoleń w oświeconem domatorstwie. Nauka jego w szkole średniej i wyższej nie przygotowała go specjalnie do gospodarstwa, które miał objąć po ojcach, rozbudziła w nim tylko zmysł spostrzegawczy i estetyzm — a łatwe życie poniosło go na bezdroża. Włóczęga po miejscach urządzonych dla przeżuwania dobrobytu, ciągnęła kąpiel w zaraźliwym przepychu, wesola a krwawa walka o złoto to wszystko znużyło go i wyczerpało. Ale kobieta! Ile mu już zabrała życia, a przecie jej nie miał dosyć, co gorsza — nie znał do woli.

Czyniąc obrachunek życia tu, na poleskiej pokucie, Kotowicz zastanawiał się nad tem, co go tak przemożnie pociąga do Teo, tej kobiety wyjątkowej, czy potwornej? Piękność jej fizyczna jest rzeczywiście niezrównana — paraduje też nią, obnosi ją po świecie, okadzona perfumami i holdami mężczyzn. — Te osłony tak sztuczne, że uwydatniają nagość dziewczęcą, a przecie już trzydziestoletnią! — ta tęsknota oczu do trudnej bardzo rozkoszy, włosów do rozplotu, całej postaci do uścisków jakby nigdy nie doznanych. Ale czego ona chce właściwie, choćby od mężczyzny? W jakim celu każdego przynęca? Dlaczego nawet w skrajnej poufności tak obca? Polka

przecie, ma blizkich krewnych Polaków, ludzi normalnych, nawet pospolitych.

Polka jest może najbogaciej uposażoną we wdzięki i najzdolniejszą z europejskich kobiet, ale skoro oderwie się od swego gruntu i zapragnie błyszczeć między obcymi, zatracą swą fizyczną i duchową indywidualność, staje się literackim typem skrajnych potworności samicych. Najłatwiej zaś przerabia się na tę francuzkę, która we Francji jest wyjątkiem, na tę drapieżną ladacznice znaną Europie z nieprawdziwych powieści.

Gdy tak analizował psychikę Teo, Edward poił się nieznośną goryczą, trucizną, która mu odejmowała chęć do życia. Bo gdyby mógł ustalić jako pewnik, że ona niegodna kochania! Ale może to tylko pozory, maskarada zastosowana do ciągłego karnawału, w którym ona żyje? Wyrwana z wiru i ulaskawiona, dałaby może ciche, wyłączone, a wtedy jedyne na ziemi szczęście. — Wspominał chwile dobrych z nią porozumień, ale tak rzadkie przez rok już bliższej znajomości, że przepadały w ogólnym wrażeniu namiętnego niedosytu. A teraz fakt, że mu w nieszczęściu nie okazała nawet zimnego współczucia, że odjechała, zapewne z innym?!

Wzdrygał się znowu i myślał o śmierci.

Miał jednak dopiero trzydzieści i parę lat. Choć zmęczony do ostateczności, czuł instynktowo nakaz życia w swym organizmie pobudliwym na fale wiosennego eturu. I automatycznie, pomimo rozpaczliwych namysłów, brał się tutaj do zajęć normalnych, wskazanych przez rozsądek, jak zapobieżenie ostatecznej ruinie.

Rządca Juchniewicz wszedł dzisiaj do gabinetu dziedzica krokiem stanowczym, zapowiadającym coś niezwykłego. Zauważył to zaraz Kotowicz i zapytał:

— Cóż? wynalazł pan jakiś sposób zrealizowania znacznej sumy?

Juchniewicz pogładził długą, kacapską brodę.

— Należć, to ja nie znalazł, bo i czort nie najdzie. Za tysiąc rubli bieda, a gdzie takie „rojalizowanie“! — Jest sposób inny.

— No? — jaki?

— Ot, był ja w mieście, napadli mnie żydki. I skąd do nich przychodzą te słuchy? A to, że u nas pieniądze szukają, a że i goście z panem w Turowiczach, a jeszcze, że pieniądze trzeba i na karciszki i na dziewczynki...

— To nie do rzeczy — przerwał niecierpliwie Kotowicz.

— Jaż nie mówił, że tak! Jaby żydu kości połamał, kiedyby on na pana czekać ośmielił się. Ale coż? młode zabawy.

— Mówmy o interesach, panie Juchniewicz.

— Ot właśnie do interesów ja i prowadzę.

— *Założyć* Turowicze w drugim jeszcze banku, jak u pana projekt był — mało dadzą — a i *woznia*, nie daj ty Boże! Przez rok gotowe nie będzie. Tak jeżeli wraz potrzeba pieniędzy, jeden sposób: sprzedać. Jest kupiec.

Kotowicz nastawił ucha:

— Na całość?

— A już tak... *po planu* — rozmachnął Juchniewicz szeroką łapą — choć i planu niema, ale od między do między.

— Ileż ten kupiec ofiaruje?

— O to tak ja już nie śmiał pytać, nie miawszy pana *rozporządzenia*. *Raz pan* powie: sprzedać, pójdzie robota i szparko.

— Wiesz pan przynajmniej, kto to chce nabyć?

— Wiem — generał Smirnow.

— General?! — zadziwił się Kotowicz.

— *I pełny!* *U niego* w Mohilewskiej gubernji *dacza* poduchowna jest, *tylko co dranna* — a teraz córeczka jego

zamaż idzie — za kniazia, powiadają. Tak młodym ziemi chce się nad rzeką i wielkich lasów do polowania. Powiadają: kniaź *strach jaki ochotnik!* — A generał Smirnow zapłacić może, bogaty on, *na* córce ministra on żenił się swojej pory. On i *czasownię* u siebie pobudował — gubernator i archirej *ekstremnym pojazdem* przyjeżdżali...

Kotowicz słuchał przez piąte dziesiąte, rozważał zaś głównie okazyę pozbycia się jednym zamachem długów, a może i otrzymania znacznej superaty, któraby mu zagwarantowała zupełną swobodę działania. Uda się może nawet dogonić uciekającą Teo, ująć, pozostać z nią na zawsze. — Nagle uderzył go ton gawędy Juchniewicza.

— Pan jest przecie z tutejszej szlachty?

— Rozumie się! *dworzanin* z dziada, pradziada — odparł zdziwiony rządcą, otwierając usta okragło pod nawisłymi ku brodzie wąsami.

— I katolik?

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! — A toż pan naśmiewa się ze starego?

— Wcale nie... chciałem tylko zapytać — No, panie Juchniewicz, do jutra. Wezmę ten projekt pod rozwagę.

Projekt nie był tymczasem udatny, jednak dowodził, że, skoro zdarza się odrazu kupiec, znaleźć się mogą wkrótce inni, odpowiedniejsi. Ale gdzie ich szukać i z czyją pomocą? Juchniewicz nie wydał się Kotowiczowi pomocnikiem pewnym; że zarządza Turowiczami od lat wielu, to jeszcze nie dowód jego samozaparcia — Z natury czynny i przedsiębiorczy Edward czuł się obecnie bezradnym z powodu choroby duszy i wobec nieznanym sfery działania, która mu się wydawała wstrętą próżnią. A bezradność pogorszała jeszcze rozstrój jego nerwów i sumienia.

— Żeby jacy ludzie przyjaźni w pobliżu — dumał — ale gdzie mam takich wogóle po świecie? — Dla moich towarzyszy klubowych, paryskich, a nawet warszawskich, cóżem wart bez pieniędzy? — Tak — z moich szumnych lat pozostali mi tylko: przyjaciółka (!) Teo i przyjaciel (?) Kamil —

Zamyślił się nad tym remanentem życia, od którego boleśnie się oderwał, życia upragnionego, czy przekłętogo? — już sam dobrze nie wiedział. Zestawienie jednak wydało mu się ubliżającym dla pani Teofili:

Bądź co bądź, Teo jest kobietą w wielkim stylu — a Kamil? —

Werda stawał się tu z dnia na dzień mniej potrzebnym, bo nawet tracił wiele ze swych zalet towarzyskich bez podniety gwaru, zbytku i uczy, których tu zupełnie brakowało. Już parę razy zdybał go Edward śpiącego w dzień na jakimś meblu, nad otwartą książką. Potem skarżył się na bezsenność w nocy, wstawał późno, lub o świcie — stracił równowagę przyzwyczajenia. Chociaż wiele mówił o swej namiętności myśliwskiej, nie wybrał się tu ani razu do lasu ze strzelbą, bo rozumiał tylko liczne i wystawne łowy, na których punktem kulminacyjnym bywa śniadanie leśne z damami. Poprostu Kamil nudził się na potęgę w Turowiczach, a Edward czując, że kompan tylko przez poświęcenie tu z nim przyjechał, myślał już o sposobie gładkiego pozbycia się tej ofiary. Ale gładszy ponad wszystko Kamil sam ułatwił porozumienie.

Pewnego poranka zjawił się bardzo wczesnie do sypialni Edwarda.

— Cóż to? — już ubrany? — I mina jakaś promienna?...

— Ja tak zawsze, Edeczku, kiedym zdrów — odrzekł Kamil, obciążając wyłogi marynarki — A dzisiaj zdrów

się czuję, bo spałem dobrze. I miałem zabawny sen — —

— Wierzysz we sny?

— Nie koniecznie. Ale we śnie przychodzą mi pomysły; miewam sny genialne. Posłuchaj — Siedzimy sobie we dwóch z tobą niby tutaj, na Polesiu, jednak w jakiejś knajpie...

— To mniej prawdopodobne — wtrącił Edward ironicznie — dalej zaś już wiem: „mnóstwo światła, Cygany rzna, buteleczka“...

— Nie zgadłeś — przerwał Kamil — właśnie było trochę ciemno, żadnych Cyganów, no — buteleczka naturalnie. — Wtem wchodzi do naszego gabinetu — był taki gabinet — dama w ubraniu podróżnym — Ona!

— Co za ona? Teo?

— Któżby inny? — Tylko widzisz, najmilszy — to nie była właściwie ona, ale jakby jej cień, jej dusza do-praszająca się o przyjęcie — tak, jak to we snach: ona i nie ona.

— I cóż dalej?

— Nic dalej. Ale stąd pomysł genialny!

— Bardzo ciekaw — rzekł Edward kwaśno, niezadowolony z opowiadania, po którym obiecywał sobie przynajmniej coś dowcipnego.

— Rzecz taka: ty Edeczku, zostajesz w Turowiczach, obmyślasz, przygotowujesz — o!

— Co mam przygotować?

— Poczekaj. — Ja zaś wyjeżdżam stąd i sypię prosto... do niej, do pani Teo. —

— Podział pracy bardzo dla ciebie wygodny — parsknął Edward prawie pogardliwie.

— Kiedy mi nie dajesz dokończyć, najmilszy! — Ja też popracuję, i to dla ciebie. Dowiodę pani Teofili, że nikt jej nie kochał i kochać nie będzie, jak ty — bo to i prawda, Edziu — napomknę, że takie uczucie nakłada

pewne obowiązki — o! I za dwa, trzy tygodnie przywożę ją z mężem — którego gubimy gdzieś po drodze — tutaj, do Turowicz!

— Głupstwo! — zawołał porywczo Edward.

— A ja się zakładam z tobą, że tak będzie.

— Spróbuj — dam ci za to... no, zakładam się z tobą o... trzy tysiące rubli.

— Trzymam! — — A tymczasem daj mi trzysta a conto — co?

— A conto?... czego?

— Bo wygram zakład napewno.

Edward zająrzył w oczy Kamilowi, który śmiał się wesoło, prawie poczciwie.

— Mój Edeczku drogi! Znam twoje serce, pamiętam, ilem ci winien... Poczekaj — ilem ja ci winien naprawdę?

— Ach, nie będziemy się teraz rachowali.

— Więc zgoda? — błysnął Kamil oczyma.

— Jak na co. Na twoje poselstwo nie mogę się zgodzić, bo to żart. A pożyczylbym ci chętnie, tylko się muszę rozmówić najprzód z Juchniewiczem, bo teraz każda setka tak mi trudna do zdobycia, jak dawniej tysiące...

— Jeżeli jednak będzie można...?

— No dobrze, jeżeli... Ale jedź sobie do niej, tylko *nie odemnie* — pamiętaj, Kamilu!

— Naturalnie! — odrzekł Werda z nagłą powagą człowieka bez zarzutu — znajdę się tam przypadkiem. Ponieważ bywam wszędzie i przyzwyczaiłem ludzi do mego widoku, nikt się nie zdziwi. I pod dobry jej humor wystrzelę z takim projektem. Ręcę ci, że dobrze zostaną przyjęte.

Edward wzruszał ramionami, opędał się od przypuszczenia możliwości, ale już wchodził w szczegóły przedsięwzięcia:

— Inna kobieta dałaby się na to namówić, ale ona! — może dla kogo innego? — Zresztą, gdyby jej to do głowy strzeliło, wyobraź sobie, coby ona tu robiła! Na co ją zapraszać? na te śmiertelne nudy?

— Co za nudy, Edeczku? — willegiatura oryginalna, pełna świeżości i niespodzianek...

— Jak naprzykład brak wszelkich gabinetów toaletowych — domówił szyderczo Edward.

— Można urządzić — napomknął Kamil dyskretnie. — A te wędrówki po lesie, albo na wodzie, albo konno... Ja ci mówię, że taka wyrafinowana kobieta może się czuć rozkosznie w pierwotności — tak, jak przepitemu człowiekowi smakuje nagle bosko prosta wódka...

— Ładne porównanie!

— Ja tam z poezją jestem na bakier, ale znam kobiety i znam panią Teofilę. Ona szuka rzeczy niebywałych. Czy to nie oryginalne, po hałasie kasynowym, taka sielanka? Miłość w puszczy!

— Bardzo oryginalne, tylko nie w jej stylu. Ona tego nie wymyśli.

— Podsunie my jej. — Ty jej nie doceniasz, Edziu; kochasz ją i masz o niej opinię... no, krótko mówiąc — pod psem.

— To właśnie dramat! — westchnął szczerze Kotowicz.

Tak się spierali długo, a z utarczki zdań wynikły nieliczne pewniki, jak ten, że Kamil otrzyma trzysta rubli: powtórę, że Edward nie upoważnia go do żadnych działań, ale i żadnym nie przeszkadza. Nazajutrz Werda ze łzą wdzięczności i błyskiem obietnic w oku, opuszczał Turowicze „do rychłego spotkania w najmiłszym towarzystwie“.

Na ganku stał Kotowicz, z miną niewyraźną. Za nim we drzwiach Moroz, cały szary z oczyma tylko świecącymi jaskrawym zadowoleniem.

IV.

Dzień łagodnie dyszał mgłą przezroczystą, która od wielkiego zbiornika ponad rzeką rozprowadzała lekką siność po okolicy. W bezbrzeżnej harmonii, która zdawała się ciszą, drgały przeróżne procesy fizycznego życia wszechświata, łacniej zrozumiałe człowiekowi, który nie mieszał tu nich swojej drobnej roboty. Edward, przywykły do gorączki robót błahych, składających zgiełk wielkomięjski, podziwiał twórczą automatyczność wsi i czuł na sobie jej wpływ dobroczynny, bo odprężyła się w nim groza powikłanych namiętności, rozpacz przechodziła w stan głuchego bólu, a nawet zaczynał wdychać coś w rodzaju spokoju. Przyzwyczajony jednak oddawna do życia między ludźmi, znosił samotność tylko do pewnych granic, jak lekarstwo — ale doza była tu stanowczo za duża — nawet głosy folwarku, dość oddalonego i nieruchliwego, nie dolatywały do dworu.

Gdy zabrakło Kamila, Edward zaczął się oglądać za Morozem, w którym przeczuwał przyjaciela. Moroz nie był potulnym sługą; nie kochał Edwarda, jak pies, lecz darzył go, rzecz można, czcią generalną, zasadniczą, którą otaczał zdawna Kotowiczów, dziedziców Turowicz. Wogóle stary zyskiwał przy bliższem poznaniu: powierzchowność miał zajmującą, przyjemną twarz przyjaznego satyra, a jego zalety i zdolności musiały być niezaprzeczone, skoro miał ogólny posłuch i powagę, nieproporcjonalne nawet do skromnego stanowiska.

Kiedy chodziło o stwierdzenie ostateczne jakiegoś faktu mniej prawdopodobnego, odwoływano się do jego nieomyślności:

— Niech sam Moroz powie —

Nikt nie wątpił, że mistrz to nieprześcigniony w skakanii do głuszcza, w wabieniu lub objeżdżaniu losia. Jeżeli kto się ośmielił wyrazić krytykę, mówił co najwyżej, że „Moroz już nie ten, co dawniej“! Ale znowu ta dawność i ciągle trwanie w Turowiczach, w lesie i we dworze, stanowiły także tytuły do szacunku. Kotowicz, obserwując to wszystko, przypuszczał, że w starym strzelcu mieszkać musi jakaś większa myśl, jakaś wola silniejsza, niż w innych osobach, zaludniających Turowicze. Moroz stał na straży czegoś, coś knował — tak mu przynajmniej patrzyło z oczu ukośnych, figlarnych, gdy opowiadał przygody, lecz chytrze mądrych w spokoju.

Kotowicz siedział na ławce przed domem, Moroz stał z rękoma skrzyżowanymi z tyłu. Rozmowa toczyła się o zajęciach wiejskich.

— Tak, jeżeli wielmożny pan sam mówisz, że nie gospodarz, zostaje druga panu u nas zabawa w lesie.

— Polowanie? — tak, lubię myśliwstwo.

— Sława Bogu! — ucieszył się Moroz — sama pora na głuszcza. W ten dzień, kiedy wielmożny pan przyjechałeś, głuszcze grać zaczęli, jak na wiwat panu.

— I jeszcze grają?

— Będą tak aż do Paschy.

— Dużo ich tutaj?

— Kiedyby u nas ich nie było, na świecie wymarliby.

— Hm... możnaby pójść. — Daleko stąd?

— Blisko może być jeden, dwa. A jeżeli już na same *ichnie* królestwo iść, tak wiorst piętnaście przy granicy z panem Oleszą.

— No, to moglibyśmy zdążyć jeszcze przed wieczorem — rzekł Kotowicz dosyć obojętnie.

Ale Moroz utkwiał zdziwione, mrugliwe spojrzenie w Kotowicza:

— Sam panoczek chcesz zasadzać?

— Jak to „zasadzać“? Nie rozumiem.

Moroz zastrzygł powiekami dwuznacznie, tak, że trudno było zgadnąć, czy drwi, czy się rozrzewnia.

— Tak wielmożny pan może i nie byłeś ni razu na tokach?

— Przyznaję się, że nie byłem — odrzekł swobodnie Edward.

— Najlepszego smaku pan nie znasz — wydeklował Moroz z przekonaniem.

— No... zobaczymy. Więc jakżeż się to robi?

— A ot jak: pójdę ja w las na wieczór i dwóch, trzech głuszców panu zasadzę... znaczy się: upatrzę, gdzie one zapadły. A przed świtem ja już panoczka doprowadzę do samej tej gałęzi, gdzie on siedzieć będzie.

— To trzeba wyjechać stąd w nocy?

— Wiadomo! zaraz po północy — inaczej nic nie będzie.

Kotowicz namyślił się.

— Pojedziemy jutrzejszej nocy, bo dzisiaj mam dokończyć rachunki.

Strzelec skłonił się:

— Słucham.

A potem dodał, rozglądając się po niebie i mlaszcząc ustami, jakby smakiem próbował powietrza.

— A dzisiaj miękko, noc do-obra będzie! Jutro może deszcz pójść; tedy oni nie grają. — Do pana Oleszy podesłać możnaby, że na głuszcze jedziem. Biegiem on przyskacze do kurenia — głuszec jemu pierwsza na wiosnę robota!

— Mówiłem już Morozowi, że dzisiaj nie mogę.

— Słucham — powtórzył strzelec z odcieniem rozczarowania.

Zabawił Kotowicza upór Moroza, ale nie chciał od razu cofać postanowienia, więc zaczął wypytywać o rzeczy pokrewne projektowi:

— W jakim wieku jest pan Olesza?

— On-że młody — choć i dwie córeczki w domu chowa.

— Dzieci?

— *Kudy* dzieci! Starsza zaręczona, mówią, a i młodsza już sławna gospodyni. Obie piękne panny.

— Więc ojciec musi mieć co najmniej pięćdziesiąt lat?

— *A Boh jaho wiedaje* — silny on, jak dzik, tak i młody.

Moroz był drażliwy na punkcie wieku. Nie mówił też nigdy, ile sam miał lat. Nie siwy był, trochę wypłowiały, suchy i zręczny. Że był stary, wnoszono tylko stąd, że wspominał bardzo dawne dzieje.

Zagadał ten wywiad.

— A wielmożny pan jeśliby rozporządził, tak młodsza panna — Hrenia jej takie imię — do ognia w lesie przyjechałaby. Ona-że i głuszce i łosie bije — taka zuchowata!

— Broń Boże! — zaprotestował Kotowicz — baby w lesie na polowaniu — kłopot tylko i przeszkoda.

— Tak i ja myślę — zrejterował Moroz — *babionki* dobre, tylko w swoją porę; domowa z niemi zabawa.

Zachichotał i dodał.

— *Dzieuok* u nas w Turowiczach jest pięknych tego roku, że niektóra i za pannę stanie...

To niespodziewane ogłoszenie zadziwiło Kotowicza. Czyżby Moroz chciał mu stręczyć rozrywki, spodziewając

się nagrody? — Ale chciwy nie jest — odmówił przecie przyjęcia napiwku od Werdy. Chyba, że pocziwina tak usiłuje mnie zabawić? — pomyślał Edward i udał, że go zaciekawiła rozmowa.

— Tak piękne, mówisz?

— Sławne — potwierdził Moroz z przekonaniem — Chima... choć ta już z Łaurenem... — szukał w pamięci — ot! Hanna Hanczaryk, dziewczka, jak *ziaziulka*¹⁾.

— Zobaczmy, zobaczmy — rzucił niedbale Kotowicz.

I przypomniał sobie parę twarzy z folwarku, między którymi mogły być i wymienione przez Moroza piękności — samice dorodne, ale przedewszystkiem brudne! Wogóle nie chciał Edward ani myśleć o tego rodzaju zabawach, więc zwrócił rozmowę na inne przedmioty:

— Nie znam ja tych stron; bywałem tu rzadko i już dawno. Pamiętam, jak przez mgłę, że przyjeżdżał do mego ojca pan Sas, wysoki, chudy...

— Jest on — odpowiedział Moroz — na naszej także granicy, niedaleko stąd *żyje* — wiorst trzydzieści. Tylko jemu już do głuszca nie skakać: *chwaroba*²⁾ jemu połowę ciała *pakrucila*³⁾, a taki druga połowa po świecie chodzi — i humor u niego dobry.

Pomimo spółczucia, które budził ten portret, Kotowicz uśmiechnął się.

— W domu tak on jeszcze wesoły — wypić może, *istorji* opowiadać może — tylko już do lasu — nie ten! Nie byłby pan Olesza, tak wielmożnemu panu kompanii blisko niema. — Las wszystko i małe ludzkie w nim siedzą: leśniki i takie. — Wiadomo, jadąc przez noc, i do kniaziów dobierzesz się.

1) kukulka.

2) choroba.

3) pokręciła.

— Do jakich kniaziów?

— Jedne tylko nasze i są — Nieświeżskie i Dawidgródzkie.

— Dawidgródek chyba bliżej? — kombinował mozolnie Kotowicz.

— Choć i bliżej, a kniazie tam nie siedzą i lasu niema.

— Jak to? w Dawidgródku?! przecie paręset tysięcy dziesięcin lasu, jak słyszałem. —

— Taki on i las! — przewróć panoczek broną kołkami do góry, mchu nasadz i wodą podlej — będzie las Dawidgródzki.

Kotowicz mógł ocenić trafność porównania, gdyż, jadąc w te strony, mijał ciągnące się na mile spustoszone lasy wzdłuż traktów.

— I któż jeszcze mieszka w tym kraju? Moroz pewnie znasz i dalsze strony?

— Mało to ja widział panów u pana marszałka, kiedy zjeżdżali się! A i my jeździli daleko polować. — Tylko, że kraj szyro-oki, rzadko prawdziwy pan *popada się*. — Ot Wańkowicze żyją pięknie — i niejeden — Horwaty w Narowli i w Chabnie — Kieniewicz w Dereszewiczach i Bryniowie osobną drogę żelazną dla siebie w puszczy położyli i *brusów*¹⁾ nie sprzedają, smoły nie pędzą, a z drzewa krobki i *parkietnyja padłohi*²⁾ robią. Głuszców u nich i łosi, jeżeli nie więcej, jak u nas — tylko co nasze piękniejsze. A po Ptyczy pojechałbyś panoczek w górę, skąd ona płynie, tak tam dawniej Bykowskie szmat kraju mieli. *Ciapier*³⁾ jeszcze ostały się po nich Russakowicze i inne za Weyssenhoffem; tak tam pani sama gospodarzy, a pan po lasach, po łąkach włóczy się i jak

1) kłoców.

2) posadzki.

3) teraz.

*czuwać*¹⁾, *karcinki*²⁾ maluje. *Jeszczeb'jon* świętych malował, albo choć ludzi — a to błota, łosie, *woron*, *sobak* i *Boh wiedaje, jakije prymiety*³⁾ — taka już jemu ochota. Tamże Czapskie grafy w Stańkowie i Przyłukach, Łęskie w Sule, Tatarachi Chotowie — Woyniłłowicze w Sawiczach, Mokranach i Korytnie — Bulhaki w Dobośni — Wołodkowicze różne... — Tylko do ich wszystkich jednym dniem nie dojedziesz.

Kotowiczowi niektóre z tych nazwisk przypominały znajome twarze, widywane czasem i za granicą. Ale nie nęciła go kompania o dzień jazdy odległa, a naprawdę żadna. Tylko gdy gorzkie wspomnienia obległy go zbyt ściśle, a cisza je rozwijała w zmory, potrzebny był jakiś towarzysz wygodny, nie obowiązujący do ceremonii. Do tego użytku coraz lepiej nadawał się Edwardowi Moroz, który dużo wiedział o świecie i o ludziach i miał swoją filozofię nieomylną w wielkich sprawach życia. Budził nawet zaufanie, jako doradca.

— Kraj strasznie pusty, Moroz! Ani tu co kupić, ani sprzedać.

— Wszystko można — odrzekł energicznie Moroz. — Raz wielmożny pan rozkazałby, ja sam przez noc do miasta podskoczę — na południe już i będzie.

— Dziękuję ci, Moroz; tymczasem nic takiego nie potrzebuję. — Ale sprzedać trzeba...

Strzelec rozszerzył szpary swe oczne, drgające nieustannie, i okazał między powiekami błyski większe, ciemno-żółte, jak kot, którego zbudzono uwagę.

— Potrzeba mi dużych pieniędzy zaraz — tłumaczył Kotowicz — a tu dochodów niema żadnych — tyle co smoły nakapie, albo żyd kupi kilkadziesiąt sąni...

1) jak słyhać.

2) obrazki.

3) wrony, psy i Bóg wie, jakie osobliwości.

— Wiadomo — dumał Moroz — smoła jak była od wieku rubel za wiadro, tak i ostała się. *Szpikanar*¹⁾ z drzewa pędzić — onże droższy z jęgo proszą...

— Widzę, że Moroz na wszystkim znasz się. —

— Słyszę, widzę i w głowie pomaleńku składa się — zamyslił się znowu. — Lasu można sprzedać starego na Dzierczy i na Ciecniukach, wiorst pięć — sześć od dworu, bo i pora jemu — wali się.

— Zamało to i zadługo czekać — odrzekł Kotowicz — tu trzeba dużo sprzedać... może wszystko razem.

Moroz skrzywił się i wypadł ze swej postawy spokojnie narracyjnej; podrapał się w brodę, splunął na bok i, jakby po odrzuceniu ze śliną pierwszych wyrazów zbyt gorzkich, ogłosił tylko dyplomatyczną uwagę:

— Oni wielmożnemu panu źle radzą.

Nie zagniewał się Kotowicz, owszem chciał zbadać, o ile Moroz jest wtajemniczony.

— No? bo co?

— Żydy w miastach tylko kręcą się za tem, kto sprzeda, kto kupi — niechaj pieniądze przelewają się, tak coś i do ich łap przylipnie.

— Słyszałeś, Moroz, o generale Smirnowie?

— Dlaczego mnie nie słyszeć? Żydy kiedy krzyk podejmą, za pięćdziesiąt wiorst słyszno. A generał może i bogaty, tylko takie przywykli darmo brać...

— Ileż myślisz, Moroz, że warte Turowicze?

— Tęgo ja panoczku nie powiem — odrzekł stary sumiennie — tylko że bogactwo w ich jest, kiedy ludzie *ciapier'* na drzewo takie łakome, jak na chleb. A u nas i rzeka i drzewa pięknego...

— To też ja nie chcę sprzedać generałowi... Ale w tej głuszy gdzie znaleźć innego kupca?

¹⁾ terpentynę.

— I nie trzeba — rzekł Moroz szybko, niby żartobliwie, lecz stanowczo — od wieków tu pany Kotowicze siedzieli, daj Boh wiek jeszcze posiedzą.

Nie odpowiedział nic Kotowicz; nie miał zamiaru spowiadać się Morozowi z liczby swych długów, ani z pociągu do innego życia, niż trwanie przez pokolenia wśród puszczy. Że jednak nie okazywał zniecierpliwienia, strzelec wdzierał się dalej w sprawę pana:

— Kiedy panoczku płacić pilno, tak zadatek na dwa trzy tysiące pni wziąć można... albo ot! — samym fabrykę w lesie zaprowadzić, jak w Bryniowie. — Te, którym *przychodzi się* płacić, do zimy, albo rok jeden i drugi poczekają — tylko im wielmożny pan taki przykaz wyda...

— Nie znasz, Moroz, moich interesów, dlatego tak mówisz.

Strzelec nie zmieszał się, choć niby uderzył w pokorę:

— Gdzie mnie, leśnemu człowiekowi, pańskie dzieła znać? — A taki bywało i u nas. Czy jednego żydy zajądali? To i postraszył ich gubernatorem — drugiemu pod drogę żelazną ziemię drogo wykupili — a innemu dał Bóg dobrze ożenić się. Wszystkich ja wiem. A *ciapier'* żyją, jak trzeba.

Kotowicz słuchał tych nauk mądrego i wiernego sługi cierpliwiej, niżby je zniósł nawet od równouprawnionego przyjaciela. Pomyślał, że trzeba zaraz obejrzeć przynajmniej te lasy, które w całości lub w części miały być ratunkiem sytuacji — i zapytał żwawiej, niż dotychczas:

— Czy do granicy pana Oleszy jedzie się na Ciecniuki i Dzierczę?

Moroz wskazał wyciągniętą ręką niezbyt daleki punkt za polami:

- A won tam, kiedy droga przepada, tak wiorst
piętnaście lasem wielmożnego pana jechać trzeba
— I po drodze jest las dobry? budulec?
— Przy Ciecieniukach sam najpiękniejszy.
— To „zasadź“ mi głuszca, jak tam mówiłeś; poje-
dziemy na niego dzisiaj w nocy.
— Słucham — odrzekł Moroz ochoczo i zwyczajko. —
A panu Oleszy przykażesz panoczek podać wiadomość?
— Daj znać i panu Oleszy.
-

V.

Kotowicz miał zwyczaj kłaść się do łóżka dopiero po północy, nie trudno mu było zatem doczekać się godziny umówionej na wyjazd z Morozem. Nie przestraszała go też wcale perspektywa spędzenia na wózku jednej nocy — ileż ich spędził przy zabawach dużo bardziej wyczerpujących!

Gdy wybiła północ, wstał od biurka i zawołał służącego Karola, który podał mu z gracyą ubranie do sportów zimowych, jasno-szare z brązową kamizelką, zielone pończochy i żółte trzewiki. Skoro tylko ubrał się Edward, w przyległym pokoju ukazał się Moroz.

Nie można było odrazu określić, co się zmieniło w powierzchowności starego strzelca. Jeszcze bardziej szary, niż zazwyczaj, był przecie przepasany w biodrach, smuklejszy, prostszy w karku, stanowczo młodszy. Ze szpar ocznych błyskała mu dzika radość, ochota leśna. Skłonił się i rzekł:

— Pora już wielmożnemu panu ubierać się.

Kotowicz spojrział zdziwiony na Morozą, potem po sobie:

— Jestem przecie ubrany. — —

— Nie — zaprzeczył Moroz bez wahania — w domu, jak wola pańska, ale do lasu, na głuszca, tak nie można. Nie doskoczysz panoczek — on czujny, jak jastrząb.

— Więc jakże mam się ubrać? — zapytał Edward, poddając się oczywistej wyższości strzelca w tej materii.

— A ot, jak ja: szareńko, ciemnieńko, jak las.

— No, więc daj mi to ciemno-szare ubranie wiedeńskie — zwrócił się Kotowicz do Karola, który z majestatem pogardą oglądał Moroza.

— I buty trzeba długie. — —

— Daj, Karolu, buty od konnej jazdy, bez sztylpów.

— Nie kazał jasnie pan na wieczór... muszę buty trochę lakierem przeciągnąć.

— Nie rusz! — zawołał Moroz rozkazująco — jeżeli one zapyłone, tak i lepiej.

Karol byłby może nawymyślał Morozowi, którego już nienawidził za brak względów, ale wysoka jego kultura zapanowała nad temperamentem. Nie patrząc na strzelca, zwrócił się do pana:

— Oczekuję *pańskich* rozkazów.

— Słuchajmy już dziś obaj Moroza — rozśmiał się Kotowicz.

Strzelec skontrolował cały ubiór Kotowicza, zalecił mu zrzucić barwny krawat, schować biały kołnierzyk, wybrał najniklejszy z przyniesionych kapeluszy i, gdy wreszcie przebrał swego pana od stóp do głów, wyprowadził go z domu w noc świeżą, jak rzeczna kąpiel, a tem ciemniejszą, że rozdartą w jednym punkcie przez buchający płomień naftowego kagańca.

— Skąd-że to macie taki kaganiec? — dobry — rzekł Kotowicz, biorąc z rąk parobka drąg, na którym kołysała się w widłach zapalona blaszanka.

— Po panu marszałku dwanaście takich ostało się w skarbcu pod moim kluczem — objaśnił Moroz.

Parsknięcie konia pociągnęło oczy Kotowicza w mrok zamglony, z którego wylaniała się małeńka bryczka.

— Panoczek wolisz na prawo, czy na lewo? — zapytał Moroz, wskazując jedyne siedzenie kałamaszki.

— Siadaj, Moroz, na prawo, bo będziesz powoził; ja wezmę w rękę kaganiec; futerał ze strzelbą możemy wsunąć pod nogi.

— Może jasnie pan rozkaże futro na tę... ekspedycję? — zapytał Karol.

— Jak myślisz, Moroz? — zwrócił się do strzelca Kotowicz.

— Można, póki jedziem. Jak pójdziem, zostawim przy koniu.

— Karol! daj też i burkę moją dla Moroza.

— Ej nie! — odrzekł wesół strzelec — las nie poznałby mnie, koliby ja w pańskiej skórze jemu pokazał się. — — —

Zaskrzypiał żwir przed domem — zadudniały bruki podwórza. Tu i ówdzie drzewa przydrożne przekreślały na chwilę mroki oboczne i górne kirem twardszym, rozczapierzonym. Kotowicz schylał instynktowo głowę, aby nie dostać w twarz gałęźmi, które wyskakiwały z ciemności przed oczyma w nieobliczalnem oddaleniu i mijały w lot, jak przyśnione.

Wkrótce kałamaszka wypłynęła na drogę miękką i cichą, niewidoczną wśród zadymionego mrokiem przestworza. Koń widział jednak snadź drogę przed sobą, bo dzielnie posuwał tucznym zadem, lśniącym pod rozczochraną poświatą kagańca.

Kotowicz, przywarty do ramienia Moroza, razem z nim kołysany i podrzucany przygodą fali niewidzialnej, po której sunęła kałamaszka, poczuł się pierwszy raz oddawna, zupełnie zdrowym. Pachnący chłód nocy ożywił w nim przygasłe zalety młodości: nie doznawał dotkliwego naprężenia nerwów, które mu przeszkadzały odpoczywać, nawet w nocy; chłostany po grzbiecie przez drobne, twarde uderzenia bryczki, skąpany oczyma i u-

stami w dzikiej świeżości, czuł się nadzwyczaj dobrze, bezmyślnie i silnie.

— Już las? — szepnął pytająco, jakby się bał spojrzeć milczący nastrój oczekiwania czegoś w spisku z nocą.

— Taki on i ostanie się z nami aż do miejsca — odpowiedział Moroz.

Bo ciemność zwarła się i przystąpiła bliżej do drogi. W ruchomej sferze zadymionego światła błyskały różowe pnie bliższych sosen, albo w przestrzeni, zaledwie na sążeń prześwietlonej występowały wielkie, ciężkie plamy — drzewa, czy słupy dymu? — i miały, aby zlać się znowu w gęstwą ogarniającą ze wszech stron, w której tylko wyobraźnia torowała sobie tysiączne ujścia w głąb i w dal. Ustał wśród puszczy wszelki powiew, mgła, nasyciona żywiczną wonią, wydawała się teraz letnią i poila pierś dobrobytem. Edward, który zaziębiał się łatwo w ostatnich czasach i kaszłał, czuł, że mu ta dzika inhalacja uzdrawia i pokrzepia płuca.

Jechali tak długo, milcząc, coraz wolniej, bo bryczka zaczęła skakać po korzeniach, a droga zacieśniła się tak bardzo, że zdawała się tylko krętym tunelem, przebitym wśród nieprzejrzanego gęstwiny przemysłem grubego zwierza. Koń zaczynał stapać ostrożniej i kierować się chwiejniej, aż go Moroz wziął na krótsze lejce, a czasem strofował:

— *Na jakuju chwiarobu ty tam uleż? Kab' ciabie wouk zarezau!* ¹⁾

Poczuł Kotowicz potrzebę jakichś słów otuchy wśród tego mroku, rozdartego jednym tylko mętnym płomieniem, wśród tej ciszy, na której tle ogromnym zaledwie głucho postukiwały kopyta konia po zadarnionym śladzie.

¹⁾ Po jakie licho ty tam wlażesz? Żeby cię wilk zarzął!

— Cóż, Moroz? zasadziłeś guszca? — bom nawet jeszcze nie zapytał.

— Jażby panoczek nie wiózł, koliby nie zasadził. Trzech *majem*, czwarty tylko niepewny.

— O której godzinie one grać zaczynają?

— Nie prędko jeszcze — ot, kiedy noc maleńko przetrze się. A jeszcze nam jechać godzinę i więcej; w nocy nie pośpieszysz.

Podróż stawała się rzeczywiście trudną na uroczyisku zwanem Dzierczą, niższem i bagnistem. Teraz inne porosty występowały z mroku i stawały w poprzek drogi, niby zrujnowane przepłyty z grubszych i cieńszych drągów olszowych, osinowych, grabowych. Czasem prosto przed koniem wytryskał wał dębu, albo jesionu, czasem kilka takich, między którymi kałamaszka przeciskała się mozolnie, utykając na boki, jak karzeł kulawy przez nieustępliwy tłum olbrzymów. I pod kołami zaczęły chlapać rozgłośnie szerokie kałuże o dnach podejrzanych.

Moroz zatrzymał naraz konia, którego zcicha wciąż przeklinał, wysiadł i wziął swą ofiarę za lejce przy pysku.

— Co tam? — zapytał Kotowicz.

— *Tut, panoczek, k'epskowato...*

Strzelec sprowadził konia na bok, Kotowicz zaś opuścił kaganiec, aby dojrzeć, co tam zawadzało. W niższej łunie dojrzał ślad, zwany drogą, spadający w czarną studnię nieodgadnionej głębokości, która jednak napewno mogła pomieścić w sobie kałamaszkę razem z koniem i podróżnymi. Dla otuchy, widać, nazywał Moroz drogę w tem miejscu „kiepskowatą“, zamiast karkołomną. Jeżeli dalej gorsza, albo choćby taka?... — pomyślał Edward z pewnym niepokojem. — Ale pokrzepił go widok Moroza, który, brnąc po kolana, prowadził konia pewnie przez szczerą puszcę, jakby znał poomacku każdą

stopę nieprzejranej powierzchni dołów i garbów, każdą lukę wybijającego przestworu pni i rozkrzewień.

Jakoż wy dobył wkrótce furmankę z manowców; przestała szlochać beznadziejnie przez kałuże, koń parsknął, poczuwszy mech pod kopytami, ucichło — i Moroz jednym gimnastycznym skokiem usiadł na swem miejscu obok Edwarda.

— Tak już *ciapier'* droga widna i niczego sobie.

Widna była dla rysich oczu; zapewne szersza, — bo gałęzie mniej chłostały po twarzy — zapewne suchsza, bo gdy koń przechodził w kłusa, dudniało spodem i po kościach, czasem zaś kałamaszka wyskoczyła w górę czterema kołami i znowu opadała na grunt złośliwy, który zdawał się mocno gniewać za to, że go depce jakiś przyrząd końsko-ludzki nieudolny, zamiast polotnej racicy łosia lub ostrożnej łapy zwierzęcia puszystego.

Podróźni milczeli z paru względów: pochłaniała obu walka z puszczą, wymagająca ciągłego naprężenia uwagi; niebezpiecznie też mleć językiem, gdy go co chwila można przyciąć na jakimś wyboju drogi. Coraz bardziej wyglądały się jednak przeszkody, wreszcie bryczka zaczęła sunąć mszystym szlakiem cicho i równo. Po gruntownem skołataniu ciała w ciągu ubiegłej godziny, Edward poczuł dobroczynne uspokojenie; ogarnął go sen czujny zdrożonego jeźdźca, który bezwiednie już utrzymuje równowagę na siodle, lecz daje się zarazem kołysać wiyom niezupełnie realnym. Pamiętał, że jedzie ogromnym, bezkresnym lasem, lecz dokąd i pogo? — zaczęło się to plątać po mózgu rozkosznie utrudzonym.

Nie dźwięk żaden, lecz zapach go ocucił: niespodziewana woń sosnowego dymu. Spojrzał na Moroza i ujrział twarz jego drgającą satyrycznie w blaskach kagańca, który teraz był w rękę strzelca. Widocznie przeznaczone woźnica zabrał pocichu kaganiec z rąk drzemiącego towarzysza.

— A ot pan Olesza już lulkę kurzy przy ogniu — odezwał się Moroz wesolo — nie sztuka jemu stawić się tu raniej; trzy wiorsty tylko od jego domu i lekkiej drogi.

Przez zwarty częstokół lasu nie widać jeszcze było ogniska, tylko powiew dymu dolatał coraz wyraźniejszy, pociągający do miejsca, gdzie wśród niezmiernego pustkowiecia zapadł człowiek. Błyskała przez drzewa oświetlona pół-sfera, niby różowy namiot rozpięty na zaróżowionych też słupach sosen — i wkrótce odsłonił się obraz oczekiwany. Przy buchającym ognisku stał wysoki mężczyzna, pięknego, myśliwskiego pozoru i pilnie wiercił oczyma ciemność, z której dochodził go turkot kałamaszki. W pobliżu Oleszy stała jego kałamaszka, rodzona siostra turowickiej.

Edward zeskoczył i podszedł do Oleszy.

— Jestem Kotowicz, sąsiad pański. — Moroz, tu obecny, urządził nam tę leśną schadzke — bardzo rad jestem. —

Przerwał wylew uprzejmości, gdyż okazały myśliwy stał przed nim sztywno, nazwał się tylko nawzajem, uchylił kapelusza i milczał, przypatrując się poważnie młodszemu sąsiadowi.

Przystąpiono więc zaraz do łowieckiej treści wyprawy. Olesza zwrócił się do Moroza:

— Gdzie masz głuszce, Moroz? — wszak sam zasadzałeś?

— A won *za toju hradkoj*¹⁾ na suchem — dwa — wskazał strzelec w jednym kierunku, potem w przeciwnym: — na berezie tam jeden pewny, drugi — *Boh jaho wiedaje*.

— To niech pan idzie na te dwa, bo i dostęp łat-

1) „hradka“ (i po polsku nazywana tam „grządka“) pas gruntu suchego między błotnistymi łęgami.

wiejszy; ja polezę w brzezinę — zakomenderował Olesza.

— I dobrze tak — zgodził się Moroz.

Kotowicz uznał, że należy się poddać w tym wypadku przeważnemu doświadczeniu sąsiada i strzelca. Czwarty towarzysz był to młody pacholek, wzięty przez Oleszę do lasu tylko dla noszenia broni lub zwierzyny.

Myśliwi wyjęli strzelby z futerałów i złożyli je. Wypalili po parę papierosów na zapas, gdyż przy dochodzeniu do głuszca nie będzie już wolno palić. Rzadkie padały słowa, wszystkie zmierzające do jednego celu, do którego i Kotowicz nabierał uszanowania i zapału.

— Głuszczyk w brzezinie po tej stronie brodu, czy po tamtej? — pytał Olesza Moroz.

— *Po hetoj, po hetoj* — i drugi, jeśli jest, tak po hetoj — dojdiesz pan lekko. Dobierz się pan do wysokiej osiny, potem na dub wielki, suchy, od duba do berezy, od berezy do czarnego brodu — tylko w jego pan nie leż, a ostawaj się wszystko po jednej stronie — poczujesz.

— Dobrze, dobrze, rozumiem.

Kotowicz wieszował sobie, że pójdzie w las za Morozem, nie tylko za jego trasą hieroglificzną, którą jednak rozumiał Olesza, bywalec, widać, niepospolity.

Olesza oddalił się nieco od ognia, zadarł głowę i przeglądał wierzchołki drzew, pośród których cień nocy może już mdlał w swem natężeniu — może się tylko tak zdawało? — Spojrzał na zegarek:

— Zaraz trzecia — pora już nam rozejść się.

Zaczem wszyscy wyprostowali się, przejęci doniosłością chwili i, wobec rozpoczęcia misteryi podkradów, zaczęli mówić instynktowo ciszej. Moroz podrzucił chrustu do ognia.

— A to na co, kiedy odchodzimy? — zapytał Kotowicz.

— Koniom będzie weselej. —

— I słusznie — potwierdził Olesza.

Kotowicz, widząc, że i pacholek wybiera się w las za swoim panem, furmanki zaś pozostają bez opieki przy ognisku, zapytał jeszcze:

— Nie boicie się tak ich zostawiać pośród lasu? Mógłby przecie kto ukraść?

— *Da tut, panoczek, i nichto nie jeździć.* —

Olesza uklonił się Kotowiczowi w milczeniu; oddał mu podobny ukłon Edward, znał bowiem niektóre myśliwskie przesady i wiedział, że nie należy głośno życzyć powodzenia przed wyprawą. Czterej mężczyźni rozeszli się parami po puszczy, powoli i cicho, jak mary.

Edward stapał za Morozem, starając się naśladować krok miękki i pewny, którym strzelec posuwał swą postać, niby słup gęstszego cienia po wykrętnej drodze między pniami i gałęziami. Dobrze się szło, póki świeciły jeszcze ostatnie blaski ogniska; ale wkrótce mrok nocy nierozdartej, bezksiężycowej, zgęszczony przez nawisłe cienie lasu, stał się zupełnym dla oczu Kotowicza: nie widział, ani nie słyszał przed sobą przewodniego słupa.

— Moroz... gdzie jesteś?... nie tak prędko —

— Da jaż, panoczek, pomaleńku... a *koli nie widzisz, tak dzierzysia* pan za mój kaftan.

Jakoś to nie dogadzało miłości własnej Edwarda, więc położył wyciągniętą rękę na ramieniu Morozu i szedł odtąd pewniej, wyczuwając dłonią zwroty i przechylenia niewidzialnego przewodnika.

— A Moroz widzisz drogę? — szepnął znowu Kotowicz.

— *Jakaja tut daroha?* na niebo panoczek *pobacz* — widno.

Rzeczywiście na niebie czuby i zatoki drzew czerpiły się już na mroku rzadszym, nieruchome, gdyż noc

była bardzo cicha, ciepła sama przez się, a może też ogrzana przez wzruszenia i trud pochodu. Kotowicz wyrwał się do rozmowy, gdyż doznawał wrażeń nowych, po części niezrozumiałych. Moroz sam nie zaczynał, lecz odpowiadał przyciszonym głosem. Widać, że głuszce były jeszcze daleko. Przypomniał sobie Kotowicz zachowanie się Oleszy przy ognisku i znowu zapytał:

— Cóż to pan Olesza rządzi się w naszym lesie, jak w swoim?

Moroz nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami, a ruch ten odczuł Kotowicz dłonią.

— Zresztą wszystko mi jedno; niech sobie dzisiaj komenderuje — zna się na tem.

Ale zadziwiony milczeniem Moroza, dodał:

— Przecie tu mój las?

— Nie, panoczek — odrzekł strzelec niechętnie — przy ogniu my siedzieli na granicy, a *tut* już jego, Oleszy.

Kotowicz stanął i zatrzymał strzelca:

— Któż ci kazał głuszców szukać po cudzym lesie? nie dosyć mamy swoich?

— Zachciał pan przez Ciecierniuki i Dzierczę jechać do granicy pana Oleszy. Gdzie głuszca popadł ja, tam i zasadził.

— Nie mogłeś go u nas znaleźć? nie zapadł żaden przed granicą?

— *A sztoż, panoczek, jon-że nikaho nad saboj nie maje — szto chce, to i robić.*

Argument był tak dobitny, że Kotowicz, już rozba-
wiony, namyślał się, stojąc, nad odpowiedzią. Aż przerwał mu Moroz z wyraźną niecierpliwością:

— Tak pójdziem już? noc uchodzi. —

Poszli więc dalej, milcząc. Trochę już brzask przeświecał i pozwolił Kotowiczowi bez macania prze-

wodnika podążać za nim. Ale grunt, dotąd suchy i elastyczny, stawał się grząskim, aż pod nogami zaczęła pluskać woda i powiało chłodem od większego jej zbiornika. — Moroz zaczął czegoś szukać po ziemi; wynalazł dwa surowe drągi, przygotowane tu zapewne od dnia wczorajszego i podał je Kotowiczowi:

— Oddaj mnie panoczek strzelbę i proszę za mną.

W mroku coraz mdlejącym ujrzał Kotowicz tuż przed sobą dwa cienkie pnie brzozowe, rzucone przez ciemne lustro bagna. Na tę kładkę wszedł Moroz i stąpał po niej biegle, balansując strzelbą i ramionami, jak linoskok. Edward spróbował iść też w równowadze, lecz po kilku krokach utkwil oba drągi w lepkie błoto i stanął.

— Długo tego będzie? — zapytał Moroza.

— Bagna nie mała i nie *wielmi*¹⁾ duża — sażeni trzydzieści. I wpadłszy, nie utoniesz panoczek.

Trzeba było iść dalej, i chociaż kładka nie polepszała się bynajmniej, była nawet jeszcze chwiejniejsza na połączeniach żerdzi z następnymi, Kotowicz nabierał wprawy co sekunda, z nieublaganej konieczności gdyż obrócić się i cofnąć w tej przeprawie byłoby jeszcze trudniej. Nauczył się więc odrazu, że trzeba iść ostrożnie, ale śmiało i nie opierać się drągami o dno bagna, chyba w przypadku zupełnej utraty równowagi. Jednak te sto kroków przeprawy zagrzało Kotowicza aż do potu. Gdy wreszcie Moroz skoczył na suchy brzeg, Kotowicz pośpieszył za nim, pierwszy raz chybił nogą i ugrzązł po kolano w błocie. Strzelec podał mu rękę — wydarł się Edward z lepkich kleszczy bez wielkiego szwanku.

— Tut, panoczek, blisko już; staniam i *poczujem* — odezwał się Moroz przejmującym szeptem.

Stanęli obaj nieruchomi i ciemni, jak dwa pnie na

¹⁾ Bardzo.

sążeń przycięte. Las był około nich znowu sosnowy, młody i śmigły; giętką choinę zapowiedź świtu głąskała bezdźwięcznym powiewem, czuby jej chwiały się lekuchno, jakby potakując solennemu oczekiwaniu myśliwych:

— Będzie on, będzie. — — —

Taka była w powietrzu elektryczna pewność nadzwyczajnych wzruszeń, że gdy Edward utkwiał spojrzeniem porozumiewawcze w twarz Moroz, stary wyga leśny na nieme zapytanie skinął dwa razy głową potakująco, jak te sosny:

— Będzie on, będzie. — — —

Krzyk przenikliwy, jakby zbudzonego ze snu kapryśnego dziecka, rozdarł ciszę. Kotowicz drgnął i zapytał wymownym gestem:

— Co to?

— So - wa — objaśnił niemem poruszeniem warg Moroz.

Stali znowu w milczeniu głębokiem. Budziły się po lesie kształty: drzewa zaczęły się rozbierać ze swych czarnych burnusów i okazywać wdzięki rozkrzewień. Jakieś się pono otworzyły kwiaty, bo powstawały wonie ich wiosenne. Przeciągła cisza zaczęła niepokoić Kotowicza; spoglądał na Moroz, który stał wciąż z półotwartymi ustami, wpatrzony w nieokreśloną przestrzeń, ogólnym pozorem wyrażając bezradną bierność; tylko powieki drgały mu ciągle, znacząc na śniadym zegarze jego twarzy nieustanną robotę wewnętrznego organizmu. Raz poruszył ramionami, raz brodę głośną szybko, jakby odmierzał temi ruchami upływające minuty i kwadranse.

Przyszła nareszcie chwila. Wyplęnęła z oddali tak nieznaczenie, że Kotowicz wcaleby jej nie zauważył, gdyby nie był wpatrzony posłusznie w Moroz. Strzelec skulił się w szyi, oczyma błysnął fosforycznie, chwycił,

jak w kleszcze ramię Edwarda i wyrzekł szeptem przenikliwym, rozmiłowanym:

— *Hraje!* — — — (gra!)

— Gdzie? — odszepnął Kotowicz, szukając uchem dźwięku po niemych lesie.

Moroz zmarszczył tylko twarz na znak milczenia, nasłuchiwał znowu chwilę — dosłyszał — nerwowem skinieniem potwierdził — i chwycił Kotowicza silnem objęciem za prawe ramię:

— *Ciapię' so mnoj!* — raz, dwa, tri. — —

Żelazny dziad uniósł z sobą lekkiego Edwarda na trzy skoki, potem osadził go nieruchomie w pozie, w jakiej obaj zapadli. — Chwila ciszy — i znowu porwał go Moroz na trzy kroki posuwiste. — Znowu cisza kamienna. — Edward czuł elektryczne drżenie dłoni Moroz, słyszał takt serc podwójny.

Za następnem porwaniem się w skok zrozumiał Kotowicz nareszcie głos, płynący z puszczy, który do-tychczas był mu jakby dalekiem gadaniem starego, ochryplego zegara:

— Tyk — — tyk — tykut, tykut, tykut — szcze — cze — cze — cze — cze — ta — szka. — —

Więc to jest słynna pieśń? — — głucha, drewniana — jaka dziwna! — —

Wiedział z opisów, że pieśń ta składa się z trzech motywów: z *bąkania*, *telekania* i *czyhitania*; że tylko podczas ostatniego kogut doszczętnie głuchnie i wtedy można skakać, łamać gałęzie, nawet strzelić bez zwrócenia uwagi głąszca. W przerwach i podczas bąkania trzeba się zachowywać jak pień leśny, gdyż wielki książę puszczy, na śmierć zaciętrzewiony w swej pieśni miłosnej, czujny jest w przerwach i nieufny, jak żaden z mniejszych uskrzydłych matadorów.

Po paru jeszcze wspólnych posunięciach Kotowicz oświadczył, że sam już potrafi skakać, niech tylko Moroz idzie naprzód. Kilka słów niezbędnych do tego porozumienia przekroczyło jednak może granice „pieśni“, bo umilkła na kilka minut. Ale myśliwi stali osłonięci choiną i opodal jeszcze od głuszca, więc śpiewak namyślił się po przerwie i ostrożnie przebaknął — raz.

Kotowicz już się nachylił do skoku, ale go Moroz zatrzymał groźną miną. Dopiero gdy się znowu głuszec rozchylił, skoczyli obaj i zbliżyli się do głuszca o kilka posunięć, teraz już nie po trzy, lecz po dwa kroki.

Wtem w rytmicznej harmonii pieśni i podkradów zgrzytnął fałsz tak maleńki, że nie obudziłby chyba czujności lisa: Kotowicz, kończąc skok, stąpił na suchą gałąź, która trzasła głucho między mchem a butem — już po pieśni. Moroz drgnął i skamieniał, przeczuwając nieszczęście. Jakoż zamiast nowej pieśni, spodziewanej od choiny, gdzie już czuli głuszca myśliwi, spłynął wśród igliwia cień ogromny, rozskrzydlony — i oddalił się z lekkim łopotem. — —

— *Nie poszancowało!*¹⁾ — rzekł głośno Moroz, odwracając do Kotowicza twarz mocno niezadowoloną.

— Poleciał! — stwierdził Edward żałośnie fakt oczywisty.

Moroz zdjął czapkę, przetarł ręką twarz, podrapał się niecierpliwie w głowę. Po chwili znowu czapkę szybko narzucił i rzekł ochoczo:

— Poczekaj, panoczek: *drugoho majem*. Ja jego *czuwał*, kiedy my do tego skakali. Tylko już panoczek *na haljo nie palezaj*²⁾.

1) Nie poszczęściło się.

2) Nie włącz na chrust (na suche gałęzie).

Kotowicz przyjął bez obrazy zasłużoną uwagę i stapał odtąd ostrożniej po gruncie mszystym, w którym noga grzęzła miękko i cicho, a przeszkody coraz łatwiej było omijać, bo przybywało światła. Zaledwie uszli ze sto kroków, odezwała się wyraźnie pieśń, tym razem bliższa, bardziej jeszcze upragniona, bo już ją Edward znał i miał wyrytą w mózgu, jako formułę nowej, z niczem nieporównanej rozkoszy. Chociaż niezbyt często polował, pamiętał przecie silne łowieckie emocje, spotykał się z dzikiem w kniei, gonił konno za lisem i jeleniem. — To było co innego — dzisiejsza pieśń przypominała mu raczej śpiew słowika w romantyczną noc majową; chociaż pozbawiony melodyi, szklano-drewniany ten kurant niósł tak do kochania puszczy, jak fletniowy trel słowika do kochania dziewczyny. — —

— Tyk — — tykut, tykut... i szmermel fałszywy, a pyszny, niby zgrzyt po szkle — skąd niektórzy nazywają z niemiecka koniec pieśni *szlifowaniem*.

Skakali z Morozem łatwo i cicho, wykręcając swą drogę na pnie grubsze i miejsca osłonięte. Znaleźli się wreszcie przed bukietem sośniny, z którego wypływał ten czar pociągający, prawie równie przygłuszony zbliska, jak z oddalenia, ten głos pełen tajemnicy i samczej zawziętości. Stanęli „pod pieśnią“.

Ale gdzie on jest? — — Moroz go już widzi, bo nie skacze dalej, choć głuszec tnie pieśń za pieśnią; bada spojrzeniem Kotowicza, czy i on go widzi? — — Nie — — Coś w tej choinie siedzi niepojętego, co gra, ale ptaka, wielkości indora, nie widać. — —

Moroz wznosi podczas pieśni rękę i palcem wskazuje w jedno miejsce; za kierunkiem tego palca Edward zapuszcza spojrzenie w zagmatwaną choinkę, wypatruje, ślepi. — Jakieś zgrubienie gałęzi... to byłby on? — nie, to kiść igliwia. — Ale Moroz trzyma wciąż rękę wyciągniętą,

nieruchomą jak drogowskaz. Powtórnie spoziera Kotowicz w to miejsce... — Może to i głuszec?... — Taki mały, jak ciemny gołąb z wyciągniętą szyją? — O! ruszył się! — zmienił pozycję — siedzi teraz, jak jastrząb w poprzek gałęzi... I znowu pieśń — to on!

Kotowicz podniósł strzelbę, złożył się — nie widział w półmroku ani lufy, ani muszki, ale przecie strzelba znajoma — palnął.

Wielki cień rozskrzydlony zsunął się z gałęzi, uciekając z wyraźniejszym tylko łopotem, niż poprzedni.

— No i cóż?! — zawołał Moroz prawie groźnie, a twarz miał znękaną i zgorzoną.

— No i nic — poleciał. Nie rozumiem.

Edward poczuł, że nie może śliny przełknąć, tak mu zaschło w gardle i ogarnęło go dotkliwe rozczarowanie, podobne do żalu za snem pięknym, niedośnio-
nym. Świt się rozwidniał, głuszcza już dzisiaj nie będzie. — Jak on cudownie grał! —

Moroz odpowiedział tęsknem echem na niewyrażoną myśl Kotowicza:

— *Pieun* 1) był słowny!

Tak — śpiewak był niezrównany! — objawiciel tajemnic życia wiecznego, zapomnianych przez człowieka pośród zabiegów o stanowisko, o pieniądze, o rozkosz niestworzoną przez przyrodę. Edward dałby wiele, aby zatrzymać noc, która uciekała, cofnąć się wstecz poza chwilę strzału, która spłoszyła marzenie jedyne, takie skrzydlate, a zdrowe i realne, marzenie namacalne...

Spowszedniało na świecie: dzień jasny zaczynał oblewać całe niebo i wykrawać z mroku nieprzeliczone leśne profile — świt nienawistny, bez nadziei, bez głuszca...

1) Śpiewak, albo: kogut.

Kotowicz i Moroz powracali do furmanek niedbale, zrazu milcząc, Potem zaczęli się pocieszać i tłumaczyć sobie niepowodzenie.

— Głuszec może i dostał — mówił Moroz, ale żeby jego zwalić, trzeba jemu kości połamać. Sztuka twarda.

— Ale ja muszę koniecznie zabić głuszca! — twierdził Edward zapalczywie — dzisiaj już zapóźno — co?

— *Ciapier'* już oni z kurami na tokach bawią się; nie pańska rzecz ich tedy strzelać. Jutro, ile chcesz panoczek, zasadzę.

— Byle nie znowu na gruncie pana Oleszy!

— A cóż, panoczek — wielkiej krzywdy panu Oleszy my nie zrobili — wtrącił Moroz nieco szyderczo.

Różne ptaki, obudzone, gwiżdżąc i plotkując, śmiały się z myśliwych, powracających z próżnymi rękami.

VI.

Pan Antoni Olesza, właściciel Kurenicz i przyległego lasu, zabił swego głuszca na mokrej brzezynie i podniecony przez tę zdobycz, podobno już dwóchsetną, lecz zawsze pożądaną, okazał się rozmowniejszym i mniej sztywnym przy powtórnej schadzce w lesie. Może też potrzebował namysłu nad osobą nowego sąsiada i po namyśle przygarnął go do serca. Dowiódł mu łagodnie, lecz stanowczo, że, polując w lasach Kurenickich, powinien zjechać na śniadanie do dworu, o kilka wiorst odległego. Edward przyjął zaproszenie wypadające w porę, bo apetyt czuł wilczy, i o wschodzie słońca stanął w Kureniczach.

Olesza, jak się okazało, znał dobrze marszałka i całą rodzinę Kotowiczów, Edwarda widywał niegdyś dzieckiem, a i Edward odnalazł w zamierzchłych swych wspomnieniach dziecinnych fizyognomię dworu bardzo oryginalną, bo rodzina Oleszów mieszkała w piętrowym lamusie, zwanym „skarbcem“, przerobionym na mieszkanie główne, stary zaś, niski dwór wrastał w ziemię, pod ciężarem omszałego dachu; dumaly nad nim ogromne lipy i szeptem doradzały go nie tykać, aż póki umrze naturalną śmiercią razem z innymi porostami tej ziemi. Za to „skarbiec“ był wyświeżony, opasany dwoma piętrami drewnianych portyków — wielki, familijny gołębnik. Był projekt postawienia nowego dworu w malowniczym miejscu nad Ptyczą, obrośniętą starymi drzewami, ale

projekt nie dojrzał jeszcze przez ćwierć wieku i Kotowicz odnalazł Kurenicze takie same, jakie je przez mgłę pamiętał. Siedziba nie była jednak wcale zaniedbana, tylko wszystkie jej ozdoby: kwietniki, gracowane ścieżki, mała fontanna — zbiegały się do zaludnionego skarbcza, stroniły zaś od pustego dworu, do którego krzewy i chwasty przystępowały coraz bliżej powodzią ogarniającą.

Niepodobna było odrazu nie polubić tego wiejskiego gniazda; spodobało się też Kotowiczowi zzewnątrz, a gdy przeszedł progi, objęły go serdecznie świeże ciepło dobrze wietrzonego wnętrza, zapach ziół dobrych i półcień szlacheckiego muzeum, do którego parę pokoleń dodawało swe upodobania estetyczne, w meblach i gratach. Pośród zczerniałych, kontuszowych i kornetowych portretów bił w oczy jeden świeży portret młodej kobiety, zawieszony na honorowym miejscu.

— Ależ to chyba... Wyczólkowski?! — zawołał Kotowicz, pociągnięty, jak ćma do ognia, do tej rozkosznej plamy świetlnej.

— Tak, tak — potwierdził Olesza — widać, że znawca... Wyczólkowski malował nieboszczkę moją żonę podczas ostatniej naszej bytności w Krakowie. — Starsza córka, Marcelka, do niej podobna. —

Nie ukazały się dotąd córki, co było zresztą naturalne o godzinie szóstej zrana. Jednak gospodarz zainteresował służącą o panienki.

— Panna Marcela już ubiera się, a panna Hrenia, wiadomo, w kawiarni — odpowiedział z drugiego pokoju głos dziewczyny śpiewny, apetyczny.

Uśmiechnął się gospodarz domu, zgadując, jak te wiejskie stosunki muszą działać na Edwarda, który, pomimo myśliwskiego ubrania i zabłoconych butów, wyglądał tu, jak importowany z Paryża.

— Darujesz, panie Edwardzie? nie trzymam w pokojach męskiej służby.

— Ależ, panie!... jest tu cudownie.

Kotowicz patrzył na Oleszę, jak na sympatycznego barbarzyńca; nie przewidywał w nim przyjaciela od serca, jednak dobrego kompana do dzikiego polowania, może doradcę w miejscowych interesach. Przyglądał się z upodobaniem jego pięknie dojrzałemu typowi, jego oczom uczciwym i poważnym, porównywał go do portretów, i wnosił, że pan Antoni, zaledwie strojem odmienny, ma zapewne pojęcia o życiu społecznym pradziadowskie. Jego małe obznajmienie z komfortem, z modą, z nowinami, choć nie oburzało Edwarda, wywoływało odruchową ocenę Oleszy, jako człowieka kategorii podrzędnej, a przynajmniej niepokrewnej i przestarzałej. Stary wprawdzie nie był, trzymał się, jak dąb — tylko jakież mogą się wyrobić aspiracje w człowieku zamieszkującym puszcze? — Za to w puszczy są głuszcze! — przypomniał Kotowicz świeże wrażenia i zaczął mówić z Oleszą o polowaniu.

Rozmowę tę przerwało wejście do salonu panny Marceli, która po zapoznaniu się z Kotowiczem, zaraz przeprowadziła gościa i ojca do jadalnego pokoju na kawę.

— Ładna kobieta — otaksował ją w myśli Edward — ładna, pomimo, że źle ubrana. —

Panna Marcela nosiła bowiem krótkie włosy, za długą suknię kroju sportowego i niestosowne do poranego ubrania lakierowane trzewiki. Ale młody gors i piękna budowa tryumfowały nad temi niedokładnościami.

W ciągu śniadania panna podsycala bez ustanku wątek konwersacji, trzymając się uporczywie treści wyższej, filozoficzno-literackiej. Edward odpowiadał bez wielkiego nakładu pomysłowości, przez nałóg światowca.

I niecierpliwilby go może ten felietonowy przegląd wypadków znanych z gazet, spostrzeżeń dawno już ogłoszonych przez mędrców i powtarzanych przez gmin, gdyby panna nie była ładna. Podtrzymując więc jako tako rozmowę, zajmował się właściwie nie tem, co Marcelka mówi, lecz tem, jak mówi. Szczebiotała naprzykład o prawach kobiety, przybierając przytem wyraz daleko zapatrzony, co razem z artystycznym wichrem jej krótkich włosów, składało wdzięczną powierzchowność młodego wirtuoza. To znów okragłą falą westchnienia wyginając więzy gorsetu, mówiła o wyzwoleniu z krępujących przesądów. Świeża była, zdrowa, krwista, ale z losu własnego i z porządku świata niezadowolona, wzdychała do urzeczywistnienia jakichś postępowych ideałów, nieco mglistych.

Od początku swej wyprawy przez las do Oleszów Edward czuł się oderwanym od niespokojnych, bo nieziszczalnych pragnień, przykutym do wrażeń bezpośrednich. Niewywczas zdrowej nocy i radosne wiosenne słońce wywołały w nim zamierzchłą młodzieńczą beztroskę; podobał mu się świat i smakowało przednio wiejskie śniadanie. Ten optymizm przenosił i na osoby, spotkane dzisiaj przygodnie. Jednak panna Marcela należała do rodzaju kobiet, które, chociaż ponętne, wyzywają mężczyznę do szermierki o poglądy, o zasady, o byle co — pobudzają go do żartobliwego zmagania się z wystawianą ciągle na pokaz niepodległością, albo i wyższością kobiecą. — Myślisz, żeś wszystkie rozumy pojadła? — poczekaj! — Myślisz, żeś najpiękniejsza? — zaledwie jesteś dosyć piękna. —

Więc przed końcem śniadania zawrzała dyskusya między Edwardem a Marcelką. Poszło o to, że Oleszanka napadła na kulturę francuską, jako na zbiór konwencji i form bez treści; że, jeżeli już coś brać z zagranicy, to

z Anglii. Kotowicz zaś był nieomal patriotą francuskim, więc dobył szpady.

— Ja potrzebuję Francji — mówił — wszędzie, gdzie się znajduje: francuskiej książki, gazety — nie przez egzotyzm, lecz dla pokrewieństwa naszych kultur i obyczajów. Anglii?... Czasem. Cóż pani na przykład czerpie z Anglii?

— Co? — ideały.

— O tem się dowiaduję. Ale coś dotykalszego: książki? mody?

— Ach, pan zaraz będzie mówił o strojach, dlatego, że z kobietą. Więc i ja zapytam: z czego pan ma ubranie? — z angielskiego kortu; a strzelbę jaką? pewno angielską?

— Nie; strzelam z francuskiej broni, Pirlet-Badin.

— To gorsza. Niechże ojciec powie?

— Muszę przyznać, że wolę broń angielską — rzekł poważnie Olesza.

— Widzi pan! Dlatego ojciec zabił głuszca, a pan nie. —

Kotowicza mało to ubodło, jednak zauważył zamiar satyryczny i odbił to drobne pchnięcie stosowną zasłoną.

— To nie wyższość broni, lecz strzelca. — Ale pani na przykład nosi dzisiaj ubranie angielskie — czy tak?

Marcelka zarumieniła się:

— Mieszkam na Polesiu, rzadko wyjeżdżam, jednak staram się ubierać po angielsku, bo to najpraktyczniej.

— Jednak trzewiki ma pani francuskie. —

— Kupione w Mińsku.

— Wszystko jedno, ale naśladowane z Francji.

— Nie; buciki, jak wszystkie inne, białoruskie... co to ma do rzeczy?

— Więc przechodzę od butów do ideałów. Każda rzecz zresztą, nawet but, czyli pojęcie buta, ma swój ideał. Zgadza się pani na to twierdzenie?

Zawahała się nieco panna, spojrzała nieufnie na Edwarda, rzekła wreszcie:

— Przypuścimy. —

— Więc musi mi pani przyznać, że nasze ideały z zakresu życia społecznego, towarzyskiego, obyczajów, zabaw, aż do mody w mieszkaniach i ubiorach — pochodzą z Francji.

— O, przepraszam! tak może było, ale już nie jest dzisiaj. My tu przynajmniej zaczynamy być sobą, nie chcemy nikogo naśladować.

— My? — powtórzył Edward — czy pani mówi za jakąś grupę?... może za całą prowincję?

— Za pewien gatunek ludzi niepodległych, których pan nie zna — odpowiedziała Marcelka zarozumiale i tajemniczo.

— Skłaniam głowę — odrzekł Edward. Dlaczegoż więc pani mówiła przed chwilą, że naśladuje w tem i owem Anglię, a stroni od Francji?

— Mówiłam, że w ideałach... no i w szczegółach praktycznych.

— To pani zna zapewne życie angielskie i francuskie? — zapytał Kotowicz, choć wiedział, że otrzyma odpowiedź przeczącą.

— Nie osobiście, ale z książek, z wykładów...

— Z jakich wykładów, jeżeli wolno zapytać?

— Byłam słuchaczką na uniwersytecie w Moskwie.

Tu wtrącił się do rozmowy Olesza, tłumacząc z niejakim pośpiechem:

— Krewnych mamy w Moskwie, Polaków. Posłałem tam Marcelkę na naukę.

— Aa — zadziwił się Kotowicz i zwrócił się znowu do Oleszanki: to pani może popiera kulturę wschodnią?

— Każdy powinien rozwijać kulturę, zastosowaną do swojej rasy i klimatu, a nie naśladować form obcych, zwłaszcza przeżytych — wydekłamała panna.

— Zapewne. Jednak ludzie uczą się od ludzi i pokolenia od pokoleń; przerabiają to po swojemu i stosują do nowych warunków bytu. Taki preparat, wyrobiony przez wieki, nazywamy kulturą *własną*. Ale przecie wolno każdemu młodszemu narodowi wybierać źródła swej cywilizacji według upodobania, według pokrewieństw sympatycznych. Że zaś w naszej kulturze jest mnóstwo pierwiastków francuskich, to rzecz oczywista. Dostyc spojrzeć tu naokoło siebie: na meble, na serwis, z którego pijemy kawę; dostyc posłuchać zwrotów naszej konwersacji. A literatura nasza współczesna, czyż nie jest rodem z Francji? przynajmniej co do sposobów pisarskich?

— To też literatura rosyjska jest silniejsza, bardziej z treścią życia związana. Taki Gorkij, Andrejew, Arcybaszew! — zapalała się panna.

— Twierdzenie trochę pośpieszne — rozgrzał się też Kotowicz. — Jest to literatura... efektowna, bo ma formę świetną, zapożyczoną z Zachodu i duże talenty pisarskie, ale za treść ma tylko — nie pierwotność poetyczną i ceną, ale dżicz zwyrodniałą, zgniłą przed okresem dojrzałości, zdżiczenie dżiczy.

— Za to literatury *dojrzałe* są bardzo nudne, panie Kotowicz! Mnie się wydaje, kiedy czytam francuską książkę, że pisze jeszcze ten stary człowiek z 18-go wieku, przebrany tylko w nowy surdut.

— Bo narody zachodnie, choć się przekształcają, ewoluują z tradycji. A postęp świata jest jednak najokazalszy na Zachodzie. Wschód zaś Europy nie ma

zdolności do cywilizacji: gnije, nie wydawszy z siebie nic prawie dla ludzkości — jak Bizancyum.

— A Grecya?

— To był kwiat południa — wspaniały. Dawno jego nasiona wsiąkły w glebę europejską, we Włochy, we Francję. Szczep już nie istnieje.

— W takim razie pan nie jest wcale Słowianinem, panie Kotowicz.

— Bardzo zachodnim, proszę pani. A nawet, mówiąc poprostu, jestem Polakiem. To jest pojęcie odrębne. Grzebać się w swych protoplastach z przed okresu ustalonych typów narodowościowych? — Moglibyśmy dojść do tego, że jesteśmy wszyscy Indusami.

— A ja jestem wschodnia — odezwała się Marcelka przekornie.

Spojrzał na nią Edward zrazu ostro, potem, ujrzawszy, jak promień słońca gra w jej złotych włosach, na zapłonionej twarzy, na oczach i ząbkach wyiskrzonych wojowniczo, uznał, że należy zakończyć dyskusję i rzekł z uśmiechem:

— Chyba dlatego, że wygląda pani, jak jutrzienka.

Uśmierzyło to pannę, chociaż odęła usta; Olesza zaś poruszył się na krześle, jakby dając znak, że dostyc tego.

— Ot masz piękny komplement!... A co do tego, czy my Słowianie, to podzielam pogląd pana Edwarda. Jacy my Słowianie?! Co nam po związku bałkańskim, po wyzwoleniu małych państw słowiańskich? Toż my z Bułgarami tyle mamy wspólnego, ile z Turkami! — Mówią: odrodzenie tych tam Słowian zwraca uwagę mocarstw, że nam przedewszystkiem należą się prawa narodowe. Bajki! Tamtych trzyma słaba Turcyja, to się i wybijają na wolność; nas duszą silni, to i wytłumaczą nam, że inaczej być nie może. —

Nikt nie oponował — więc i przerwała się dyskusya.

Pan Olesza nie miał zwyczaju zmuszania nowych gości do oględzin wszystkich urządzeń wewnątrz i naokoło domu. I Kotowicz nie wyrwał się do tego po pracowitej nocy.

Dobrze mu było siedzieć w tej jadalni, gdzie ściany, meble i ozdoby powleczone były harmonijną, szacowną patyną, a przy stole zastawionym obfitością wszelką, jakoby na dwanaście osób, znajdowali się ludzie u przejrzy, bo i panna, w teorii nieco kanciasta, w postaci swej była pięknie utoczona i gościnnie zajmowała się Edwardem. — Po żywej dyskusji z Marcelką, gawędził z ojcem trochę sennie, poddając się przyjemnemu rozprężeniu nerwów:

— Czy to Ptycz widać za drzewami? — pytał, spoglądając przez okno.

— Tak jest, ta sama Ptycz, co u pana; tylko pan oddaliłeś się od niej, jadąc przez las, a tutaj ona znowu. Rzeka łuk zatacza, a pan jechałeś po cięciwie.

— Fatalna droga przez las! — przypomniał sobie Kotowicz.

— Może pan dojechać do gościńca; dalej to, ale droga lepsza. Kałamaszką powróci Moroz, a ja panu dam swoje konie.

— Najuprzejmiej dziękuję. Chcę wracać przez las, aby obejrzeć za dnia drzewo na uroczyskach Dzierczy i Ciecieniukach.

— W takim razie trzeba jechać w jednego konia; powozem nie przejedzie. A wiesz pan co? — dodał Olesza dobrodusznie — należy się nam trochę snu po głuszcach; kładnij się pan u mnie spać, potem zjemy obiad, a już kiedy wola będzie, przed wieczorem pojedziesz pan i pośpiesz las obejrzeć. Po sąsiedzku, panie Edwardzie!

— Niepodobieństwo... dziękuję serdecznie.. czekam w Turowiczach na kupców, którzy mają tam przyjechać o południu...

Komponował, aby się wykręcić od spania tutaj, bez swych przyborów gotowalnianych, bez zmiany ubrania, jak parobek.

— Nie, panie sąsiedzie — dodał, siląc się na ton przyjacielski — proszę łaskawie posłać po Moroza, aby zaprzął i zjechał. Dzisiaj tylko tak... wstąpiłem do państwa z okazji polowania. Przyjadę wkrótce z wizytą regularną.

— Trzymam za słowo — — Bo pan zapewne przyjechałeś do Turowicz, aby gospodarzyć?

— Ani mi się śni! — zaprotestował Edward żywiej, niż wypadało — nie znam się na tem. Przyjechałem dla sprzedaży części puszczy, może i całych Turowicz, gdyby się znalazł dobry kupiec.

— Czy tak? — —

Olesza znowu zeszywniał, jak przy pierwszym spotkaniu. Nie badał dalej. Zaległo niezręczne milczenie, bo i Marcelce nie chciało się już wszczynać nowego tematu z gościem, który zaraz miał wyjechać stąd, a wkrótce z okolicy. Kotowicz powstał, udając zaciekawienie do jakiegoś obrazu, wiszącego na ścianie, gdy przez drzwi otwarte do drugiego pokoju zobaczył uchodzącą szybko białą postać dziewczyny z ciemnym warkoczem. Objął ją rzutem oka, z zupełnem zadowoleniem, ocenił, że jest bardzo kształtna i sprawna w ruchach. Więc mu przez głowę przemknęło, że ojciec Olesza ładną sobie dobrał służącą — już i głos jej z drugiego pokoju był obiecujący.

Ale Olesza zawołał:

— Renu! czemuż tam biegasz i nie przychodzisz na kawę? Mamy gości.

Więc z drzwi, za którymi zniknęła, musiała teraz wykonać wejście uroczyste panna Regina Oleszanka, mocno zapłoniona, w śnieżnej sukience. Zapewne przed chwilą się przebrała ze swych szatek gospodarskich, bo wiało od niej zapachem świeżej wody, a silna, choć drobna rączka, którą podała Kotowiczowi, była czerwona i zimna.

Uśmiechnęli się wszyscy naprzeciw niej, każdy inaczej: ojciec po ojcowsku, siostra pobłaźliwie, Kotowicz z podziwem. Ale wszyscy musieli się uśmiechnąć, jak do bukietu, który wnoszą do pokoju. Bukiet był z jednej ciemnej róży, na białospowitej lodydze.

Edward szukał, coby powiedzieć. — —

— Czy pani się także wychowywała w Moskwie?

— Nie; ja tu gospodarzę z papą — od wieków.

Miała zapewne lat ośmnaście? — — może mniej, sądząc po niedotkniętych przez namiętność oczach i ustach. Głos jej był nie ten, słyszany z drugiego pokoju — dużo piękniejszy. Kotowicz uczuł potrzebę jakiejś radosnej manifestacji. Przemknął mu przez głowę wiersz Słowackiego:

„Stałem przed nią — i spuściłem oczy“.

Ale, że byłoby niewłaściwością coś podobnego powiedzieć temu ślicznemu, nieznanemu dziewczęciu, podchwycił tylko po namyśle, ostatnie słowa Reni z nieproporcjonalnym zadowoleniem:

— Więc mówi pani: od wieków? to wyborne!

— A pan co myśli? — że ja dziecko? Mam lat ośmnaście.

— Reniu! — oburknęła ją starsza o cztery lata siostra — ktoś cię pyta o legitymacye?

— Bo pan tak jakoś do mnie z góry...

Urwała, i postrzegłszy strzelbę Kotowicza, stojącą w kącie, skoczyła do niej posuwiście, wzięła w ręce, przyłożyła do ramienia.

— Składna i lekka; lżejsza, niż nasze.

Obejrzała ją dokładnie i technicznie. Potem orzekła poważnie, patrząc na Edwarda dobrymi oczyma:

— Panu podobno nie udało się z głuszcem? Ale to dlatego, że pan nie ma białej muszki na lufach. Papa zakłada białą muszkę, kiedy idzie na głuszce.

— Sądzi pani, że dlatego chybiłem? — pytał Kotowicz, ujęty przez uprzejmość dziewczęcia.

— Naturalnie, bo białą muszkę łatwiej zobaczyć w ciemności, a po lufie mierzyć na pamięć bardzo niepewnie — odrzekła Renia, biorąc zupełnie na seryo wątpliwość Kotowicza:

Jemu zaś cisnęła się do ust inna uwaga:

— Ach ty biała muszko z czarnym łebkiem! —

Wtem w drzwiach pokoju ukazała się służąca:

— Kałamaszka podjechawszy — —

Dosyć ładna dziewczyna wydała się Kotowiczowi nieznośną — i głos miała śmieszny. Po uprzednich wymówkach nie pozostawało nic, jak tylko pożegnać się i wyjechać. Uczynił to Kotowicz; odprowadziła go rodzina Oleszów aż na próg i patrzyła, jak nikał na drodze. On się też odwrócił parę razy, z wesołymi ukłonami. Przy ostatnim zdało mu się, że dostrzegł biały rękaw Reni wzniesiony wysoko, dający znak „do widzenia“.

Ale pan Olesza zanim spać się położył, miał do starszej córki przemowę.

— Dałabyś już spokój, Marcelko, z tą Moskwą, z tą kulturą wschodnią! Kotowicz jeszcze Bóg wie, co o nas pomyśli.

— Czy ojcu tak chodzi o zdanie tego pana?

— Chodzi mi o naszą opinię. Kotowicz ma wielu znajomych, może opowiedzieć, że tu, w Kureniczach mieszkają nie Oleszowie, stara polska szlachta, ale jacyś... wschodni ludzie. — No, zdrzemnę się trochę — — Póki jesteście w domu, musicie już uszanować starą modę.

Poszedł do swego pokoju, a siostry pozostały w jadalni.

— Ach, doprawdy, wytrzymać tu trudno! — wybuchła Marcelka, szarpiąc serwetę — pojedę chyba do ciotki, do Moskwy — — ucieknę!

Głaskała ją Renia, przykładając czarną główkę do płowej czupryny siostry:

— Ojciec taki zły, kiedy niewyspany...

— Niechby sobie był zły; ale on nie toleruje obok siebie cudzej indywidualności!

Renia po krótkim namyśle przetłumaczyła zdanie siostry na polski język:

— A możeby ten twój... Dymitr Arkadjewicz... przeszedł na katolicyzm?

— Gdzież tam! dziecko jesteś! on tak samo dba o swoje tradycje, jak ojciec o swoje. Ale to przecie nie nacjonalista rosyjski, wielu ma przyjaciół Polaków; jak brat żyje z hrabią Ksawerym Szafrancem... służy w gwardyi, gdzie sama wysoka szlachta...

Renia słuchała tych pochwał przez uprzejmość dla siostry — niech się Marcelka wygada na pociechę — —

— On na Wielkanoc zostanie rotmistrzem, a potem może i służbę porzuci, ale pójdzie w „odstawkę“ z mundurem. On tak dobrze nosi mundur. — — Widziałas go przecież raz w Mińsku?

— Widziałam — zgrabny.

— To nie dosyć: zgrabny. Wygląda na bohatera! nawet trochę podobny do księcia Józefa Poniatowskiego. Nie uważałaś, Reniu?

— — — — —
— Nadzwyczaj waleczny; dostał żołnierski krzyż św. Jerzego za Cuszimę.

— Za Cuszimę? — przecie tam się nikt nie odznaczył, oprócz Japończyków — —

— To może pomieszałam? — — za Mukden — — Ty go nie lubisz, Reniu?

— Owszem... to jest: nie znam go. Muszę ci wierzyć, Marcelko.

Marcela nie znajdowała sprzymierzeńca dla swych zapalów nawet w siostrze, serdecznej przyjaciółce, nawet w ciotce, która choć mieszkała w Moskwie dla interesów, trzymała się tam z polskim towarzystwem. Jednak mówiono, że Marcelka zaręczyła się potajemnie z oficerem.

Renia zmieniła obcesowo rozmowę:

— A ten, który tu dziś był, jak ci się podoba, Marcelko?

— Zarozumiałe! rozmawia z kobietami, jak z dziećmi, albo z niewolnicami.

— Bo nas nie zna — objaśniła Renia bez wahania.

— Nas nie zna, ale kobiety wogóle... no, już ja o nim coś słyszałam.

— Co? no co, Marcelko? —

— Kocha się w jakiejś mężatce.

— Doprawdy?! Ach te mężatki! — — Skąd wiesz?

— Ma służącego przy sobie; służący gadał z Abramkiem, a Abramek z naszą Józją.

— Gdzie ona jest, ta... pani? zagranicą?

— Nie dopytywałam się; mało mnie to obchodzi.

Renia zamyśliła się głęboko, poczem rzekła:

— Więc to jest taki „Don Żuan“, jak się to czyta?...

— Nie ma po temu warunków — odrzekła Marcelka z wyższością uświadomienia.

— I może się poprawić — dodała Renia, idąc za swoją myślą.

— Najprzód musiałby się poprawić fizycznie — ciągnęła Marcelka — chudy jest, zmęczony, znudzony...

— To pewno wina tej małpy! — zawołała Renia porywczo.

Starsza zaś siostra wybuchła śmiechem:

— Skądże ty możesz wiedzieć, jaka ona jest?! Może właśnie jego wina, że nastaje na nią, a ona nie chce, jest wierną mężowi... Może wreszcie trudności rozwodowe? — dodała przez wzgląd na naiwność Reni.

— A ja jestem pewna — mówiła Renia zapalczywie — że to zła baba. Już ja takie widziałam.

— Gdzież to, naprzykład?

— A naprzykład żona ogrodnika, Wasilisa — do wszystkich się śmieje, ze wszystkimi gada po kątach, a ogrodnik chudy, smutny, jak pan Kotowicz.

— To mąż, a przecież pan Kotowicz nie żonaty.

— Wszystko jedno. Tak wygląda ten, co chce większego kochania.

— Może masz rację, Reniu — westchnęła Marcelka, stosując to do siebie.

Ale nie miała tej pociechy, że schudła z zawodów miłosnych: owszem przybrała trochę nadto tuszy w ostatnich czasach, wbrew teorii, a dbała bardzo o swą piękną figurę.

Wtem Renia znalazła w gąszczu swych pomysłów projekt niespodziewany:

— Wiesz co, Marcelko? — pan Kotowicz byłby doskonałym mężem dla ciebie: ty trochę pełna, on chudy — mielibyście dzieci w samą miarę.

— Co ty pleciesz, Reniu!

— No, bo dzieci są zawsze podobne trochę do ojca, trochę do matki.

— Ależ nie wychodzi się za mąż tylko dla dzieci! — przecie życie całe we dwoje... Et, komik z ciebie, Reniu! — rozśmiała się i ucałowała siostrę.

Nie zgadła jednak, że Renia doszła do tego pomysłu, tłumiąc swoją gwałtowną zachciankę, że ofiarowała siostrze to, co miała najdroższego w tym poranku Edwarda Kotowicza.

Bo ten wytworny, grzeczny, chudy (właśnie chudy! wychudzony przez złą kobietę) sąsiad zajął ją nadzwyczajnie. Nie wiedziała odrazu, co ma począć z nim i dla niego? — Najprzód go trochę podpasie, potem zabawi, pójdzie z nim na polowanie, potem... zatrzyma go koniecznie przy sobie. — Ale Marcelka musi przecie pierwsza wyjść z zamąż — i nie za Moskała! — Więc z popędu szlachetnego serca Renia swatała już Marcelkę z Kotowiczem. Dowiedziała się jednak od siostry, że:

— Najprzód Kotowicz wcale mi się nie podoba, potem — wiesz przecie, że myślę o kim innym, a nareszcie — czy ty myślisz, że onby się z jedną z nas ożenił? Bogaty, zna świat szeroki, tutejszych stron nie lubi —

— Co ty mówisz?! naprawdę? nawet wiosny u nas i lata? i polowań?!

— Tak mi się wydało z paru szczegółów rozmowy. A jeszcze zapominam! — przecie sam powiedział, że przyjechał tu, aby sprzedać Turowicze.

Renia załamała ręce. Plan tak piękny, wystrzelony z wyobraźni z całą tęczą barw i ponęt, miałby się rozsytać w nicość? — — —

VII.

Niecierpliwy zamiar Kotowicza pozbycia się jednym zamachem długów i Turowicz ulegał stopniowym ograniczeniom. Wszelkie gwałtowne porywy były bezwładne w tym kraju, gdzie naprzykład poczta dochodziła tylko dwa razy na tydzień do miasteczka odległego o wiorst piętnaście, a kolej żelazna była odległa o pięćdziesiąt. Wymiana korespondencji choćby z Warszawą, Wilnem lub Kijowem zabierała tydzień, a sprowadzenie czegoś cięższego z tych miast do Turowicz trwało czas nieograniczony. Tak samo trudno było ściągnąć tutaj człowieka z miasta: adwokata, kupca, lub technika, bo każdy, dowiedziawszy się o marszrucie, odkładał wyprawę z dnia na dzień tak, jak się zwleka z chirurgiczną operacją: poczekałmy, może się bez niej obejdzie.

Jedyny doraźny środek, popierany przez Juchniewicza, okazał się też niemożliwym. Generał Smirnow ofiarował za całe Turowicze pół miliona rubli, co, po odliczeniu długu bankowego, dałoby Kotowiczowi gotówką sumę, wystarczającą zaledwie na zapłatę ćwierci długów. Edward nie godził się zasadniczo na sprzedaż Turowicz generałowi, chciał jednak poznać jego ofertę, aby z niej wziąć miarę ceny możliwej do osiągnięcia. Oferta była śmiesznie mała, jakby na żarty uczyniona, chociaż Juchniewicz był zdania, że niewiadomo, czy kto dałby więcej, i przypominał, że Turowicze ocenione zostały w działach familijnych przed kilkudziesięciu laty

tylko na 150,000 rubli. Ale już i Kotowicz znalazł się dostatecznie na cenach obecnych ziemi i lasu, aby wyrachować, że Turowicze warte są bez porównania więcej, tylko bardzo trudno je spieniężyć odrazu. Rozpisał więc listy do kupców leśnych w Berlinie i Bydgoszczy, obliczył w przybliżeniu, co i ile najłatwiej sprzedać — i czekał.

Odosobnienie od świata znosił już trochę łatwiej; daleki był od ponęt, ale daleki i od ogniska trawiącej gorączki, która mu się dotkliwie dała we znaki. Czuł się zdrowszym, lepiej sypiał i nie był tak wrażliwy na niewygodę, na ciszę, na brak towarzystwa, jak w pierwszym tygodniu po przyjeździe. Doszedł nawet do wniosków zadziwiających w dziedzinie praktycznej, jak np. że na dzikiej wsi lepiej chodzić w długich butach, niż w trzewikach; w dziedzinie zaś psychologicznej, że lepiej nic nie wiedzieć o Teo, niż być informowany o fluktuacjach jej łaski i niełaski. A przecie marzenie jego o kobiecie miało zawsze formę tej nielitościwej czarodziejki. — — —

Od sześciu tygodni, jak tu siedział, nie odebrał od niej listu, a jeden tylko list od Werdy. Kamil donosił z Wiednia, że trafił na „wielką partycję“ w Warszawie, że mu się z niej trochę złota okroiło, więc pojechał do Wiednia, do swego poczciwego krawca. Że wybiera się do Paryża, gdzie pani Teo znajduje się, ale podobno *très peu mondaine*, jakby w żałobie, łatwo się domyśleć, po kim. Kończył wyrazami najczulszej przyjaźni i otuchy.

Ten list raczej rozdrażnił, niż uspokoił Kotowicza. W świeżem powietrzu tutejszem przemyły mu się oczy: jakoś inaczej, jaśniej i krytyczniej patrzył naprzykład na Kamila. I Teo, choć tylko charakteryzowana w cudzym liście, wydała mu się nieszczerą, nietylko nieobliczalną z dnia na dzień, — jak o tem wiedział już dawno — ale

nieszczera w słowach i przybieranych pozorach, naprzykład w tej „żałobie“.

— Niech go dyabli z jego informacjami i całą misją! — wyładował Edward swą niechęć na Kamila.

I usiadł przy otwartem oknie, w miejscu już zwyczajnem, którego jeszcze nie nazywał ulubionem, ale chętnie do niego powracał. Była stąd luka widoku na Ptycz i na ciągnące się za nią mokre łąki. Maj poubierał już drzewa, a łąkę przetkał bogato złościstym kaczeńcem. Cisza była zupełna; stalowa rzeka leżała bez ruchu na jaskrawej płaszczyźnie, jak szabla na zielono-złotej makacie. Pogodne, lecz blade niebo majaczyło mgiełkami, zawiązującemi się tu i owdzie w obłoki. Brzęczało może parę pszczoł w pobliżu, może tylko cisza dzwoniła w uszach.

Edward pił przez dobry kwadrans powietrze, nasycone ruchem kosmicznym wzrostu nowej wiosny; pił i leczył chciwie płuca, naddarte nerwowym kaszlem, duszę rozkołataną nadużyciem niebezpiecznych wrażeń.

Niegłośna rozmowa wynikła w pobliżu i doszła do uszu Edwarda, nabierając wartości zgiełku; w porze porannej głos ludzki między tem oknem, a Ptyczą był niezwykły, to też Kotowicz pomyślał, że coś się stało. Przysłuchał się — — rozmawiało dwoje włościan białoruskich — ale nie dosłyszał treści. Po chwili zobaczył Halimona, rybaka, zdążającego do swojej sieci, rozpiętej na kółkach przy rzece.

— A co tam, Halimon?

— A to, panoczek, Chima przyszła.

Kotowicz słyszał już raz to imię oryginalne i szukał w pamięci, z jakiego powodu? — — Rybak mu przypomniał.

— Co od niej Lauren w proczki paszou¹⁾. Szukała

1) precz sobie poszedł, porzucił.

ona jego cały miesiąc i, nie znalazłszy, powróciła. Biedna ona.

Halimon przeszedł, zabrał swą sieć i zniknął. Wieść uciszyła się znowu aż do dzwonek w uszach. A po chwili zobaczył Kotowicz bosą dziewczynę w szarej płótniance, sunącą jak cień ku rzece. Nie patrzyła na dwór, nie dostrzegła też dziedzica w oknie; stanęła nad rzeką, wpatrzona w nią, jak posąg płaczki nad mijającym bez wesela życiem. Była to bezwąt্পienia Chima. Edwarda wzruszyło pewne pokrewieństwo losowe z tą dziewczyną — zapisał na kartce, że ma wypytać o Chime i dać jej coś na pociechę. Nad to poruszenie fal ciszy przez powrót Chimy nic się nie stało głośniejszego tego dnia w Turowiczach.

Za to w trzy dni później rozchwiała się doszczętnie cisza sumienia, osnuwająca już poniekąd Edwarda. Przyszły dwa listy, od Kamila i od Teo.

Jej list, pisany po francusku, był taki:

Kochany przyjacielu!

Niech się pan przyzna, że oczekiwał listu odemnie, bo wam, mężczyznom, zawsze się zdaje, że się wam od nas coś należy — — Jak pan wie, jestem odmiennego zdania. Więc, że dzisiaj piszę, to fakt nadzwyczajny, to odstępstwo od zasad, to gwałt zadany mej miłości własnej. Mówił mi pański przyjaciel Kamil, że pan ma do mnie jakąś urazę (??) — nie zapytałam nawet jaką, tak mi się to dochodzenie wydało komicznem. Ale opowiedział mi także pan Kamil, że pan źle wygląda i że nieszczęśliwy? — — to mnie szczerze boli i dlatego piszę. Bo ja także wcale nie czuję obecnie radości życia, więc może zetknięcie się naszych niedoli przyniesie ulgę obojgu! — POCO jednak te wszystkie usprawiedliwienia? — piszę do pana, bo taka moja wola.

Tułam się po Paryżu — nieznośnym. Wszystko, com kochała w tem mieście jedynem: wytworność bez pedanteryi, bogactwo bez dorobkiewiczostwa, dzielność bez fanfaronady — wszystko mi się dzisiaj wydaje tylko kłamliwym afiszem, obiecującym nieziszczalne widowisko — — Śni mi się w Paryżu jakaś ogromna kąpiel w samotności, bez domów, ulic, ludzi, bez grobowego okrzyku „La Presse!!! — — Rzeka płynąca przez dziewicze lasy, niebezpieczna łódka kierowana przez dzikich satyrów, a w łódce... może nas dwoje? — — —

Podobno pan mieszka w takim pejzażu? — Dostyc chyba powiedziałam, jak na moją dumę i na pańską domysłność? — Dodam jednak, że poszukujemy z Tomem miejsca wycieczki na lato, innego, niż uniemożliwione przez żydów kurorty. Nie wątpię ani na chwilę, że pana ta wiadomość zelektryzuje, ale posądzam go o meskineryę: odpowie pan, że pierwotność warunków, brak zabaw i liczniejszego towarzystwa onieśmielają do zaproszenia na taką wieś mnie, kobiety rozbałamuconej przez zbytek. Może jednak zdobędzie się pan na dowcip i zgadnie, że ja właśnie szukam takiej bezludnej przestrzeni, gdzie mogłabym kąpać się naga w słońcu i w ciepłym deszczu...

Czy powiedziałam za dużo? — Nie pal pan jednak tego listu, opraw go w ramki...

A teraz pozwalam panu całować... to co jest między nami — przestrzeń.

List był nie podpisany, ale jakież Jej! Jak przenikał powiewem jej odurzających perfum! Był zresztą poparty przez list Kamila z tej samej daty, który kontrasygnował usposobienie i zamiary pani Teo w stylu konkretniejszym, rzecz można: handlowym. Jednak o dalszej zaliczce na poczet dokonanych przeobrażeń w umyśle Teo nie było mowy w liście.....; miał bowiem zasadę nie

zostawiania na piśmie żadnych śladów swych operacyi finansowych; obiecywał się tylko także na lato do Turowicz, zapewniając, że w niczem nie będzie przeszkadzał.

Niespodzianka tych nowin podziałała osobliwie na Edwarda; tak zwane „szczęście“ przybywało mu burzliwym wichrem na organizującą się już znośnie niedolę, rwało sieci projektów, pociągało go znowu w przyszłość zawrotnym pędem z pominięciem twardych stopni, po których drapał się od pewnego czasu do wyzwolenia.

Zbadać wartość majątku — sprzedać — zapłacić — to były stopnie obowiązujące, według sumienia; Kotowicz stał dopiero na pierwszym, gdy mu zaproponowano podróż aeroplanem w obłoki, albo w przepaść. — Teo w Turowiczach! to nie zwykła wizyta, zabierająca trochę czasu, ale zupełny przewrót nastroju i zamiarów. Przyjazd jej tutaj znaczy... przyzwolenie? — nie można tego zrozumieć inaczej; tysiąc innych miejsc znalazłaby na odpoczynek od zgiełku światowego — czyż nie mówi wyraźnie w liście o tęsknocie do tej, nie do innej sielanki? — Mówi wprawdzie zawile, ponętnie i odpornie — taka już była zawsze. Co wynikłoby z jej pobytu w Turowiczach? Rzeczy nieobliczalne, jednak w żadnym razie nie pozbawione rozkoszy. Napewno zaś wynikłoby jedno: przerwa w zabiegach materyalnych, a może ich zniweczenie? — Nawet wypadnie sporo wydać na przyjęcie takich gości: Teo, nie mającej wyobrażenia o cenie rzeczy i zachcianek — no i męża, i Kamila. — — Gdyby przynajmniej przyjechała sama!

Po nocy, w której Teo majaczyła mu jako ułaskawiona, dostępna, zdzięcinniała prawie w grach sielskich, przyszły na Edwarda inne szeregi namysłów w świetle majowego poranka. Czy warto nawiązywać tę potarganą nić, która go łączy z Teo, a przez nią z systemem życia już obrzydłym, z poszukiwaniem w zgiełku i niepokoju

zawodnej rozkoszy? Przypuśćmy, że uda się to lato z nią w puszczy, a potem co? — Biarritz, znowu Riviera, Paryż? — Gdzież na to środki? — a gdyby się znalazły, gdzież do tego przekonanie i zapal? Nie mógł się też spodziewać, że Teo zmieni swą naturę doszczętnie i stanie się odtąd miłą, kochaną i równą towarzyszką życia. —

— Gdzie jest źródło wszystkich moich udręczeń i zawikłań? — pytał się Kotowicz i odpowiadał matematycznie: w krańcowem przeciwieństwie naszych pojęć o szczęściu. Ona chce zawsze czegoś poza obrębem możliwości dzisiejszej. — Czy to dążenie wzwyż, czy tylko gdzieindziej? — Miotają ją tak zwane „aspiracye“, dla których ma kult najwyższy — ale jaka jest ich treść właściwa? — — być ubóstwianą nie jako dobra kochanka, lecz jako najponętniejsze z nieszczęść. — Ale znowu tajemniczość jej słów i porywów, piękność jej, taka jedyna, oczy pełne duszy niby uwięzionej i rwącej się do wyzwolenia, pozwalają przypuszczać, że ta kobieta może nareszcie odnajdzie siebie w jakimś wielkiem uczuciu dla mężczyzny? — — Ejże? — Teo miałyby kochać kogoś oprócz samej siebie? — —

— Tak i pędź ty ją do czorta! — namawiały po grubiańsku białoruskie rozłogi.

Bo Kotowicz nie porzucił jednak rozpoczętych zajęć i dzisiaj od rana taksował drzewo w lesie, potem zaś, powracając do domu, zatrzymał się przy roli, gdzie zasiewano owies, tuż za ogrodem.

Siew odbywał się sposobem starożytnym, rzutem ręcznym. Na różowo-szarej, pulchnej roli, bosi siewca postępował rytmicznie, błogosławiąc pole co chwila błyskającą mgiełką złocistego ziarna. Wyglądał na kapłana prastarej jakiejś, lecz jeszcze żywej religii. Gdy zbliżył się do krańca uprawnej roli, Kotowicz rzekł poważnie, według obyczaju:

— Dopomóż Boże! — —

— *Pomahaj Boh i ciabie, panoczek!* Wszak panu siejem.

Rzewność ujęła Edwarda za serce. Po raz pierwszy uczył wdzięk posiadania ziemi; zacna jej woń pachnęła mu pochlebnie; schylił się i wziął garść szarej próchnicy, trochę udając, że bada jej gatunek, ale właściwie chciał tylko uścisnąć ją w dłoni.

Rozsypywał grudkę powoli, dumając. Ani się spostrzegł, że za wyrostkiem kredensowym zdąża ku niemu Antoni Olesza, przyłapując go na gorącym uczynku gospodarowania.

Powitali się ukłonami z oddalenia. Kotowicz wycierał chustką rękę, aby ją podać sąsiadowi Ale Olesza wołał:

— Uszanowanie panu i szlachetnie utrudzonej jego prawicy! Widzę, że pan jednak troszczysz się o gospodarke? — No i pięknie.

— Nie długo tego będzie — odrzekł Edward niby lekko, lecz z odcieniem smutku.

— Pozwól pan wyrazić zdanie dawnemu przyjacielowi swej rodziny. Nie puszczaj pan tylko ziemi z rąk. Kochać ją, czy nie kochać? — to inna sprawa. Ale śpieszyć się ze sprzedażą — niepraktycznie. Niema jeszcze kupców na ziemię u nas, choć siłą warunków ogólnych cena jej rośnie szybko. Tutaj tylko zorganizuj fabrykę leśną, wyciągniesz pan w ciągu paru lat więcej z części lasu, niż byś wziął dzisiaj za całość majątku. Obacz pan, ilu sąsiadów, którzy lat temu dwadzieścia mieli zaledwie średnią sytuację, dorobiło się milionów, zachowując ziemię i rąbiąc las umiejętnie.

— Tak... ale jeżeli komu zbyt wielkie sumy potrzebne zaraz, trudno — oponował Kotowicz łagodnie, przeczuwając przyjazne zamiary Oleszy.

Starszy sąsiad umilkł, bo nie chciał ściągnąć na siebie podejrzenia, że ma jakieś w tem osobiste widoki.

— Jak zdrowie panny Marceli i panny Reginy? — przerwał milczenie Kotowicz.

— Dziękuję, dobrze — skrócił swą odpowiedź Olesza, zapewne z tych samych względów, co poprzednio.

Nie był błyskotliwy w rozmowie, jednak rad widziany wszędzie, gdzie się ukazał, jako człowiek; niezawodny w przyjaźni, w sumiennosci i w radzie. Kotowiczowi uśmierzał Olesza nerwy, zadowalał oczy estetyczną prostotą, działał na niego, jak ta ziemia siewna, dzisiaj pojęta — godził z dostojeństwem, a nawet wdziękiem zawodu ziemiańskiego na zapadłem Polesiu.

VIII.

Ciepła pora wybuchła tego roku nagle i przeistoczyła krainę w królestwo roślinne, w którym ludzie i zwierzęta przepadali, jak rzadkie owady, a domy i wioski, jak ukryte ich gniazda. Rybak na Ptyczy widział jeszcze z jednego miejsca dwór Turowicki odsłonięty w rozwarciu wybującej dąbrowy, ale od pocztowego traktu siedziba, ogarnięta przez ogród, miała wygląd zielonego kurhanu, i tylko wprawne oko krajowca rozróżniało ją od tych pagórków, porośłych już lasem, wielkich ziemnych pieców rozsianych po okolicy, pozostałych po odwiecznych wyrobach smoły. Kto się jednak zbliżył do dworu, zobaczył, że starożytna osada jest natury innej, przyjemnie mieszkalnej, zaciśnięta nieprzebranemi bukietami kwitnących bzów i jaśminów, górująca nad niemi zdrowym jeszcze dachem, a tylko drzewa stare jak dom, dęby jeszcze starsze, obstały ją tłumem ochronnym od wichrów i od oczu wędrownych ludzi zbyt ciekawych.

Okna, otwarte od wschodu do zachodu słońca, wpuszczały teraz do wnętrza domu powietrze tak przesycone zapachami wiosny, że mieszkańcy oddychali bżami, pili bez lotny przy jedzeniu, lżejszy o południu, wieczorami zaś cięższy, pomieszany z wyziewami wód leśnych, łąk zarzecznych narosłych młodą trawą, kadzielnic zewsząd rozkołysanych kwiecica, listowia i igliwia.

Powietrze to było dobroczynne; czerpał je Kotowicz w płuca dużo śmieiej, niż atmosferę zaprawną piż-

mem i tytuniem; rzadko już kaszłał i mniej palił papierosów. Czuł popęd do ruchu i fizycznego utrudzenia, a gdy go zażył przez dzień, zasypiał wcześniej i budził się rano raźniejszy, niż kiedykolwiek. Dochodził do przekonania, że pobyt na wsi ma, oprócz innych, jeszcze jeden dobry skutek kuracyjny.

— A zatem — powracał do swej nieodstępnej myśli — i Teo, pobywwszy tutaj, możeby się przeistoczyła w kobietę pogodną, szczęśliwą i uszczęśliwiającą? —

Ale nie mieściło mu się to łatwo w wyobraźni: ona tutaj! — Gdzieżby mieszkała? — w pokoju z czeczotkowymi meblami, z zielonym parawanem?! Gdzież kąpiel i gotownia? gdzie pomieszczenie dla jej panny służącej, francuski? — Mąż i Kamil musieliby się zadowolić gościnnymi pokojami, jakie są, ale ona? — Ona gdy się wprowadza nawet do Palace-hotelu, przewraca go do góry nogami dla swych indywidualnych wymagań i wstrętów. —

Czy ona tu rzeczywiście przyjedzie? — namyślał się Edward, a miał zasadę do powątpiewania, bo odpisał na list z kilkudniową zwłoką, co razem z niedołęstwem miejscowej poczty przeciągnęło porozumienie z Teo pewno do dwu tygodni. Odpisał grzecznie, może i dosyć serdecznie, bo nie wspomniał wcale o swych udrękach — ale przesadził umyślnie prostotę i niewygody pobytu w Turowiczach. — „Sypiamy tu na sianie — pisał — jadamy tylko to, co się złowi w Ptyczy, albo upoluje w puszczy; jeżeli pani była kiedy w bretońskiej chacie, to sobie wyobrazi moje najlepsze pokoje i t. d.“ Rozpisał się wprawdzie o pięknościach lasu i o dziwnym nastroju polowania na głuszce, a Kamil, który tu był, mógł zmodyfikować umiejętnie opisy nędzy turowickiej. Ale opieślność odpowiedzi mogła zniechęcić Teo? Ona się w przeciągu dnia zmienia z anioła w dyabła, cóż dopiero przez dwa tygodnie!

Trzeba było przewidzieć wszystko na wypadek przyjazdu. Spodziewanie to rozmarzające nie uspiło jednak rozbudzonej uprzednio energii Kotowicza. Owszem, postanowił przed tym wypadkiem zdwoić swą działalność, aby tem więcej mieć czasu dla Teo, gdy przyjedzie. Do ciężkich i nudnych starań o sprzedaż lasu przybyły inne, znacznie zabawniejsze. Meble czeczotkowe trzeba odświeżyć, na gwałt zbudować łazienkę w domu, przy rzece zaś altanę z debarkaderem, z którego wygodnie schodziłoby się do pięknej łodzi. Wyobrażał sobie z lubością, jak podawać będzie rękę Teo, zstępującej do łodzi, poczem łódka pomknie, płosząc na wodzie łabędzie — — które także kupić wypadnie. — — Tylko, że popłynęłyby zapewne po Ptyczy daleko, a tamby je kto ustrzelił — — Obejdzie się więc bez łabędzi.

Wogóle Kotowicz odsuwał od siebie pomysły zbyt wybujałe w kierunku przepychu, a pocieszał się rozumowaniem, że nie należy wprowadzać tu szczegółów pałacowych, któreby tylko podkreśliły resztę prostacką i zatechłą. Ale przecie potrzebne: wygodna sypialnia, kąpiel, choć jeden dobry powóz, łódka, konie do zaprzęgu i podwierzch. — Gdy obliczył koszt tego wszystkiego, doszedł do cyfry kilku tysięcy rubli, których nie posiadał. Trzeba je zaraz zdobyć, kupić rzeczy niezbędne, a wydatek nie będzie wyrzucony za okno, bo przecie wszystko to zostanie nadal w domu. Tak paktując chytrze ze zdrowym rozsądkiem, postanowił pewnego dnia wyjechać do Mińska. Potrzebne to dla interesów, dla zakupów, dla przyśpieszenia wszelkich robót, które przez korespondencyę i przez posłów odwlekają się do nieskończoności.

Nie była to lekka wyprawa: jazda kilkadziesiąt wiorst końmi do stacyi kolei, następnie koleją w przeciwnym kierunku do Homla, oczekiwanie tam przez kilka godzin pociągu do Mińska. — — Podróż z Turowicz do

gubernialnego miasta zabierała prawie całą dobę. Jednak Edward, wypoczęty fizycznie, wybierał się w drogę ochoczo i z humorem zachodniego turysty etnograficzne osobliwości podróży.

Póki jechał, z przeprzęgiem koni, krajem nieskończenie lesistym i rozkwitłym, było mu dobrze w landarze brudnej, ale kołyszącej dosyć łaskawie, aż do zachodu słońca. Ale ze światłością dnia nikła przyjemność podróży, rozpoczęła się walka z niepewnością. Powóz zabrnął w kraj bagnisty, po którym droga wiła się czarnym węzłem przez mokradła i pustkowia. Kilka już mostów ominął woźnica, przejeżdżając obok nich w bród przez grzazkie ruczaje; świeże ślady uprzednich przejazdów tym samym szlakiem świadczyły, że omijanie mostów nie było przypadkiem, lecz ustalonym zwyczajem. Ale przy wjeździe do jakiegoś znów lasu woźnica, dotychczas wzbudzający zaufanie przez swój spokój, odezwał się frasobliwie:

— Tylko nam przez jeden tu mostek przejechać — będzie dobrze.

— Ładna perspektywa! — pomyślał Kotowicz i wkrótce przy dogasającym świetle dziennem ujrzał taki krajobraz: w poprzek drogi leśnej płynęła rzeczka, rozlewając się na drodze w małe jeziorko. Do tego jeziorka wpadała czarna grobla i wychodziła z niego o kilkadziesiąt kroków dalej, ale na przerwie ginęła zupełnie pod wodą — tylko pośrodku przypuszczalnego kierunku drogi pływał na wodzie most, jak tratwa: zdawało się nawet, że kołysze się zlekka na fali.

Cztery konie, idące w poręcz, stanęły przed wodą, chrapiąc. Kotowicz pomyślał o wyskoczeniu z powozu i przejściu pieszo — ale jakże tu przebrnąć i kto wie, jak głęboko? Więc tylko oburącz chwycił za brzegi budy powozowej, a woźnica, przeżegnawszy się, zaciął konie. Skoczyły w wodę, orczykowe przyciśnięte do dyszlowych,

i landara brnęła coraz głębiej, celując w most pływający na środku rozlewu. Wśród ogłuszającego plusku i tupotu zadudniał grzmot drewniany — osiągnięto mostu. — Chlust znów, jeszcze trochę głębiej, aż się wody nabrało, do wasagu — Kotowicz zadarł nogi do góry — wreszcie konie i ludzie odsapnęli na lądzie stałym.

— Tak teraz już, panoczek, bajki! — rzekł wesoło woźnica — dojedziem!

— Cóż się tutaj stało? — pytał Kotowicz, oglądając się na piekielną przeprawę, — jechałem przecie tędy w przeszłym miesiącu i nie pamiętam tej grobli.

— Tak ja-że, panoczek, *na cianki* ¹⁾ pojechał. Pocztową drogą sześć wiorst dalej.

Nie strofował już Kotowicz woźnicy po zwyciężkiem przebyciu ostatniej przeszkody, w imię zasady, że się zwycięzców nie karze. Dalsza droga okazała się przynajmniej suchą i dojechano do stacyi na godzinę przed odejściem pociągu.

Drewniany budynek stacyjny pogrążony był w mroku zupełnym. Kotowicz wszedł w kurytarz, namacał klamkę, otworzył drzwi do nieokreślonej przestrzeni, woniejącej kopciem, juchtem i mokrem łykiem.

— Jest tu kto? — zawołał niecierpliwie, krzyszcząc się.

Przy mdłej latarce, postawionej na podłodze, spał posługacz na ławie. Zbudził się, zamruczał, zapalił powoli naftową lampę bez klosza, wziął ją do rąk i prowadził pasażera, ocenionego po głosie, do sali I i II klasy. Zaduch tutaj był podobny, pomnożony przez woń farby olejnej i kilku ciał ludzkich, które poruszyły się z różnych kątów na grom otwierania drzwi spaczonych i pod wtargnięciem lampy. Jakiś rozczochrany pasażer w długich butach zmartwychwstał z kanapy, zmarszczył się,

¹⁾ Na przelaj.

zaklął do czorta i wyszedł z izby; snadź nie należał do tej klasy, którą sobie obrał na nocleg. Na innej kanapie otworzyła oczy kobieta drzemiąca między trojgiem dzieci, jednym w pieluchach, i nieruchoma patrzyła, co się z nią teraz stanie? — Ale dano jej spokój przez wzgląd na oczywiste macierzyństwo i przypuszczalne wdowieństwo.

Posługacz, rozcmychany ze snu, przyjrząwszy się bogatym szatom i walizie Kotowicza, wyprężył się przed nim służbiście:

— *Samowar prikażete, wasze sijatelstwo?*

— Można... a czy jest bufet na stacyi?

— Niema. Ale arbata i cukier u stróża można dostać.

Chyba że jasny pan masz swoje?

— Co swoje?

— Arbate i cukier — —

— Gdzież tam! Daj mi herbaty, naturalnie z cukrem — i bułką, jeżeli znajdziesz.

— Słucham.

Po chwili stanął na stole ogromny przyrząd do jednej szklanki herbaty, którą Kotowicz wypił z przyjemnością po utrudzeniu podróży. Pierwszy raz wieczerzał w tych warunkach i bawił się nowością.

Jednak dalsza podróż, z wylądowaniem we środku nocny w Homlu, czekaniem tam znów paru godzin z przejściem do nowego wagonu, gdzie „kontrola biletów“ przez panów w okularach i bez okularów, z brodami i bez bród, z pojedynczym lub pomnożonym galonem, budziła go co godzina, aż do świtu — była mniej zabawna. Zasnął wreszcie przy świetle dziennem i skołatany dojechał po południu do Mińska.

Pierwszy raz tu był i, przecierając oczy, dopatrywał mozolnie śladów starożytnej kultury tego miasta. Pozostała w kilku murach kościelnych z epoki Zygmuntońskiej, odradzała się w paru okazałych gmachach świeżo wznie-

sionych przez okolicznych obywateli Woyniłłowicza, Uniechowskich, Obrąpalskich. Ale reszta śródmieścia głośliła tryumf panowania i rozkwitu żydowskiego i zapewne żydzi wynaleźli te nowe nazwy ulic dla pochlebiaenia miejscowym potęgom: Gubernatorska, Zacharjewska, Policyjna... Stały przy nich domy pstrokate, jedne z muru nietynkowanego, inne z drzewa, w stylu miasteczkowych karczem. Fronty kamienic i domków ogłaszały nazwiska i powołania właścicieli na swych sercach kramarskich, szyldy skombinowane oryginalnie, naprzykład: Bakalie i żelazo — Skóry i samowary. W większych sklepach zgromadzone było wszystko razem: towary łokciowe i galanteryjne, oclone i szwarcowane, artykuły spożywcze i vomitoria. Kotowiczowi, choć był głodny, odechciało się jeść na czas dłuższy.

„Skakał na jamszczyku“, który, pomimo, że targał konia, zmuszając do wyścigowego kłusa dzikimi okrzykami, pomimo że nosił sarafan i kaszkiet rosyjski, a siedzenie miał wypchane do rozmiarów nadprzyrodzonych, gdy się zapoznał z Kotowiczem, mówił po polsku i dawał żądane objaśnienia.

Kotowicz nie pożądał tymczasem niczego ze sklepów, szukał według zanotowanych adresów technika leśnego, stolarza i fabrykanta robót cementowych. Ci ludzie, coś produkujący, nie mieszkali w kramarskim śródmieściu. Z uczuciem ulgi wjechał w uliczkę szerokości zaledwie jednego powozu, w pobliżu placu Katedralnego; rynsztok biegł środkiem tego stromego zaułka między wysokimi, ślepyimi murami; w rozstępach murów błyskał widok wesoly na rzekę Swisłocz i zielone, niższe miasto.

Ale technika leśnego nie było w domu.

Więc znowu przeleciał Edward górne miasto wyciągniętym kłusem — już go poznawali żydzi i czapko-

wali mu, zapraszając do swych kramów. Zabrał teraz w ulicę szeroką, wiejską, niebrukowaną, między dwa rzędy przyciętych topoli i drewnianych dworków drze- miących. Ale i stolarza, który mieszkał w jednym z nich, bez szyldu, nie było przy warsztacie; nie można było nawet dowiedzieć się napewno, kiedy powróci.

Mimowolnie porównał Edward beztroskę chrześcijan z zawziętem czyhaniem żydów na klienta.

Szukał teraz fabrykanta cementu, gdy zaczął padać deszcz rześisty. Woźnica podniósł budkę dorożki, tak niską, że Edward mógł pod nią siedzieć tylko skulony. Tymczasem nadciągnęła burza wiosenna, żadna pohulania, jak sfera ogarów, trzymana przez całą zimę na uwieży. Ulewa zasnęła odrazu zewsząd widownię mętno-kryszta- łową tkaniną; zabębniła po brukach i dachach, zatrąbiła ochryple w rynny, połała się potokami przez rynsztoki.

— Do kawiarni „Select“! — wrzasnął Kotowicz, sta- rając się przekrzyknąć grzmoty i szумы.

Nie dosłyszał odpowiedzi woźnicy, który pochylił się nad zadem konia, zaciął kańczugiem po szyi i puścił szalonym pędem dorożkę po nawodnionym bruku. Silnie i dziko grzmiała ta jazda: koń, woźnica i wóz kryty — pędziło na dół po pochyłości, w oberwanej chmurze, na wyprzódki z potokiem, rwącym już całą szerokością ulicy. Moznaby tak pojąć posagowe uosobienie wodo- spadu.

Gdy wpadli na główną ulicę, ulewa już zelżała i w prześwietlonem bardziej powietrzu widok był niepospo- lity. Od ściany domów do ściany przeciwległej przewa- lała się woda żółta po karbach bruku; były w niej prądy żywsze wzdłuż chodników i małe Charybdy przy zlewach, wciągające w przepaść słomę, papiery, różne śmiecie. W otwartych drzwiach sklepów, pod łukami niektórych bram ukazywały się twarze rozweselone tem opatrnościowem

obmyciem miasta; wysoko podkasane, bosc wyrostki o- śmiały się już do przeskakowania wbród ulicy.

Z pluskiem i trzaskiem zatrzymała się wreszcie do- rożka przed restauracją „Select“. Kotowicz skulił się jeszcze bardziej i ze stopnia powozu wykonał szczęśliwie duży skok na schody kawiarni, przez powódź, zajmującą chodnik. Odpiął płaszcz przemokły, otarł chustką twarz ociekającą wodą, jak po kąpieli, i przedewszystkiem po- myślał o tem, że jest bardzo głodny, bo właściwie nie jadł nic porządnego od dwudziestu czterech godzin — poszedł więc do smakowicie zastawionego bufetu. Dwa miesiące temu nigdyby się nie pokazał przy obiedzie w ubraniu podróżnem, w pomiętej białźnie, w zabłoconych trzewikach. Ale tutaj Mińsk — głód dokucza — i przy pracy trochę się już zdziżało.

Zdziwiła go przyjemnie duża sala restauracyjna, o której słyszał cuda od Juchniewicza i dlatego właśnie spodziewał się jakiejś ohydy. Sala była owszem czysta, gustowna, banalna jak na Paryż, ale zadziwiająca w Mińsku. Starka Korkozowiczowska, której skosztował, była przednia, przekąski smaczne. Z wilczym apetytem oczekiwał zamówionego obiadu, rozglądając się po sali, gdzie zajęte były przez gości tylko dwa stoły: przy jednym rodzina żydowska, potwornie wystrojona, rozmawiała po rosyjsku. Edward odwrócił się od tej kompanii i spojrzął w przeciwległy kąt, gdzie siedział samotnie chudy mężczyzna, z romantycznie uśmiechniętymi oczyma, swoj- skiego typu.

— Gdzieś go już widziałem... — pomyślał Kotowicz, gdy ów pan ruszył się od stołu, ujął laskę w lewą rękę i z widoczną trudnością zaczął przystępować do Edwar- da, powiewając prawą stroną ciała obezwładnioną.

— To pewno Sas? — uderzyło Kotowicza nagle ja- snowidzenie z lat dziecięcych — nic się nie zmienił...

— Wszak się nie myłę? pan Edward Kotowicz? — rzekł kulawy pan serdecznie.

— Witam pana Justyna Sasa... ale jakże mnie pan poznał?

— Intuicyja! — zresztą widziałem pańską fotografię — — Pozwoli pan?

— Ależ bardzo proszę!

Sas usunął na bok laskę i upadł lekko na sam środek krzesła; radził sobie wogóle bardzo zgrabnie zę swoim kalectwem. Przypomniął Edward malownicze określenie Moroza: „*chwaroba* jemu połowę ciała *pakrucila*, a taki druga połowa po świetle chodzi.“

— Na długo pan do Mińska? — rozpoczął sąsiad.

— Wyjechałbym już na noc z powrotem, tylko mi ulewa przeszkodziła; nie mogłem odszukać ludzi potrzebnych.

— A można się i w Mińsku zabawić — mignął Sas wesoło oczyma, które zresztą ciągle mu się śmiały.

— Ej-że? — powątpiewał Edward — miasto niesympatyczne.

— Niczego sobie. Naturalnie, że nie Paryż. Wracam właśnie z Paryża.

Nie spodziewał się tego Kotowicz i zapytał żywiej:

— Niedawno tam pan był? To byliśmy zapewne razem?

— Byłem przez marzec i kwiecień.

— W takim razie byliśmy jednocześnie.

— Tam i znając się, trudno spotkać... Babilep!

— Jak to?... Babilon?

— Ja jego nazywam Babi-lep — — no: lep babi.

— Ach tak! — zaśmiał się Kotowicz przez grzeczność i zanotował, że Sas powraca chętnie do tematów erotycznych.

Wtem kelner przyniósł na tacy dwa kielichy szampana, postawił na stole butelkę otwartą i przykrył ją serwetą.

— Co to? — zapytał Edward — mamy pić szampana? tak za dnia? — —

— Owacya gospodarza restauracyi dla dostojnego gościa — odrzekł Sas żartobliwie. — Zdrowie pańskie, panie Edwardzie.

Wychylił kielich duszkiem i mlasnął:

— Lubię to wino.

— Ja także — odpowiedział Kotowicz, podniecony przez uprzejmość sąsiada — dla mnie istnieją dwa tylko wina: szampan i czerwone Bordeaux, tak zwane „*l'ami de l'homme*“.

— A nie — zaprotestował wesoło Sas — to Burgund nazywa się „*l'ami de l'homme*“.

— Dlaczego Burgund koniecznie?

— Bo dodaje męskiego animuszu... do figielków... rozumiesz pan?

I przebierał figlarnie palcami lewej ręki, jedynej żywej.

— Tak, tak, słyszałem. — — Mnie zaś dzisiaj smakuje wyjątkowo szampan, bo go nie piłem od dwóch miesięcy, od czasu jak jestem w Turowiczach.

— Pracuje się trochę? — zapytał Sas przyjaźnie.

— Muszę urządzić interesy.

— Zupełnie jak ja. Siedzę na wsi przez lato, jesień i część zimy. Dłubie się w roli, wyhoduje trochę koni — mam niezłą stadninę — pociągnie się za warkocz trochę sosenek do Ptyczy — i pod wiosnę jest woreczek złota na zagranicę. Co roku wyjeżdżam.

— Co roku? — powtórzył machinalnie Kotowicz.

— Sądzi pan, że to niemoralnie? — Cóż? — sam je-

stem, *dzieciuk* ¹⁾ jeszcze, jak u nas powiadają. A lubię życie.

Zwykle rwanie się do życia ludzi chorych, pobudza zdrowych do śmiechu. Ale Sas był wcale nie śmieszny, owszem — sympatycznie rozrzewniający: zapal jego do uciech musiał być przemożny, skoro przetrwał młodość i zwyciężył kalectwo. Przytem miał rzadki rodzaj humoru, lekko podrwiwający z siebie, pobłażliwy zaś dla całego zewnętrznego świata. Wszystko było mu dobre: i Paryż i Mińsk; zasadniczo kochał każdego napotkanego człowieka, z predylekcyą jednak dla kobiet.

— Mam tu kilka paryżanek — — dobył z kieszeni fotografie i pokazał Kotowiczowi — pikantne? co?

Edward przeglądał z uśmiechem:

— Czy to wszystko pańskie... ofiary

— At, ofiary! — Ja jestem ich ofiarą — — ale nie skarżę się — miłe bestyjki. Któraż się panu najlepiej podoba?

— Chyba ta wysmukła brunetka — ma bardzo piękną linię pleców.

— To niech-że ją pan przy sobie zatrzyma, proszę.

— A na cóż mi ona, drogi panie?

— Tak... myślałem, że dobrze mieć przy sobie piękną kobietę... choć w kieszeni — dodał ze swym pogodnie drwiącym uśmiechem.

— Nie chcę pana jej pozbawiać, panie Justynie.

Zaczęli drugą butelkę, którą teraz Edward poczuł się w obowiązku postawić. Ale przyszło mu nagle do głowy pomiarkowanie:

— Źle robimy, panie Justynie. Mnie wino szkodzi, pewnie i panu?

— Szkodzi — odrzekł Sas butnie — życie nadgryza codzien człowieka, aż go zje i przetrawi. Ale po co się

¹⁾ niezonały, kawaler.

umartwiać, aby trwać dłużej w umartwieniu? Lepiej chyba łowić słodycz życia, póki się da — i bez ludzkiej krzywdy?

— Poprawne wydanie nauki epikurejskiej — orzekł Kotowicz. — Ale bardzo to pięknie, tylko ja mam w Mińsku parę interesów.

— No powiedz pan, jakie? Ja w Mińsku jestem, jak w domu, mogę pomóc.

— Potrzebny mi naprzykład ktoś do robót cementowych! chcę mieć posadzkę w łazience.

— Toż u mnie taki pracuje przy schodach! Za dwa dni kończy — przyślę go do Turowicz. Oszczędzi pan koszt jego podróży. — No i co dalej potrzebne?

— Szukam dobrego stolarza. — —

— To pan lepszego w całej Mińszczyźnie nie znajdziesz, jak ten, który jest u mnie na pensyi rocznej. Meble robi na wystawę, umie inkrustować — wszystko, co pan pomyślisz! Przyślę go panu zaraz; nie ma teraz u mnie pilnej roboty.

— Bardzo panu wdzięczny — ale mam jeszcze czynności, na które pan nie poradzi, pomimo swej nadzwyczajnej sąsiedzkiej uczynności. Muszę taksować las, więc udałem się do technika, który tu mieszka — nazywa się Petryszcze...

— Petryszcze?! — zawołał Sas — łajdak!... to jest nie wiem, jaki on tam, bo go znam za mało, ale widziałem jego robotę. Fuszerka! Są inni lepsi. — — A prawdę mam panu powiedzieć? — to ja sam najlepiej znam się na lesie. Co roku drzewo na kubiki sprzedaję, sam obliczam, znam ceny kijowskie i odeskie. — — Zapytaj pan, kogo chcesz, czy Sas nie umie cenić i sprzedawać? Przyjadę do Turowicz i ocenię.

— Doprawdy nie wiem, jak mam panu dziękować... Ale przecie nie mogę go tak wyyskiwać!

— Żartujesz, panie Edwardzie? Stary przyjaciel rodziny! Ośmielam się ufać, że nie obcy i panu?

Wyciągnął do niego zdrową swą rękę i przyłożył jeszcze biedne palce chorej. — Serdecznie oddał mu uścisk dłoni Kotowicz i pomyślał, że są dobrzy ludzie w tych stronach, stali w przyjaźni, przenoszonej aż z pokolenia w pokolenie.

IX.

— Pojedziemy dziś konno, Marcelko, ale daleko! To ci nawet posłużą na schudnięcie.

— Duszno jakoś od rana... deszcz będzie, Reniu.

— Gdzież tam! nie będzie — a na wypadek Jeusiej może przytroczyć nasze gumowe płaszcze za siodłem.

— A gdzieżbyśmy pojechały?

— Wiesz co, Marcelko? pojedziemy do Turowicz; nigdy tam nie byłam.

— Ani ja. Ale jakże to będzie wyglądało? czy chciałabyś zajeżdżać do dworu?

— Będzie tak wyglądało: dwie śliczne panny... czy my nie śliczne, Marcelko? — zabląkały się. Zapytują o drogę — aż tu przypadkiem dwór! — Wychodzi pan Kotowicz, naturalnie, zaprasza. A my przecie będziemy we dwie i ze starym Jeusiejem. — Zawsze tam ojcu nie warto o tem mówić, bo taki skrupulatny, że nas nie chciał zabrać do Turowicz. Ale tobie się dziwi! Jesteś niezależna, feministka, sufrażystka...

— Co ty zawsze napleciesz, Reniu!

— ...A boisz się rzeczy tak prostej! Zobaczymy jak mieszka pan Kotowicz — i tyle.

— Dla mnie to robisz, Reniu? — zapytała starsza siostra trochę drwiąco.

— Naturalnie, że dla ciebie — odrzekła Renia, czerwieniąc się — a zresztą wogóle... dla przyjemności.

— Odstępuję ci Kotowicza; on mnie wcale nie bawi.

— Dlaczego? — — Jeżeli będzie zabawnie, zosta niem... no, półtorej godziny; jeżeli nie, wsiądziemy zaraz i napowrót!

— A jeżeli naprawdę zabłądzimy? — bo to piętnaście wiorst przez las.

— Od czegoż Jeusiej? Zna wszystkie drogi na sto wiorst wokół.

Osiadłano konie, panny przyodziały amazonki i w towarzystwie furmana Jeusieja wyruszyły z domu. Nie zadziwiło to nikogo, bo Oleszanki często jeździły konno.

Skoro tylko oddaliły się od domu na sto kroków. Renia wprawiła swego konia w galop i pociągnęła za sobą dwa inne. Pocwałowano tak aż wgłąb lasu, gdzie przeszkody drogi zatrzymały kawalkatę.

— Pojedziemy teraz wolniej — odsapnęła Marcelka — bo mogłybyśmy ochwacić konie... i same będziemy wygładały, jak czupiradła

— Naturalnie, że wolniej! Trzeba było tylko pojechać prędzej, gdzie dobra droga — odrzekła Renia wcale nie zadyszana, zrośnięta r, tmicznie ze swym koniem.

Jechali przez las gęsiego, bo dróżka stawiała się coraz węższą, potem znów bagnistą na uroczysku Dzierzy. Puszczono naprzód Jeusieja który wybierał drogę między jej błędami rozkrzewieniami.

— Skąd ta woda tutaj? mieliśmy przecie suchą wiosnę — dąsała się trochę Renia z powodu opieszłości jazdy.

— Tutaj nigdy nie wysycha, grunt kryniczny — objaśnił Jeusiej.

Miejscami woda, miejscami czarne błoto bryzgało wysoko, aż na suknie. Panny wykręcały się ostrożnie między kałużami i gałęzmi, podkasały nawet wysoko amazonki.

— Nogi ci utyły, Marcelko — to podobno ładnie?

— Wcale nie utyły — — to ty masz piszczałki.

Z liściastego lasu wybrnęli nareszcie do sośniny suchszej i pojechali kłusa. Odurzający zapach żywicy trwał w powietrzu parnym, nieruchomem; konie zciemniały od potu i panny rozgrzały się na różowo; Marcelka podnosiła od czasu do czasu oba łokcie, jak lotki bezpiórych skrzydełek.

— Mówiłam, że deszcz będzie; tylko go patrzeć...

— A już musi będzie — potwierdził Jeusiej.

Śpieszyła kawalkata, jak mogła, spoglądając w górę, aby zbadać kierunek chmur, co było trudne na niebie, zwężonem przez wysoki, gęsty las, którym kompania sunęła jak drobne stadko saren. Wreszcie na polance, która się otworzyła przy Ciecieniukach ujrzano niechybną groźbę: granatowa chmura, ostro odcięta od pogodnego nieba, stawiała wpoprzek drogi. Jednocześnie zerwał się wiatr, mało jeszcze chłodzący po twarzach, ale dochodził do uszu z góry, płynął szeroką ławą szumu po czubach różkołysanych sosen. I słońce zgasło.

— Trzeba włożyć płaszcze. — —

Jeusiej zeskoczył z konia i podał troki, z których Renia wywinęła dwa płaszcze gumowe szare, dała jeden siostrze i sama ubrała się w drugi. Nasunęły obie spiczaste kapturki na głowy, a szare opony zaczęły łopotać we wzrastającym wietrze; trzeba było je przysiąść, ogarnąć jak najszczelniej około postaci. — — Tymczasem wielkie krople deszczu już je centkowały rozlaniami gwiazdami, jak skóry dzikich kotów. I do oczu panien doleciały bryzgi mocne, ale ciepłe, do ust — świeże i słodkie.

Doświadczenie uczyło jednak, że będzie gorzej, gdy się rozhula ulewa.

— Tu, tu pod dąb! — zawołała Renia i skierowała, konia pod wielki dąb, który stojąc przy drodze, miał czas i swobodę rozwinąć swą koronę w bogaty baldach.

Stanęli we troje konno pod osłoną. Teraz uciał deszcz nawalny, z samego jądra chmury. Miliony szeptów, pojedynczych zderzeń liścia z kroplą, zrazu dosłyszalne, zlały się wkrótce w jeden głos ogromny, oburzony, napełniający atmosferę.

— Stoimy pod najwyższym dębem — rzekła Marcelka — piorun może w nas trzasnąć.

— Tyle drzew w lesie ma Pan Bóg do wyboru, pocóżby w nas? — odpowiedziała Renia.

I pioruny omijały łaskawie dąb ochrończy, warczały tylko z oddali. Ale ulewa, której pierwszy impet chwyciły na siebie wyższe warstwy liści i zatrzymały, lała się teraz ciurkiem przez liście na gromadkę jeźdźców. Nie wiadomo było, czy lepiej stać pod dębem, czy jechać.

— Jedźmy! — zawołała Renia — już deszcz ustaje.

Poczekano jeszcze minutę. Rozjaśniło się na niebie, deszcz przestał siekać, bo wiatr się uspokoił, ale chlapało jeszcze porządnie. Wyruszyły amazonki, pobudzone przez oświadczenie Jeusieja, że stąd tylko dwie wiorsty drogi do brzegu lasu, a tam zaraz i dwór w Turowiczach. Porzucono uplanowane przebiegi: zabłąkanie i „siurpryze“. Po kwadransie forsownego kłusa, dotarła do dworu zmokła karawana, dwie zakapturzone beduinki i Jeusiej w postaci murzyna.

Ale tutaj czekała ich „siurpryza“ wcale niepożądana. Kotowicza nie było w domu. Okazało się to nie zaraz, ale coraz bardziej stawało się prawdopodobnem, gdyż dwór zamknięty nie otwierał podwoi. Mignął wreszcie ktoś w oknie jednym i drugim — chwila ostrej emocji — i zawód ostateczny, gdy ukazał się we drzwiach Moroz, oświadczając, że pan wyjechał do Mińska.

— Tośmy się wybrały! — rzekła Renia do Marcelki prawie z płaczem.

Starsza siostra ratowała pozory, zwracając się do znajomego Moroz:

— Deszcz nas zaskoczył w lesie... błądziłyśmy... Dacie nam trochę tu wypocząć?

— Jakżeż?!... trzeba — odpowiedział Moroz, niezbyt biegle w manierach marszałka dworu.

Jednak zbliżył się gościnnie do strzemia; panny tymczasem same zeskoczyły z siodeł.

Zwłaszcza Renia wchodziła do domu, jak do najobsobliwszego gmachu; wszystko ją zajmowało, od architektury, aż do najdrobniejszego grata. Zrzuciwszy płaszcz i kapelusz, przeglądała z przejściem obrazy, meble, widoki z okien dostępnych pokojów. Marcelka chodziła za nią, także zaciekawiona, nie zapomniała jednak o tem, jak sama wygląda.

— Renu! trzebaby przecie chociaż włosy poprawić.

— Dla kogo? — wzruszyła Renia ramionami, nie przerywając inspekcji.

Ponieważ sam tylko Moroz towarzyszył pannom, a nie ukazywała się inna służba, Marcelce przyszło do głowy zapytać o służącego, którego plotki dotarły już aż do Kurenicz:

— Pan Kotowicz wyjechał do Mińska ze służącym?

— Gdzie z takim! — oburzył się Moroz, ledwie nie splunął — on do niczego nigdzie — ot i *ciapier w karciszki* gra z panem komisarzem ¹⁾. Taka już z ich dwóch kompania.

— Niech Moroz mu nawet nie mówi, żeśmy tu zjechały — zabawiła się Renia w dyplomację.

— Ja z nimi nigdy nie gadam.

— Ale waszemu panu można powiedzieć, kiedy wrócisz, że... deszcz nas zaskoczył... no i że byliśmy.

¹⁾ z rządca.

— Panu można -- uśmiechnął się Moroz. — A panielki pozwolą choć arbaty? -- — A to i wino jest — do brze po namoknięciu.

— Dziękuję, Moroz. Napilybyśmy się herbaty. Ale najprzód możeby gdzie lustro i szczotka? — odrzekła panna Marcela, porządkując ręką swe złote, krótkie włosy, miejscami zamokłe.

— Tak, tak! lustro i szczotki! — ożywiła się nagle Renia nadzwyczajnie.

— To już tylko tu; drugie pokoje u nas, póki co, nie gotowe — rzekł Moroz.

Otworzył z klamki i pchnął drzwi do pokoiów Edwarda.

Tutaj już obie siostry wchodziły z dużym wruszeniem, cicho, oglądając się na boki, jakby się spodziewały zasadzki. W pierwszym pokoju stało biurko, założone papierami, z drugiego, otwartego widać było w głębi łóżko pokryte i stół gotowalniany pod oknem. W obu pokojach panował zapach dobrego mydła i egipskiego tytoniu.

Marcelka wbiegła pierwsza do sypialni i usiadła przed lustrem. Zanim co ruszyła, zaczęła deklamować wiersze z „Eugeniusza Oniegina“, czyniąc obu rękami ruchy dotykania i odejmowania palców od rozłożonych na stole przedmiotów.

„Grzebyki, puszki i flakony,
Brzytwy oprawne w słoniów trzony
I szczotek rząd na parę łokci
Do włosów, zębów i paznogi...“

— Elegant! — zakonkludowała prozaicznie i, wybrawszy dużą szczotkę, oprawną w kość słoniową, zaczęła przeczesać zamokłe pasma włosów.

Ale Renia znalazła ponętniejsze zajęcie w pierwszym pokoju, w pracowni. Dostrzegła na biurku jedną, dwie...

trzy! fotografie tej samej kobiety. Przypadła do nich, obejrzała je żarłocznie, a potem zabrała wszystkie trzy i zanosła stojące się siostrze:

— Patrz, Marcelko, to ona!

Marcelka zwróciła głowę dosyć obojętnie:

— Szykowna kobieta...

— Ale to ona, napewno ona! ta, o której wie Józia przez Abramka!

— Prawdopodobnie, bo aż w trzech pozach. — Ja-koś cię to bardzo wzrusza, Reniu? — — —

Marcelka powróciła do starań o swą fryzurę, a Renia zabrała fotografie; dwie oprawne odstawiła starannie na miejsce, trzecią bez ramki ważyła długo w ręce. — — Ta trzecia była prawie duplikatem drugiej... niezupełnie, ale bardzo podobna — — — Renia zerknęła ku drzwiom od salonu — były zamknięte — potem na siostrę, zajęętą pilnie czesaniem — cofnęła się w głąb pokoju, rozpięła szybko stanik amazonki i schowała w nim nieoprawną fotografię Teo.

— Co ty tam robisz, Reniu? — zawołała Marcelka, straciwszy siostrę z oczu.

— Nic... chodzę sobie. — — —

Chodziła po pokoju oszołomiona czynem dokonanym — Oddam... odeślę przez kogoś... ale muszę jej się przypatrzeć — uspokajała wzburzone sumienie obietnicami naprawy grzechu.

Marcelka była już odświeżona, przynajmniej co do fryzury. Rozbierać się i suszyć w tym pokoju, z którego wszystkich kątów wyzierały męskie przyrzady, byłoby już skrajną nieprzyzwoitością. Obie Oleszanki wyszły do salonu.

Tu znalazł się Moroz i zaprosił do stołowego pokoju. Podczas gdy panny piły z przyjemnością herbatę po utrudzeniu i emocjach, Moroz dotrzymywał kompanii, stojąc.

— Przyjadą wielmożne panienki drugi raz, tak już dom będzie gotowy i różnych w nim przyjemności znaleźć będzie można. —

— Dom się odnawia? — zapytała Renia.

— Wiele nowego będzie. Ot wannę w domu zbuduję, a przy rzece frantowską altanę, a z jej można będzie wsiadać do malowanej łódki. Nową mebel, *czuwać*, pan każe robić...

Moroz wyliczał z dumą te przewroty, których celu, pomimo że był chytry, nie mógł zgadnąć, bo nie słyszał nic o pani Teo, ani o projekcie jej przyjazdu. Notował tylko z radością wszystkie poszlaki zainteresowania Kotowicza do rodzinnego gniazda. Panny Oleszanki tak samo zrozumiały znaczenie nowych urządzeń domowych.

— A mówił pan Kotowicz, kiedy był u nas, że przyjechał tu tylko dla interesów i zaraz wyjeżdża — wtrąciła Marcelka.

— Wyjechać to on może, jak i *ciapier* wyjechał. Ale powracać zawsze będzie — podawał stary lis swe przypuszczenia za pewniki.

— Niech nam Moroz powie, co pan Kotowicz tu robi, kiedy tak sam w domu siedzi? — pytała Renia.

— Wiele w nocy pisał i papiroski kurzył, kiedy przyjechał. Tak teraz już mniej. Bywa, rano wstanie, do lasu idzie, drzewo mierzy, gospodarki pilnuje...

— Nawet gospodarki rolnej?

— *Jon-że* sam owies za ogrodem siał, kiedy *baćka* wielmożnych panienek tu przyjechał.

Oleszanki — zwłaszcza Renia — znały Moroza osobiście i z reputacyi; wiedziały, że strzelec jest osobą poważną i może trochę przesadza, ale nie kłamie bez powodu. Renia wypytywała dalej Moroza, z którym była w kokieteriach myśliwskich:

— A do naszych polowań ma pan Kotowicz ochotę?

— Ochotnik on! tylko, że czasu mało w tym roku.

— Ileż głuszców zabił tej wiosny?

— Jaż mówię panience: mało. Na przyszły rok urznięm my po nich — odpowiedź była wymijająca, gdyż Kotowicz polował dwa razy tylko i nie zabił głuszca.

Po wypiciu herbaty panny ociągały się jeszcze z wyjazdem, choć deszcz ustał i świeciło odmłodzone słońce przez lśniące liście. Myszkowały po dworze, zaglądając wszędzie; nauczyły się planu domu dokładnie. — Po drugiej stronie sieni była wydarta świeżo podłoga.

— Ach, to tutaj będzie pewno łazienka? — zauważyła Renia — dlaczegoż nie przy pokojach pana?

— Nie mogę wiedzieć — odrzekł Moroz — tak przykazano, a my robim.

Renia zamyśliła się głęboko i znowu zaczęła badać:

— Czy bywają tu jacy goście?

— Póki co, mało. Był jeden frant zagraniczny.

— Kto taki? Jak się nazywa?

— *A Boh jako wiedaje!* Był cztery, pięć dni, ziewał straszno — wypił, co dali jemu — i pojechał od nas. Takich nam nie trzeba — Ot, żeby u naszego pana żonka, tak dom poweselałby.

Moroz przybrał minę poufale dowcipną, panny zaś przycichły w tej delikatnej materii. Młodsza jednak nie wytrzymała długo w powściągliwości języka:

— Może pan jest z kim zaręczony?

— Jakże mnie wiedzieć, panienczko? *Nie czuwać.* A toby sama zapytała, pan *skazuby*.

— Trzeba już nam do domu — zwróciła się Marcelka do Reni, przerywając ślizki temat.

Jabym jeszcze chciała zobaczyć to, co budujecie nad rzeką; widziałam tam drzewo i ludzi — dopraszała się Renia.

— Można, panieczki, można — zgodził się łatwo Moroz.

I doprowadził dwie amazonki do Ptyczy, gdzie już naszkicowano plan drewnianego budynku na palach. Dwa pale węgielne, daleko wysunięte, wbito już w dno rzeki. Miała tam stać zakryta łazienka do rzecznej kąpieli, pod prostym kątem zaś do niej debarkader w kształcie altany na brzegu rzeki. Cieśla miał przy sobie plan rysowany przez samego Kotowicza. Można było z rysunku wyobrazić sobie ładny budynek ze stołami i ławami, przygotowany do uczy sielskiej.

Po sumiennem obejrzeniu projektu i zaczętych robót, Oleszanki dosiadły koni i, podziękowawszy Morozowi, odjechały. Zaledwie oddaliły się trochę, Renia rozpoczęła gawędę z siostrą:

— Jak ty sobie tłumaczysz te wszystkie urządzenia w Turowiczach?

— Że Kotowicz blaguje.. Opowiada nam o zamiarach sprzedaży majątku, tymczasem dom przystraja w łazienki, meble i pawilony nad rzeką. — Bлагier jest.

— Dlaczego tak ostro, Marcelko? Zmienił zdanie przez parę tygodni. — Ale dla kogo to robi? Jak myślisz?

— Dla kobiety. Tam wszystko, co on wprowadził, pachnie kobietą.

— To pewno chce się żenić?

— Phii...? Może tylko oczekuje tej pani, którą ma na biurku, aż w trzech egzemplarzach.

— Ach, Marcelko! i mnie to przychodziło do głowy! To nieszczęście!

— Dlaczego? Nic przecie o niej nie wiemy.

— Ona mi się bardzo nie podoba. Jabym ją... jabym jej... no, jednym słowem, ona niewarta pana Kotowicza!

— Ej, Reniu, Reniu!

— Co? cóż ja złego mówię?

— Pierwszy raz cię widzę nierozsądną; zadurzasz się w tym Kotowiczu...

— A ty nie widzisz, że to nadzwyczajny człowiek?

— Nadzwyczajny?! — wierz sobie w to, jeżeli chcesz. Ale bądź pewna, że on ani myśli o żadnej z nas. To jakiś Francuz, który Wschodu nienawidzi.

— Poco ma lubić Wschód? są różne Wschody... — mruknęła Renia i zamilkła, bo było jej pilniej do marzenia, niż do rozmowy z siostrą, tak źle usposobioną dla Kotowicza.

Jednak pewność, że Marcelka lekceważy i nie chce dla siebie Edwarda, otwierała przed Renią inne widnokreśli, palące się ogromną, nieznaną zorzą. — Tylko znowu Kotowicz urządza dom dla tej nienawistnej istoty, której aż trzy — teraz dwie — fotografie ma na biurku! — Renia dostała wypieków na twarzy od nacisku sprzecznych, lubych i niepokojących wzruszeń.

Tegoż samego dnia przed wieczorem wyszła z domu, nie opowiadając się ojcu, ani siostrze i poszukała w ogrodzie kryjówki, gdzieby jej nikt się nie domyślił: na trawie, za gęstym żywopłotem niedojrzałych agrestów. Tu jeszcze obejrzawszy się przezornie dookoła, wyjęła ze stanika portret Teo, oparła go o krzak, rozciągnęła się na trawie i spoglądała oko w oko nieznanajomej:

— Jak ty tu wyglądasz, ty! — przemówiła głośno.

Dalej snuła myśl bez słów, a dogadywał jej zgodnie sad, otaczający swą zdrową wesołością siedzibę polską, sumienną i spokojną. Pani zaś na fotografii była zupełnie inna. Piękne jej rysy wyrażały jakiś rebus. Widać było wyraźnie tylko wielką wprawę do pozowania i ostateczne, bezwstydnego zadowolenie ze swej powierzchowności. — Ale ta w oczach tęsknota czy zawiść i ten w ustach grymas litości, czy pogardy dla wszystkiego, co nie jest nią, osobą jedyną? —

Jeżeli głowa była dla Reni zagadkowa, to reszta postaci wprost oburzała panienkę. Jak można tak się ubrać do fotografii! Przecie gors prawie nagi, a i całą nogę widać dokładnie pod lekką, obwisłą materyą. Czy ta pani nie nosi nic pod spodem?...

Zawstydziła się panna Oleszanka i odruchowo spojrziała na swoje pończochy; rozesłała na nich dłuższą suknię, aby jak najmniej być podobną do oglądanego portretu. Zastanowiła się jednak przez chwilę nad tem, jak ta jej suknia mogła być uszyta? — —

Przeszła zaraz do zagadnienia kapitałnego: — Czy ta pani jest piękniejsza odemnie? — —

Miała się za ładną i zgrabną; gdyby nawet nie doszła była do takiego wniosku przy prostem przeglądaniu się w lustrach, słyszała to już nieraz od ludzi rozmaitych, czytała w oczach rozweselonych jej widokiem, zwłaszcza w ostatnim roku, gdy już stanowczo zaczęła nosić długie suknie. A jednak była zupełnie odmienna od tej eleganki, ale to aż... wręcz przeciwna.

— Poco to suknie tak na sobie obciskać, kiedy niema na czem?... — dziwiła się Renia.

Nie widziała nigdy żywej takiej kobiety z głową starą, a ciałem dziecka, znała ją przecie skądziś? — — Aha, z ilustracyi zagranicznych! To musi być aktorka... przypominała sobie podobny portret przy reklamie mydła Cadum — — W każdym razie nie Polka. — Widać jednak, że takie właśnie kobiety podobają się — może nie wszystkim? — ale co najgorsza, że panu Edwardowi!

— Na nieszczęście jestem inna — westchnęła głęboko — a on się zna na tem; tyle widział!

I nieskrępowaną piersią odepchnęła się znacznie od murawy, a ręce rozpaczliwie wgarnęła we włosy, aż ich pasmo przesłoniło twarz delikatną hebanem przez różę.

Zacząła znowu przemawiać do portretu:

— Ale żeś z piekła rodem, to pewne. Ty myślisz tylko o sobie. Takeś się ułożyła, żeby go durzyć i męczyć — — Inaczejby on wyglądał, gdybyś ty była dobra...

Podarłaby fotografię, gdyby nie rozważa, że ją musi oddać, a może jej potrzebować jeszcze później, aby jej nawymyślać. Tymczasem odwróciła konterfekt do góry podszewką i bez tego świadka myślała o Edwardzie:

— Jaki on chudy, smutny — — tylko się patrzy pocziwie, jakby prosił o współczucie... Czy mu się podobam, czy nie — zdaje się nawet, że mu się podobam — muszę mu zrobić coś dobrego. Nie chce go Marcelka, to nie — — on także nie myśli o żadnej z nas — ale ja mu chcę pokazać, że kobieta, kiedy kogo lubi, to najlepszy bliźni — — nie taka, jak ta. — — Co ja mam zrobić, żeby mu było lepiej na świecie? —

X.

Kotowicz powrócił z Mińska razem z Sasem w zupełnie przyjacielskiej komitywie, mocno ugruntowanej na sympatii wzajemnej i na poważnych już usługach ze strony Sasa, którego lewa połowa starczyła, jako podpora, za kilku ludzi. Znał się na wszystkim, udzielał rad pomysłowych i praktycznych, a posunął się jeszcze dużo dalej w uczynności. Dobywszy z Edwarda wyznaczenie ogólnego stanu interesów, spostrzegł trafnie, że Edward rzuca się i śpieszy nadmiernie z powodu absolutnego braku gotówki i kredytu. Po dwóch dniach drobniejszych zabiegów, przy których i Sas kuszył się wzięciem swą laską, spotkali się znowu przyjaciele w „Selekcie“, gdzie nagradzali sobieienne trudy gawędą przy skromnej, lub mniej skromnej biesiadzie.

— Tak więc obacz, panie Edwardzie: od Żydów nie pożyczysz na możliwy procent, bo już zwiedzieli się, że twoich wekselków dużo się szasta po świecie. Z bankiem zaczynać? — formalności bez końca. A tu potrzebne zaraz dwie prolongaty, o których wczoraj mówiliśmy, zapłata zamówionych rzeczy — i trochę luźnego złota w sakiewce, żeby brzęczało na ochotę. Bo kiedy wiatr świszcz przez pustą kieszeń, tak ponuro na świecie, jakby cię kochanka zdradziła. I wszystko posyłasz do czorta, niech on za mnie gospodarzy... Cóż, nie prawda?

— Sam rdzeń prawdy — potwierdził Kotowicz.

— Tedy ja zamysliłem sobie połączyć mój interes z twoim, panie Edwardzie. Mam pewną sumę w papierach pięcioprocentowych. Weź pan odemnie 10,000 rubli, będziesz mi płacił procent półrocznie z góry, a mnie tam przypada z dołu — i ja skorzystam.

Kotowicz zajrzał, wzruszony, w poczciwe, romantyczne oczy sąsiada, który ofiarował tę ważną, ratunkową pożyczkę tak lekko, jak dwa dni temu fotografię ładnej Francuzki.

— Ale na jakąż ewikcyę, panie Justynie? Sam mówisz, że weksel mój niewiele wart. —

Sas ułatwiał, jak mógł, Kotowiczowi, gładkie przyjęcie oferty.

— Pomyślałem. — Sprzedasz mi odpowiednią ilość drzewa. Ja jego nie potrzebuję, tak i stać sobie będzie na pniu, a kiedy pieniądze zwrócisz, podrzemy kontrakt.

— Niema jeszcze pozwolenia od banku na sprzedaż lasu.

— Będzie wraz, będzie. Uważałeś, jak mówił dzisiaj dyrektor tutejszego oddziału? Wszak on nie dureń i wie, że las Turowicki dziesięć razy więcej wart, niż pożyczka bankowa! Bogaty jesteś, panie Edwardzie, tylko uwikłałeś się... A ja to lubię: niech młody lezie w gąszcz, gdzie nimfeczki się gonią! Potem szuka odwikłać się i napowrót w gąszcz! — tylko już z nabytem doświadczeniem.

Kotowicz nie certował się dłużej; przyjął pożyczkę z serdeczną wdzięcznością, bez tej przymieszki upokorzenia, którą zbyt troskliwi przyjaciele zwykli dodawać w formie zastrzeżeń moralnych i wymuszonych obietnic poprawy życia. Gdy ścisnął dłoń Sasa, ten jeszcze się obruszał:

— Ot wielka rzecz! zwyczajny szlachecki interes.

Po spisaniu nazajutrz w Mińsku obligu i kontraktu, sąsiedzi wybrali się razem w drogę powrotną na Polesie, przyczem Sas, chociaż starszy i zdawna tu osiadły, zwolnił Kotowicza z obowiązku pierwszej wizyty z tą samą łatwością obejścia, którą stosował i do czynów trudniejszych, wymagających nie taniej uprzejmości, lecz miłości bliźniego.

Przyjaciele osiedli w Turowiczach na dni dziesięć. Pan Justyn mieszał się do wszystkiego: do wielkich planów i do drobiazgów, a Kotowicz otwierał przed nim zarówno chętnie swe książki rachunkowe, jak tajniki serca, wierząc w jego rozumną przenikliwość i czując pobłażanie błędom. Błędy jednak nazywali między sobą błędami, ale sądzili je i naprawiali tak zgodnie, jakby je wspólnie popełnili.

Sas nie mógł, z powodu braku sił, sam oceniać lasu, ale dał wskazówki Kotowiczowi co do wyboru pni na rozmaity użytek; jeździł do lasu i z wózka kierował robotą. Gdy zaś powracał do domu, napełniał go wesołym postukiem swej laski i dobrą wróżbą o przyszłości. Jadł mało i byle co, nie zbytnio nawet ulegał pokusie przedniego węgrzyna, który Edward dobył naturalnie z z piwnicy.

— Kiedy robota, to robota. Jak wybrniemy, pojedziemy razem w zimie na Rivierę. Zgoda, Edwardzie?

— Z największą przyjemnością.

Edward nabierał wyrozumowanego szacunku do przyjaciela, że umiał tak zrzucić z siebie strój lekko-myślny, a nałożyć chomąt pracowity. Okazywał się też wyborym administratorem, przemyślnym spekulantem dla cudzego dobra.

— Podziwiam cię, panie Justynie. Jadasz tu i spiasz, jak Spartańczyk, a zdajesz się lubować życiem po

epikurejsku. Wszystko cię bawi, wszystko łatwo przychodzi...

— Widzisz... lekki jestem — niespełna cztery pudy. Pół ciała przyszło, a dusza stworzona na podwójną wagę. Ot co jest!

Powoli Edward wyśpiewał przyjacielowi wszystko i o Teo. Sas nie krytykował, słuchał z przejęciem, nawet tłómaczył czasami postępowanie pani Teo, gdy Edward wyraźnie ją obwiniał.

— Takie one miewają maniere te kochane bestyjki! Znam to. Potem się ułaskawiają i znowu pogoda. A u mnie tak: kiedy pogoda, śpiewam o miłości; kiedy deszcz i zimno, wracam do siebie, gwizdzę — i ani dbam!

— Szczęśliwą masz naturę. — —

— Może goręcej było dawniej... przed tym moim wypadkiem — ale teraz cóż? — trzeba się zastosować i brać od życia, co się da. — Et! — machnął ręką i powrócił do sercowych spraw Edwarda. — Ta twoja pani, jak rozumiem, lubi grę w kotka i myszkę, tylko ona chce być kotem. A ty zbuntuj się — Kotowicz wszak jesteś, nie Myszkowski — bądź kotem, nasróż się — ffy, ffy, kiau! — —

Szkicował jedną ręką i nasróżonemi wąsami bijące się koty. Edward śmiał się zicha.

— Niektóre kobiety — ciągnął dalej Sas — wyobrażają, że są jakąś osobliwością i że kiedy jedno kolano pokażą mężczyźnie, to już takie dobrodziejstwo, za które ten biedny szczęśliwiec musi zapłacić męką całego życia. Nie mówię o twojej pani Teofili, bo ją znam tylko z z fotografii — ale czy trochę nie taka? — Przyznaj. — —

— Nie, nie — to ja źle opowiadam. Ona jest, jeżeli już sądzić ostro, zależna od swych nieobliczalnych fan-

tazyi. Bo i życie, które prowadzi, w ciągłym wirze, w ciągłym balu—może rozigrać nerwy do szaleństwa. Jeżeli tu przyjedzie, zobaczymy — powinien ją nasz klimat ułaskawić.

— Tu ma przyjechać?! nie mówiłeś!

— Zapowiedziała się do Turowicz.

— Na kiedy?

— Nie wiem dokładnie — oczekuję depeszy.

— Awantura!

— Cóż w tem tak dziwnego? Znamy się oddawna, przyjedzie z mężem...

— Nic... tylko ta wizyta nie posłuży ci, Edwardzie. Sam potrzebujesz uspokojenia i odpoczynku. Jesteś mizerny.

— Od czasu, jak tu siedzę, przybyło mi piętnaście funtów wagi.

— Znowu schudniesz. Już ja to widzę... Jej się tu naprzykład zachce jeździć po kraju samochodem. Kupuj samochód i buduj szosę!

— Nic takiego nie zrobię; wystawię ją na próbę naszego powszedniego życia; jeżeli ją wytrzyma, będzie kobietą wyższego gatunku; albo — wyjedzie.

— A ty za nią?

— Wątpię.

— Ach, to więc tak?... to tak?—powtarzał Sas, teraz dopiero rozumiejąc całą psychologię Kotowicza — trzyma cię jeszcze gorączka.—Dobra to rzecz, pamiętam.—Nie myślę cię powstrzymywać.—Pokaż-że ją i mnie, kiedy się zjawi.

— Może się jej tu doczekasz, panie Justynie.

— A nie! muszę wrócić do domu, przeczytać kilka nowych książek francuskich, odświeżyć garderobę. Bo

ja chcę oczarować tę panią; taka ekscentryczka! — może się we mnie zakochać — co?

— Kto wie? — odrzekł Kotowicz z uśmiechem.— Ale naprawdę wartoby urządzić dla nich jakie zebranie, gdy przyjadą. Na ciebie liczę przedewszystkiem. Możeby ściągnąć jakoś Oleszów z Kurenicz?

— Daj pokój! Antoni Olesza Katon obrzydły, choć kochany człowiek. Jeżeli ta pani ubiera się tak, jak widziałem na fotografii, pan Antoni drapaka da, odżegnując się, jak od dyabła. A panny tu wogóle niepotrzebne.

— Dlaczego?

— Bo... za ładne. Przyjezdna pani wścieknie się, gdy je zobaczy; ona musi nienawidzić kobiet piękniejszych od siebie.

— Co też opowiadasz, panie Justynie! Oleszanki wyglądałyby przy Teo, jak... no, znikłyby przy niej zupełnie. Starsza jakaś „instytutka“ z krótkimi włosami, źle ubrana.

— Aa, jeżeli chodzi o porównanie tualet, to nie wątpię, że nasze sąsiadeczki będą pobite. Ale jeżeli o owocik bez łupinki.. No, starsza trochę teraz nadto utyla, ale Renia! toż-to cud-dziewczyna!

— Bardzo ładna — nie mógł zaprzeczyć Kotowicz — ale bez manier, surowa...

— Surowa?! — jak wiśnia, jak truskawka na wiosnę.— A ty wolisz to wszystko smażone? — Nie przyjrzałeś się jej, panie Edwardzie.

— Rzeczywiście, widziałem ją zaledwie przez kwadrans.

— Otóż to. Mnie, kiedy ją spotkam, chce się płakać.

— A to znów dlaczego?

— Zem nie młodszy i nie zdrów. Co tu gadać! — to jedyna *zona*, jaką spotkałem w długiej mojej karierze kawalerskiej — niestety zapóźno!

Kotowicza zastanowił jednak ten zapal Sasa.

— Bardzo ładna, powtarzam. Ale cóż w niej znowu tak osobliwego, jako zalety na żonę dla człowieka wymagającego?

— Co? — zapalał się Sas — to najprzód piękność szczęśliwie urodzona, — bez skazy; potem — to pewnośc szczęścia, to zaufanie, pomoc, pogoda w życiu... Et, śmiesz się? — Nie dla mnie, uspokój się. Życzę tylko Reni jakiegoś wyjątkowo porządnego męża. A co do zapoznania Reni z ową panią, to — daruj szczerosc! — jabym tego nie zrobił przez wzgląd na naszą Oleszankę.

— Cóż znowu? — zaprotestował Kotowicz nieco urażony — pani Teo jest doskonale wychowana...

— Może nawet kunsztowniej, niż Renia — cofał się Sas — ale wiesz? ja, stary zbereznik. a nie lubię takich zestawień. Sam ten niepokój, o którym mówiłeś, że wieje od pani Teofili, jest zaraźliwy. Niech go nasza Renia nie poczuję.

— Widzę, że ją otaczasz wyjątkową opieką — rzekł Edward z przekąsem — musi być dyabło krucha ta niewinność, jeżeli się boi otarcia o kobietę trochę bardziej... skomplikowaną.

— Gniewasz się, mój drogi?! — zawołał Sas i tak rozpaczliwy przybrał wyraz twarzy, że Kotowicz wyciągnął prędko dłoń do niego.

— Nie, mój drogi. I powiem ci więcej: masz słusność.

— Jak to?... to jest niby co?

— W tem, co mówisz ubocznie o Teo; to straszna kobieta! lepiej, aby nie przyjeżdżała tutaj i — lepiej — nawet dla mnie.

— Szczerze mówisz?

— Jak przed sobą samym, Justynie. Ta kobieta weszła mi w krew, w mózg... pragnę jej, a czasem nienawidzę, jak nieszczęścia. I nie szanuję jej ani trochę. Powiedz o niej, że jest ostatnią lajdaczką, to ci przyznam. Bronię jej z nałogu, bo tak pragnę, aby była inna.

— To już nieźle — uspokoił się Sas — będzie dobrze. Tylko ten przyjazd potrzebny, jak Piłat w Credo.

— Konsekwencya, mój drogi! Cóż miałem odpowiedzieć na propozycję, którą ona sobie poczytuje za poświęcenie i dobrodziejstwo dla mnie? — Zaprosiłem.

— Czasem lepiej być chamem, niż niewolnikiem swego dobrego wychowania — mruknął Justyn.

— Sam byś tak zrobił, Justynie.

— Pewnie... ciało jest mdłe.

I Sas zaczął opowiadać swe wspomnienie z przed ćwierci wieku, gdy go opętała pewna dama „uczciwa“, a najprzewrotniejsza ze wszystkich, jakie znał. Dotąd jej nie darował tych szamotań moralnych, tego zaprzęgnięcia części życia niczem, oprócz udręki, niedosytu i upokorzeń. I taki wysnuł wniosek:

— Wszystkie te bestyjki, które się znało, można ocenić dopiero z oddalenia. Po jednych pozostaje smak miodu, po drugich żółć w gębie. Pókiś młody, nie zgadniesz z góry, co ci przyniesie taki lub inny kwiatek — lecisz do miodu. Ale po licznych doświadczeniach nuczysz się. Jedna bieda, że wtedy już zapóźno na smakowanie.

Kotowicz rozpogodził znowu myśli pod wpływem humoru przyjaciela:

— A jednak jeszcze się kochasz, panie Justynie, nie tylko w swoich tam fotografiach, ale i w młodszej Oleszance.

— Wymyślił też! — odrzekł Sas z dobrodusznem oburzeniem. — Toż mówiłem, że gdybym taką spotkał był w swoją porę, inaczej poszłoby całe życie. Nie byłoby w niem tyle tam... fotografii, jak mówisz, tylko jedna — kobieta. — A taki życie, póki jest, dobre — —

Powstał lekko i szybko, jakby za sprawą cichej sprężyny i pokulał aż do otwartego okna:

— Ot, obacz — lipy kwitną! Jaki zapach miodu — —

XI.

W samym ośrodku puszczy Turowickiej panował skwar nieprzewiany nawet przez burze, które przechodziły nad nią gęsto w tym roku, zgromiły niejedną szumny hełm sosny, powalając kłodę na mszyste dno zielonej otchłani. Wichry nie przewiały wnętrza gęstwiny, strzeżonego przez stutysięczne kadry pni potężnych i niskie podszewki liściaste, dyszał tu upał zgęszczony woniami i ciszą.

Nad małą polanką, utworzoną przez wywrót dębu, którego starożytny kadłub wrósł już na poły w ziemię, pokryty wybujałem pierzem paproci, — na wysokiej odnodze zdrowego dębu — ryś wyciągnął się do drzemki popołudniowej, jak potworna, płowa liszka wzdłuż pomarszczonego konaru. Kose oczy stulił pocziwie, ostrymi zaś kończykami uszu drgał, stwierdzając przez sen czujny niedosłyszalne dla ludzi szmery, jako te, które mrówki sprawiały milionami łapek po chodnikach swego kopca na ziemi, albo te wyższe na sąsiednich sosnach, gdzie prażyła się w słońcu żywica, skwiercząc i po pniach spływając powoli. Ryś wdrapał się wysoko, bo wiedział, że Ptycz płynie w pobliżu, a dech jej świeższy, niż gorące oddychanie lasu, idzie wszereż przez górne warstwy puszczy, muskając lubo po chrapach, po wąsach i i po oczach przez cienkie szare powieki. Wtem ryś rozwarł szeroko żółte ślepie w twarzy zięjącej drapieżną grozą, uszy nastawił prostopadle i skłębił się cały do skoku — — Usłyszał oburzający w puszczy głos ludzki.

Błysk jeden płowy przekreślił polankę pochyło z góry na dół, zadrżała gałąź dębu i opadł z niej wiórek kory zdarty sprężystym pazurem — a ryś już zasuwał się, jak waż, w nieprzenikloną gęstwinę.

W tej chwili odezwał się na rzece Halimon, rybak do Janka Szlahi:

— *Każe, zwier paszou?*

— *A czort s im! Strelby nie mojesz, tolko trehubicu.*

Zaciahaj, Halimon!

Halimon, wysoko podkasany wyszedł z łódki na płytkie miejsce przy brzegu i ujął jeden koniec przyrządu rybackiego, zwanego *trehubicą*, złożonego z trzech płatów sieci, z których dwa wielkookie, jeden środkowy drobno jest wiązany. Szlahą, oddalając się od brzegu razem z łodzią, ciągnął drugi koniec sieci w poprzek rzeki. Gdy rozwinęli *trehubicę* i zagrodzili nią część szerokości rzeki, obaj wyszli na brzeg i legli na trawie. Flis Szlahą był obecnie bez roboty, ale zasłyszawszy, że będzie wkrótce drzewo z Turowicz do spławu, przyjechał tu, aby się zgodzić o przewóz. Tymczasem spotkał kuma Halimona, który się wybierał Ptyczą na połów ryb, głęboko w puszcę i zabrał się z nim, bo i upał był tak rozbiegający, że nie chciało się iść do administratora na wywiady i na targi.

— Na noc ty, Halimon zastawiasz *trehubicę*, czy dzisiaj łowić będziesz?

— Popatrzmy, jeżeli ryba pójdzie gęsto, tak zaraz. Ale nie myślę. Wczoraj próbował pędzić rybę *boltem*¹⁾ — nie szła. Musi trzeba będzie przez noc poczekać. I gdzie *ciapier* Bóg wielkiej rybie miejsce naznaczył, nie *czuwać*. Ze wszystkim od nas wyprowadziła się.

1) Bolt — młoda sosenka wyrwana z korzeniem, który okuwa się żelazem. Bolt służy do napędzania ryby do sieci.

Halimon wznosił tęskne, blade oczy do nieba, jakby oczekując na odpowiedź. A Janko, chłop czarny, rozrosły i wesoły, spoglądał na kuma satyrycznie.

— Ty, Halimon, ciągle do Pana Boga w pretensyi. Kiedy my na wiosnę widzieli się, ludzi tobie było mało; no i najechali do dworu. *Ciapier* tobie ryby mało. Pomódl się Bogu, może i w *erozuba* złowisz — —

— Wierozuba ja nigdy i na oczy nie widział. A ty Januk?

— Jakżeby mnie nie widzieć? Ja na Prypeci i na Dnieprze bywam, tak tam już wierozuby ogromne *popadają się*.

Dostrzegłszy na twarzy rybaka wyraz dziecinnej wiary, Szlahą pomyślał: damże ja tobie o wierozubach! — i prawil:

— Wierozub ryba jest głowiasta — —

Wytrzeszczył oczy na Halimona i objawszy dłońmi twarz swą brodatą, wyszczerzył się, udając niby głowę potworu.

— Trzydzieści dwa u niej zęby, jak u człowieka, tylko dziesięć razy większe; łuska jak *czuhunna*¹⁾ — i ością jej nie przebijesz — a poprobyj za nią pędzić się z ością w nocy, albo na *dorożce*²⁾ ją ciągnąć za sobą, podpłynie do czółna, mordę pokaże straszną i kiedy słońce — —!

Tu Szlahą gwizdnął przeraźliwie przez palce, aż się rybak wzdrygnął, poczem zmiarkował, że kum sobie z niego podkpiwa, i rzekł:

1) żelazna

2) bardzo długa wędka, zakończona rybą metalową z hakami, na które łapią się głównie szczupaki. Rybak, pędząc łódkę, ciągnie za sobą dorożkę, której sznurek trzyma w zębach, przełożony ponad lewem uchem.

— At, gadaj komu innemu! czterdzieści lat rybę łowię i nie słyszałem, żeby ryba głos dawała.

— A ot zapytaj u pani posesorowej z Berezyny. Wierozuba ja jej przyniósł żywego w wielkim buczu, a pani chytra jest; puściła jego sobie do sadzawki, podpatrzyła wszystkie jego *prymiety*¹⁾ i opisanie w *żurnal* podała. Tam o wierozubie czytać może, kto nie wierzy.

— Jakże ty jego dostał, Januk, kiedy on taki wielki i twardy?

— W *sieczę*²⁾ on zaplątał się... Młody był, nie sam ten wielki... i puda nie ważył.

— A stary tak ile? pudów dwa?

— Jego i wiedzieć nie można, bo nikt jego nie złowił. On i kaczkę połknie, i wydrę — a ludzkie mięso strach, jak lubi!

— Tak u nas w Ptyczy takich niema. Ja swoją rzekę do dna znam i sto wiorst po niej jeździł, i w Prypeci był — odrzekł Halimon, markotny, że mu Szłaha opowiada dziwy rybackie nieznanne, więc go ma za fryca, albo okłamuje.

— Mało co ty nie widział, Halimon. Wierozub — rzadkość, a *koli* rzadkość, tak dlatego, żeby nie każdy *cielepiej*³⁾ jego spotkał.

Na ten argument nie znalazł Halimon odpowiedzi. Po chwili znowu zagadnął Szłaha:

— A *krukodziela*⁴⁾ *znajesz?*

— *Nie znaju!* — odrzekł rybak gniewnie.

— *Jonże* ogromna jaszczurka, jeszcze większa u nas rzadkość, niż wierozub. A taki jednego w Pinskiach

1) cechy, rysy charakterystyczne.

2) inny rodzaj sieci.

3) Niedorajda.

4) Krokodyla.

błotach widzieli. *Sprawnik*, polując, na jego natknął się śpiącego w błocie, pomyślał: kłoda leży. Butem trącił, aż kłoda jak odkryje paszczę zębata na sażeń, jakżeż zamknie ją potem — *sprawnikowi* nogę z butem chwyciła, tylko że między dwa zęby but *popadł*, a bosą nogę *sprawnik* pospiał wytaszczyc.

— Aa? — zawołał Halimon zahypnotyzowany.

— *Sprawnik* do gubernatora podał raport, jako *złoumyszlenniki*¹⁾ i katolickie księżde na jego *krukodziela* nasłali. Obławę gubernator nakazał. Ale póki *bumagi* poszli tam i nazad, *krukodziel* nie durny był czekać — i *paszou!*

— A *sprawnik* nie był wypiwszy? — sięgnął Halimon po łatwiejsze tłumaczenie awantury.

— Chociażby i był, *dzienszczyk* za nim szedł i to samo opowiadał.

— A ja temu nie wierzę! — zbuntował się rybak.

— Nie wierz sobie, nie wierz! — a to kiedy spotkasz co takiego, nie wiedząc, na śmierć *strusisz* i prosto w gardło wpadniesz. A który wie, że takie na świecie jest, może obronić się.

— Jakżeż to? — pytał Halimon na wszelki wypadek.

— Jeżeli lulkę kurzysz, dmuchnij jemu dym w mordę; zwierzę głupie tabaki nie lubi.

Póki było jasno, Halimon drwił sobie z niebezpieczeństw puszczy, ale nocami, choć setki ich spędził w lesie pod gołym niebem, doznawał strachu i przywidzeń, których jednak nie unikał, bo ciekawe były niezmiernie, a jeżeli która z tych przygód miała go nawet życia pozbawić, to instynktowo wołał *zczesznąć* gdzieś w puszczy, niż w kurnej chacie za piecem.

1) Ludzie źle myślący.

Rzuciła się duża ryba blisko od brzegu i uderzyła w sieć widocznie, bo pławki na powierzchni wody tonęły to znów wypływały. Halimon powstał i już wybierał się w rzekę, gdy namyślił się i cofnął:

— A cóż? — rozśmiał się Szlaha — boisz się leżeć w wodę, żeby wierzoch za łydkę nie chwycił? Mocno on chwyta. To nie rak.

— Przestań, Janka, *duraczyć się!* Chciał ja tylko sieć popatrzeć i pomyślał: lepiej ryby nie straszyć, niechaj więcej nalezie. — Nocować tu przyjdzie się.

Nic temu projektowi nie stało na zawadzie. Chleb mieli z sobą, a w lesie było teraz błogo, przy słońcu zasuniętem już za zwarte przesłony drzew, przy wzmożonym oddechu rzeki, który wiał śmieiej, poruszając już liście osiny. Cień zaczynał zamazywać zarysy dalszych gąszczów, przystępował coraz bliżej do rzeki, na której lustro ciemne nalepiały lilie wodne swe hafty w zielone serca. Rzadkiego sitowia czepiały się ważki rude większe i turkusowe mniejsze, po wodnych porostach wędrowały wielkimi krokami długonogie komary, chwiejąc się jak pijane; plemiona mszyc szarych i małych, bursztynowych komarów, z trzeciego lipcowego lęgu, wzbijały się tu i ówdzie wahadłowo rozbujaną kurzawą. Halimon zapatrzył się wysoko na śmigle biczyśka młodych sosen, tęsknie zarumienione, i powieki mu się kleiły powoli. Szlaha już spał, zakrywszy twarz czapką.

Wtedy lis, który wietrzył oddawna pot ludzki antypatyczny, ale obiecujący często przy sobie to i owo smakowite, zbliżył się do uciszonego obozu krokiem aksamitnym i wynurzył z paproci swą łąjacką mordę. Stwierdził dokładnie, wzrokiem i węchem, że ludzie nic, oprócz tabaki i chleba, przy sobie nie mieli, przeklął ich kilkakrotnie rozdrażnionem szczeknięciem i, uląkwszy się własnego głosu, dał parę susów w gąszcz, przystanął

znowu, przekonał się, że nikt za nim nie goni, więc pokłusował niedbale do nory.

Poznali go jednak zbudzeni rybacy. Szlaha rzucił za nim takie życzenie:

— *Kab ty na horu ulez i sonca nie baczysz* ¹⁾.

Zadrzemali znowu przy słodkich, rozmarzających pieśniach wieczornych ptactwa, które im grało aż do chwili, gdy zorza dnia rozcińczona ustąpiła nieba błękitnej ciszy księżycy. I przez trzy godziny, aż do północy, nie byli świadkami tego, co się działo w puszczy. —

Ale o północy dziwny krzyk powstał gdzieś, jakby w górze na Ptyczy — ni to świst, ni jęk — zbliżał się po brzegu, czy środkiem rzeki — Halimon słyszał go już we śnie, otworzył oczy ostrożnie i trafił spojrzeniem prosto w twarz księżycy, potwornie wykrzywioną. Drgnął i zamknął oczy.

Tymczasem głos ucichł, jednak Halimon miał pewność w mózgu i w dzwoniących zębach, że głos idzie ku niemu i znowu się odezwie — a Bóg raczy wiedzieć, co się jeszcze stanie. — — Jaki to był krzyk? — — Wiadomo, że dusza ludzka czasem wchodzi w głąszca i z niego słowami gada podczas gry wiosennej — że taki głąszec usiadł raz na wóz chłopca Świrydona i razem z nim do Bryniowa przyjechał — ależ teraz pora toków minęła i głąszce nie grają. — — Chociaż co wiedzieć można, jeżeli nie głąszec sam z siebie, ale dusza z niego gada? — i głos może mieć inny? — —

Znowu świst żaloszny zagrał przeciągle i zbliżał się wyraźnie wzdłuż rzeki.

— Janka... Januk!... — *czujesz?*

¹⁾ Żebyś wlaźł na górę i słońca nie dojrzał: (czyli: żebyś oślepl).

— *Czaho ciabie treba?* — warknął obudzony Szlaha.

— *Czujesz?*... Krzyk po rzece idzie...

Jan posłuchał niechętnie. — Odezwało się parę razy jakieś лихо na prądzie Ptyczy, ale teraz ciszej, jakby onieśmiałone przez butny głos Szlahi. Flisowi, już rozczmychanemu, przyszła znowu chętka straszenia Halimona:

— Nic innego, tylko wielki wierzozub podchodzi...

Rybak dech wstrzymał i utkwiał rozszerzone oczy na wstęgę Ptyczy, fioletową pod krzywem światłem księżycy. Wodne porosty wzdłuż obu brzegów układały się w kształty cicho pełznące, a dziwny jęk zdawał się je ożywiać.

Halimon znowu zapytał kuma:

— A *jonże*... wierzozub... środkiem rzeki chodzi, czy bliżej brzegów, jak *wijun*¹⁾.

— Bywa środkiem, bywa i na brzeg polzie. — Zawsze ty, Halimon, odsuń się maleniczko od rzeki i zakurz lulkę.

Sam zaś Szlaha nie poruszył się z miejsca, ani żadnych przedsiębrał ostrożności przeciw możliwemu napadowi potwora. To dodało Halimonowi otuchy. Spostrzegłszy wkrótce, że towarzysz zasnął, Halimon odpełznął jednak o sążeń od rzeki i zapalił fajkę.

— *Jonże i Boha nie wielmi boiścia* — mrucał, spoglądając na Szlahę, — a i smolą cały cuchnie; takiego żywego i czort nie chwyci.

Czekał. Nic nie maćilo tymczasem ogromnego snu puszczczy.

Po kwadransie usłyszał znowu ten sam jęk przeciągły, ale już w dole rzeki. Zatem wierzozub — jeżeli on to był? — przepłynął cicho pod legowiskiem ludzkim i

¹⁾ Piskorz.

ominał sieci. — I lepiej! — myślał rybak — rozerwałby jeszcze trehubicę i inną rybę, jaka w niej jest, wypuściłby. — A zdaje się, że ryby nabrało się: pławki tańczą w księżycu, woda kotłuje się koło nich...

Halimon nie spał jednak, znerwowany, czujny na możliwe i niemożliwe wypadki. Księżyc stanął w szpalerze drzew wyciętym przez rzekę i wysrebrzał z niej fantastyczne plamy jasne i ciemne, jakby po grzbietach wielkiej procesji ryb, płynącej przez powierzchnię wody. — Minał znów księżyc aleję Ptyczy i rzuciły się na nią kształty leśne wielkie, zarastające wodę łodziami pełnymi wysokich cieniów, sztywnych i cichych, jak duchy.

Długo, długo trzymały Halimona dobrze znajome, lube i straszne przywidzenia, dzisiaj wyjątkowo niepokojące. Księżyc już zapadł za las, trwała jeszcze na niebie jego poświata mamiąca i bajkotwórcza, ale stała się coraz bledszą, zimniejszą.

Halimon obejrzał się na przeciwną stronę nieba, gdzie na rozjaśnionym błękicie wisiała jedna tylko różowa gwiazda poranna.

— *Zorka ty moja!*¹⁾ — westchnął do niej miłośnie rybak.

Przeżegnał się i zasnął.

¹⁾ Gwiazdko ty moja!

XII.

Dojrzałe lato posunęło się znacznie, termin przyjazdu pani Teo zostawał jednak ciągle w zawieszeniu. Kotowicz dziwił się, wreszcie zaczęła go już trapić niepewność projektu, do którego się przygotowywał i przywykł. Gdy pytał się szczerze, czy to niepokój o losy, o zdrowie, o dobrobyt Teo, sumienie odpowiadało: nie. Złapał się raz nawet na rozmyślanie, co by to było, gdyby Teo nagle umarła? — I odnajdywał w sobie dosyć osobliwą żalność z powodu tego przypuszczenia: nie ból rozdzierający, nie chęć przepadnięcia razem z osobą ukochaną — lecz żalność cichą, ostatecznie znośną, bo połączoną z pociechą, że ona zniknie dla niego, ale zarazem dla wszystkich innych. — Jaka była piękna i droga! — Ocknął się z tego rozmyślania prawie ze wstydem — to mi szlachecka forma miłości! — I zajmując się dalej miejscowymi sprawami, czekał na depeszę.

Przyszła nareszcie taka, jakiej się nie spodziewał i przyjęta została wcale dobrze. Teo donosiła, że błagalne namowy lekarzy i przyjaciół skłoniły ją do kuracji w Trouville — że wiadomy projekt odkłada do końca lata — że wreszcie „uwielbia“ (zapewne adresata?). — Depesza była już z Trouville.

To lepiej — pomyślał Kotowicz. — Widać, że niezbyt chora, bo na modne normandzkie wybrzeże nie wysyłają skazanych na śmierć — jesień tutaj bywa ładna — roboty w domu będą ukończone — a tymczasem do końca

lata potrwa zupełna swoboda posunięcia naprzód interesów.

Wezwany za poradą Sasa kupiec leśny z Kijowa, sławny „Czarny Demian“, miał za kilka dni tu się zjawić. Kotowicz przewidywał komplikacje towarzyskie i finansowe, gdyby się ten zubożony chłop, nie lubiący czasu tracić na fraszki, miał spotkać w Turowiczach z panią Teo. Teraz obawa ta ustała.

I Polesie zaczynało przemawiać do Edwarda całym koncertem głosów, których ani słyszał, ani przeczuł nawet w dniu przyjazdu. Zdrowo tu, a ludzie w okolicy, choć nieliczni, dobrzy i zajmujący. Ktoby się spodziewał, że ten Sas, napozór niedołyżny, okaże się tak dzielnym i przyjaznym? Zaczynał też Kotowicz przekonywać się, że Turowicze, które miał dawniej za odłużony kawał smutnej ziemi, są dużym państwem, dopraszającym się tylko o sprzężystą administrację, o mocne i pracowite reformy; a jeżeli teraz dają już sporo zadowoleń bez pracy, ile ich dać mogą, gdy powstaną tu dobre drogi, parowe tartaki, folwarki i wielka kultura rolna! Oczywiście — nie od razu Kraków zbudowano — przed rozpoczęciem kosztownych reform należało pozbyć się długów, zapłacić cierpliwością za kilka lat szalonych. Tylko ten wysiłek, niedawno jeszcze nienawistny, wydawał się teraz znośnym Edwardowi, czasem nawet pociągającym. Z zadowolonym uśmiechem odkrywał w sobie atawistyczną żądzę posiadania i uprawiania znacznych obszarów ziemi. Zmęczony sybaryta miejski, gdy się przemocą związał z dziedziczną glebą, poczuł, że mu jest miła. Sprawdzał to spostrzeżenie na różnych szczegółach.

Lubił na przykład specjalnie pole owsa za ogrodem, gdzie osobiście był obecny przy siewie. Duży łan ślicznie gwarzył sypką gawędę o powodzi zbioru: zasypię, zasypię sąsieki. — Ostał się szczęśliwie tegorocznym na-

wałnicom i kołysał na jędrnej słomie srebrno-zielone swe trzęsienia. Oziminy ucierpiały nieco od deszczów nawalnych, które przeszły po nich miejscami, jak stada ciężko deptających dzików. Ale kłosa były dorodne i zbiór, choć utrudniony, zapowiadał się dobrze. Zato lny modrookie, grochy rozczochrane, koniczyny zwartym szyte amarantem, kartofle pokrywane nacią kierunku redlin — pyszniły się sytą wilgoci zielenią i obiecywały zbiory wyjątkowe. Rozpoczęto żniwo żyta i rzędy buńczucznych kopic napępniały kraj policzonym już bogactwem. Gdziekolwiek sięgnął okiem po polach, Edward wiedział, czuł, że to wszystko jego lub od niego zależne.

Tylko las napępniał go żalną zadumą. Las najpiękniejszy na Cieczniukach, na Wirku, na Hacı, na Zarudziu trzeba będzie mocno przetrzebić, albo i w pień wyrąbać za ciężkie grzechy lat ostatnich!

Kotowicz dziwił się krainie, że mu się tak w oczach i w sercu zmieniała, dziwił się i swej powierzchowności, gdy się przeglądał w lustrze. Opalony, ubrany ciągle do lasu, lub do konia, nie pamiętał już, jak wygląda we fraku, który dawniej był mu codziennym strojem na wieczór. Nie pozbył się swych przyzwyczajzeń czystości, ale nie paradował nią jako główną dystynkcyą. Nosił tygodniami ten sam krawat, a kapelusz obrał sobie jeden na całe lato, ten w którym chodził wiosną na głuszce. Uproszczenie i skrócenie zachodów toaletowych stało się też ostatecznym powodem odprawienia służącego Karola, który okazywał się coraz bardziej niepotrzebnym, a nawet uciążliwym. Klócił się z Morozem, włóczył się bez zajęcia i zaczął okazywać pewną protekcyjną wyrozumiałość Kotowiczowi, jako spadłemu z etatu europejskiego eleganta na poziom wiejskiego „diedzica“. Niecierpliwiał Edwarda i przypominał mu złe czasy. Wyjechał z Turowicz, a przy usłudze osobistej Edwarda pozostał

wyrostek miejscowego pochodzenia, codziennie zgrabniejszy i kilkakrotnie tańszy od Karola. Gdy przyjedzie Teo, weźmie się do dworu drugiego kandydata ze stajni cugowej i pożyczyci się jeszcze kogoś od poczciwego Sasa, który wszystko ma do ustąpienia sąsiadowi. Gdy przyjedzie Teo...

Ale tymczasem jeszcze nie przyjeżdża; można tu wykonać swobodnie różne zamiary gospodarcze i towarzyskie.

Wypadało koniecznie oddać wizytę Sasowi. Wypadało niemniej odwiedzić regularnie Oleszów nietylko o wschodzie słońca, z okazji polowania. Żałował Edward, że go ominął widok Oleszanek, zabłąkanych z powodu deszczu do Turowicz. Moroz mu opowiedział całe zajście ze szczegółami — byłoby dużo zabawniej widzieć obie panny we dworze. Zwłaszcza gdy wyobrażał sobie Renię rozczesującą swe piękne włosy przed lustrem w jego sypialni, sprawiało mu to miłe wzruszenie. — Ale, czy pod wpływem niedawnej rozmowy z Sasem, czy przez uczciwość rycerską, sam sobie zakazał snuć jakieś wizye zmysłowe, dotyczące tego... szanownego dziecka. Zresztą, gdyby ją osobiście przyjmował w Turowiczach, nie wszedłby z nią razem do sypialni, a przedewszystkiem — onaby tam nie weszła. Zatem scena oglądania Reni przy gotowaniu, była ze wszech miar nieprawdopodobną.

— To jednak nie jest pospolita dziewczyna — rozmyślał Edward. — Sas, gdy o niej mówi, chce płakać; Moroz cmoka, jak stary satyr... Zawraca w głowie starcom i kalekom, ale i człowiek młodszy mógłby... To musi być dobre, przyjazne stworzenie. —

Przenosił się myślą do Kurenicz i błyskawiczny portrecik Reni utrwał mu się w pamięci harmonijnie, bez żadnego zgrzytu w melodyi, bez wady w formie,

prosty, jak greckie arcydzieła, i miły, jak piosenka z dobrych czasów.

Gdyby nie serce związane, ściśnięte, wysrane przez inną kobietę!

Nawiedziła go jednak pewnego dnia chętna doświadczenia, jak to panny wchodziły do jego pokoiów, jakie tam mogły mieć wrażenia dodatnie, czy ujemne. Poszedł sam tą samą drogą z salonu, aby odtworzyć w wyobraźni scenę.

Pokoje były w porządku, dobrze zalecały wytworne przyzwyczajenia lokatora. — Cóż tu jest zresztą osobliwego? — rozglądał się Edward po ścianach i meblach, których fizyognomii już nie czuł, z powodu, że ciągle na nią patrzył.

Nagle nie podobało mu się biurko, stojące na nieuchronnym widoku przy przejściu z salonu do sypialni. Książki, papiery, listy — nie przypuszczał, aby panny szperały w nich, zwłaszcza, że były tu we dwie. Ale nie mogły nie widzieć fotografii Teo. — Nie było to niezczęściem, pomyślały, że jakaś krewna. Musiały jednak obejrzeć, bo Teo pociąga oczy do siebie i wyrazem twarzy i strojem. Dwa portrety oprawne były wystawowe, nieposzlakowanej ozdoby i godności. — Ale gdzież ta trzecia fotografia nieoprawna, której zwykle miejsce na biurku Edward także pamiętał? — Ta właśnie była dekoltowana trochę poufniej, zbyt śmiało, jak na pobożne tutejsze obyczaje. — — —

Nie o przedmiot mu chodziło, gdyż miał drugą taką samą fotografię ukrytą w pugilaresie, ale o zagadkę, gdzie się podziała ta luźna z biurka.

Posądził odrazu Oleszanki, bo o nich właśnie myślał. Ale na co im to? — I która z nich?

Przerzucił wszystkie papiery na wierzchu stołu i w szufladach — nie znalazł. — Któż ją zabrał? — —

Wtem błysła mu myśl, że Sas, który zbiera fotografie pięknych kobiet, mógł być sprawcą tego porwania. Oczywiście! — portret, który oglądał w pugilaresie, najbardziej mu się podobał — był szczególnie „pikantny“. Mógł zabrać ten dublet ze stołu.

Trzeba było sprawdzić to posądzenie, bo gdyby się okazało fałszywym, nikomu innemu nie możnaby przypisać przestępstwa, jak tylko pannom z Kurenicz. Ktoś ze służby? — przypuszczenie było bez prawdopodobieństwa. Kotowicz napisał list do Sasa, tembardziej, że miał do niego parę interesów poważniejszych.

W dopisku zapytał poprostu, przyjaźnie, czy mu Justyn nie świsnął jednej fotografii pani T. do swego zbioru pięknych kobiet. Rozgrzeszał go wesoło, w razie przyznania się do winy, ofiarowywał chętnie przedmiot przestępstwa na własność, a zarazem tłómaczył powód indagacyi, gdyż jeżeli nie na niego, to posądzenie pada na osobę bardzo interesującą. —

Konny posłaniec zawiózł ten list do majątku Sasa, Osowy, odległego o wiorst trzydzieści i nazajutrz dopiero przywiózł odpowiedź:

„Kochany Edwardzie!

Odpowiadam najprzód z oburzeniem na twój dopisek. Zamierzam Ci świsnąć, gdy przyjedzie, sam oryginał, nie zaś fotografię, której nie zabrałem jako żywo. Dowiaduję się z twego listu, że dama odłożyła przyjazd. Tem lepiej! Ja pofolguję sobie w praktykach, których używam na odmłodzenie się, a ty będziesz mógł dojrzeć pilnych interesów. Kiedy przyjedzie Czarny Demian, trzymaj się ostro z ceną lasu i z kontraktem, bo to cygan, choć kupiec obrotny i bogaty.

A że myślisz o odwiedzeniu mnie w Osowie, tegom się po tobie spodziewał. Jutro przyjeżdża do mnie moja siostra, pani Anna Dowbuttowa, z synami. Na jej imie-

niny, 26-go lipca, obiecali się do mnie państwo Oleszowie z Kurenicz i inni, kto łaskaw. Ponieważ wolny jesteś obecnie od oczekiwania zamorskich gości, ufam, że nie zawiedziesz naszej, bardzo dla mnie drogiej przyjaźni i zaszczycisz swą obecnością moje progi...“

Składało się pomyślnie: Edward zobaczy za jedną podróżą Sasa i Oleszów, zaspokoi też może swą ciekawość co do zaginionej fotografii. Był dzień 23-ci lipca starego stylu; tegoż dnia wieczorem zawitał do Turowicz „czarny Demian“, pierwszy poważny kupiec leśny.

Z kupcem nie poszło wprawdzie tak gładko, jak się Kotowicz spodziewał. Pan Demian — pan to już był z cyfry majątku, jeżeli nie z obyczaju — zajechał najprzód do rządcy, Juchniewicza, i długo u niego siedział. Następnie razem z rządcą zjawił się we dworze. Chociaż nie nosił koszuli zapinanej na ramieniu, ani „armiaka“, lecz ubiór europejski, rozepchany przez atletyczne kształty, Demian przypomniał Kotowiczowi legendę o „Eljaszu z Muromia“, który siłę ziemi, zawartą w worku, chciał podnieść i zarzucić sobie na plecy:

„Machnie leczka rączką prawą,
Zachybocze mu się nóżka lewa...“

Olbrzym miał włosy czarne w kędziory, brodę rozkrzewioną w potok, jak starożytne bóstwa rzeczne, oczy szafirowe ocienione i uśmiech ludożercy. Przemawiał jednak pieszczotliwym tenorem, po rosyjsku.

Edward podał mu rękę bez przyjemności, aby go dobrze usposobić.

Zaraz okazało się z przemowy Demiana, że drzewo ogromnie staniało, bo na Polesiu rąbią mnóstwo lasów i rynek kijowski zawałony jest drzewem. Przyjechał na wezwanie przez grzeczność, ale właściwie nie wie, jak ma dalej handlować lasem, bo właściciele chcą wciąż tej samej ceny, a drzewo w Kijowie coraz tańsze. Nareszcie,

jakby go uniosła przyrodzona wspaniałomyślność, zawołał

— Ja wam, Edwardzie Alfredowiczu, serdecznie dobra życzę, bo jeszcze z panem marszałkiem handlowałem, z panem wielkim i dobrym. Ja wam tu zaraz 50,000 „całkowitych“ pożyczę, nawet bez procentu, a wy mnie dacie prawo rąbać na uroczysku Ciecieniukach przez cztery zimy. Jeżeli po „solidnem“ obliczeniu cena większa okaże się, dopłacę. — — Aa?

I sięgnął ogromną, miedzianą łapą pod kamizelkę po banknoty, które mu wypychały ubranie.

Kotowicz wysłuchał przemowy o kryzysie leśnym i propozycji bez słowa, bez drgnięcia twarzą, z zaplacionemi palcami. Tak sobie był postanowił. Teraz odezwał się powoli:

— Nie mam lasu do sprzedania na wyrąb, tylko na sztuki. Jest już wycechowanych do 10,000 budulcu w rozmaitych obrębach. Taksacya postępuje codzień, a z tego co gotowe, można sobie zdać sprawę, ile będzie obok. Przeznaczam na sprzedaż do 40,000 sztuk sośniny i 5,000 dębów.

— Wasza wola — odrzekł kupiec z bolesnym uśmiechem. 45,000 pni w lesie znaleźć — znajdzie się, tylko już trzeba brać drągowinę, żeby do takiej cyfry dopełnić.

— Niech pan obejrzy — rzekł Kotowicz cierpliwie, pomimo, że Demian prawil rzeczy wprost ubliżające puszczy.

— Obejrzeć to można, tylko to nie dla mnie interes.

— W takim razie...

Kotowicz rozkrzyżował ręce gestem, oznaczającym albo niemożliwość, albo wyproszenie za drzwi.

Ale Demian nie ruszył się z miejsca, mrugał tylko, patrząc na Kotowicza i przemyślając, z jakiej strony najłatwiej go objechać.

— A może „wasze wysokorodje“ chcieliby większy interes zrobić?... całe Turowicze sprzedać? — — Ja i do tego ochotnik. — — Milionik dam.

Ta niespodziewana oferta poruszyła Kotowicza. Milion — to było już wyzwolenie zupełne! Krew mu nabiegła do żył na skroniach, ale się pohamował, obejrzał paznogie i wycedził przez zęby:

— Tymczasem mam na sprzedaż wybór sosny i dębów, jak mówiłem.

Kupiec rzucił żywe spojrzenie w stronę Juchniewicza, jakby chciał zawołać: „cóż mi pan zatem mówiłeś?“ — ale Juchniewicz siedział, jak mumia, z przymkniętymi oczyma.

Pożegnano się tego dnia. Nazajutrz Demian poszedł jednak do lasu, aby obejrzeć wycechowane sztuki. Wieczorem zjawił się znowu we dworze i zapytał, niby nawiasem, o cenę. Gdy Kotowicz odpowiedział, że sprzeda na kubiki według cen kijowskich, które zna, a jeżeli na sztuki, to wycechowane wypadają przeciętnie; sosny po 9 rubli, a dęby po 20 — kupiec złapał się za głowę i pożegnał Kotowicza. Zaszedł jednak jeszcze raz do rządcy i przez niego oświadczył, że przejeżdżać będzie tędy za miesiąc, więc wstąpi, aby się dowiedzieć, czy właściciel nie namyślił się i nie spuścił z ceny, gdyż o takiej, jakiej żąda obecnie, mowy być nie może.

Przez tę dobę Kotowicz przeżył ostrą walkę z pokusą. Trzy miesiące temu uległby jej z pewnością. Odrzucił dwie propozycje kupca, z których jedna — 50,000 za wyrąb Cieczniuków — załatwiała najdokuczliwsze na razie interesy, druga — milion za całość — była pierwotnym celem jego przyjazdu na Polesie. Ale wieszował sobie, że się nie zgodził, wiedział już bowiem, że obie transakcje byłyby tylko rzuceniem rodzinnego mienia, przez niecierpliwość, w ręce obce, które obłowiłyby się nadmiernie, a zawział się już

w postanowieniu przeciwnem. Materyał majątkowy jest tu wielki, praca weselsza, niż sądził i kraj... bardzo zajmujący.

Od paru dni opanował go też ogólny optymizm co do przyszłości, nie tyle wyrozumowany, ile pałający serce ochotą do czynu i do zdobyczy. A radę co do trzymania się z ceną lasu i przyjemne zaproszenie na pojutrze do Osowy, zawdzięczał jeszcze kochanemu Sasowi!

XIII.

Osowa była siedzibą zbudowaną przez obecnego właściciela, Justyna Sasa, i miała wiele cech jego charakteru. Dom drewniany na wzgórzu, bardzo gęsto oszklony, w stylu fantastycznym, lecz przyjemnym, był urządony mniej dla gospodarza, niż dla gości, zawierał bowiem przeważnie pokoje bawialne, oranżeryę i różne przystawki belwederowe. Dalsze podobieństwo Osowy do pana Justyna polegało na połowicznym defekcie figury majątku, gdyż połowa leśna mocno była sfatygowana. Ale niezrównaną ozdobą Osowy był odległy o paręset kroków od dworu jezioro Kniaź, najwspanialszy i największy zbiornik wód na Polesiu. Sas przeniósł umyślnie dwór ze starego miejsca nad tę przestrzeń wodną, że mu przypominała morze i że mógł urządzić na jej brzegu różne osobliwości, jak oto wielką przystań dla flotyli łodzi i łódek, a nawet strzelnicę gołębi, jak w Monte-Carlo. I tak ozdobione wybrzeże nazywał „swoją Riviera“.

Kto tu przyjeżdżał po raz pierwszy, jak Kotowicz, biegł natychmiast do przystani, gdyż widok był rzadki w tym kraju i przemożnie pociągający. Dzisiaj upał był prawie egzotyczny i fala, nie schodząca nigdy z tego poleskiego morza, przelewała się iskrzącymi szafirami.

Brzeg rozstępował się na obie strony łukiem leśnym zaledwie dostrzegalnej krzywizny, dal zaś wodna uciekała aż pod horyzont, wyciągnięty srebrystą cięci-

wą. Gdyby jeszcze woń soli i jodu, złudzenie morza byłoby zupełne, ale od modrej otchłani wiał słodki jeziorny zapach, leczniczy na serca. Parę dalekich ostrowiów, niby unoszących się na powierzchni wody, ośmiewało do wypłynięcia łódką na przestwór trochę groźny, nawet w pogodzie, naprzeciw karbom fali, uderzającym o brzeg seryą szerokich stękań.

— Ależ to dziw, kochany Justynie! — rzekł Kotowicz do Sasa — za mało mi o tem mówiles!

— Wolalem, żebyś miał niespodziankę. —

Sas oglądał się jednak raz po raz na dwór — aż pociągnął Kotowicza za rękaw:

— Na potem — patrz! zajężdżają Oleszowie.

Jak mógł najprędzej wchodził pod stok pagórka. Edward nie chciał go wyprzedzić, choć czuł w nogach ponoszącą niecierpliwość.

Gdy przystąpił do Reni, poczuł szczerą, bujną radość, która mu przypomniała jego radości jeszcze chłopięcę — i ona przywitała go radośnie. Ale zaraz wydała mu się inną, nieznajomą, może dlatego, że strojnziej, niż w Kureniczach ubrana i że w ostatnich dniach inaczej ją sobie na pamięć rysował. — Jednak i ten drugi pozor był ujmujący. — Kto ją uczył manier i taktu? Może nauczycielka domowa, bo na nauce po za domem nie była? — Może ojciec, choć zajęty gospodarstwem i myślistwem?? — Ale wdzięk jej i piękność kształtowała wielką mistrzyni — prostota. Nic innego, tylko jak mówił Sas, Renia była „szczęśliwie urodzona“.

Kotowicz przyglądał się tymczasem Reni zdaleka, bo sporo było ludzi w Osowie i należało z nimi się zaznajomić. Rodzina Dowbuttów, obywateli z Mohilew-szczyzny, miała tu troje przedstawicieli: matkę, siostrę Justyną Sasa, osobę żywą, wyglądającą jeszcze młodo i zdrowo, podobną jednak do brata, kaleki, -- i dwóch sy-

nów, z których starszy, Bronisław, był jak mówiono, uczonym agronomem, oczywiście zaś pięknym brunetem, — młodszy, Jan, nieustalonego jeszcze typu, studiował dopiero w uniwersytecie. Dowbuttowicie byli spadkobiercami Sasa, gdyż nie posadzano już pana Justyna o zamiary małżeńskie.

Z sąsiedztwa zjechało też kilka osób, z dalszych zaś stron pan Kurebiesz, oryginał, o którym zaraz Kottowiczowi powiedziano, że jest naśladowcą Lwa Tołstoja; widocznie tak się streszczała najkrócej oryginalność pana Kurebiesza. Chociaż nosił na sobie jakiś żupan pokrewny z „armiakiem“ i długą brodę, nie dorównywał wzrostem, a zapewne i talentem wielkiemu poecie Rosyi. Ponieważ po rodzicach nie posiadał ziemi, więc jej nie rozdał między włościan, i mieszkał w Bobrujsku, w domu przez siebie zbudowanym w kształcie wieży o czterech piętach, które zamieszkiwał kolejno przez cztery pory roku, stosując do pory swe obyczaje i gatunek apostołstwa. Urodził się bowiem apostołem, jak sam zapewniał, i wyrokował o wszystkim w żywym słowie i w druku; drukował zaś większe i mniejsze prace w językach: polskim, rosyjskim i białoruskim, podpisując się pseudonimem „Lew II“. Nikt z obecnych w Osowie nie umiał zdać sprawy z ogólnego kierunku apostołstwa Lwa Kurebiesza, znano tylko niektóre tytuły jego dzieł: „Trzecie królestwo wiosny“, „Nowe Ateny“ (rzecz o Bobrujsku), „Teopompa“, powieść spółczesna, „Sądy koronne i moje“. Ta ostatnia praca była najślawniejsza, gdyż skonfiskowała ją doszczętnie cenzura. Opowiadano też anegdoty o urządzeniach jego czterech pięter, z których np. najwyższe, jesienne, posiadało małe obserwatorium astronomiczne, wiosenne zaś piętro było mocno zaperfumowane kamforą, gdyż pan Kurebiesz był surowym abstynentem, wegetarianinem, przeciwnikiem

alkoholu, tytoniu i innych podniet zmysłowych. Ponieważ żona, którą był pojął temu lat trzydzieści, już w pierwszym roku po ślubie uciekła, znakomity mąż mieszkał sam i bezdzietny, oddając się całkowicie swemu apostołstwu. Na skromne swe potrzeby zarabiał różnymi procederami naukowo-literackimi; gromadził też w swej wieży mnóstwo zabytków przeszłości, kierując się zasadą nabywania tanio lub za darmo przedmiotów swoich i drogich. Ziemia rodzinna dostarczała mu z wykopalisk siekierok przedhistorycznych, oraz guzików różnymi czasy uronionych; znajomi oddawali mu, na dowód uznania, różne graty bez użytku, za które Żydzi miejscowi nie chcieli już nic płacić. Tym sposobem uczony mąż składał „muzeum Kurebiesza“ przeznaczone na instytucję trwałą, która miała przysłużyć przyszłym pokoleniom świadcząc o kulturze miejscowej i opiewać nazwisko fundatora. Już obecnie oglądano tam stopy rozsypującej się bibuły, ułamki mebli, kolekcję butów wielkich ludzi, numizmaty tak wytarte, że ich epoka wahała się między 10-ym a 17-ym wiekiem; zbroje nabijane gwoździemi dziwnie podobnymi do nowożytnych pluskiew malarskich; kałamarz królowej Jadwigi z napisem wrytym na alabastrze: „Atramentarium Hedvigis reginae Poloniae“; sztuce stołowe platerowane (sic) z herbami królewskimi Wazów — i tym podobne curiosa. Dla stwierdzenia autentyczności niektórych okazów, Kurebiesz zaprosił listownie dyrektora muzeum Cluny z Paryża, ale pan dyrektor, przez właściwą Francuzom obojętność na rzeczy wschodnie, nie odpisał. Tymczasem cierpliwym poszukiwaczem antyków, dr. Nathan Cohn z Berlina, uzyskawszy pozwolenie dokładnych oględzin muzeum Kurebiesza, znalazł w niem jakiś przedmiot kultowy hebrajski (skatalogowany jako strzemień od siodła Atylli) i wyprosił go sobie za sumę rubli stu, która skusiła Kurebiesza, nie

opływającego w dostatki. Z funduszu uzyskanego za mniemane strzemię kompletuje się po dziś dzień zbiór haftek polskich, najbogatszy z istniejących.

W Osowie Kurebiesz ujrzał po raz pierwszy Kotowicza, o którym tylko wiedział, że jest posiadaczem obszernych włości i rozrzutnikiem. Natychmiast rozżarzył się duch w apostoła i poniósł go do ewangelizowania Kotowicza. Lew II jął tłómaczyć Edwardowi pilną potrzebę rozdrobnienia wielkiej własności ziemskiej i oddania jej w ręce pracowitych autochtonów. Kotowicz słuchał zrazu grzecznie, potem mniej cierpliwie, aż go nareszcie od natrętnego dziwaka wybawił uprzejmy postuk łaski gospodarza, który, chodząc po pokojach, zgarbiał gości do jadalni, na podwieczorek.

— Zmiłuj się, Justynie, czy ten filozof jest twoim przyjacielem? — szepnął Kotowicz do Sasa.

— Owszem, lubię go... Spotkałem go tymi dniami i zaprosiłem. — A co? powiedział ci coś zdumiewającego?

— No, jakiś komunista... prawi mi od kwadransa, abym rozdał majątek między ubogich. —

— Ee, to nie groźne. Dobry człowiek. Opowiem ci potem, a teraz bądź łaskaw usiąść... może tu? przy panie Reginie Oleszance?

Zamiana Kurebiesz na Renię była tymczasem szczytem pragnień Edwarda. Renia także, jakby oczekiwała tej chwili, poprawiła się na krześle z nietajonem zadowolaniem:

— Ładnie to obiecywać się do nas z wizytą i nie przyjeżdżać przez trzy miesiące — zaczęła rozmowę.

— Byłby to grzech naprawdę, gdybym miał choć jeden dzień wolny. Miałem codzień robotę w lesie, na folwarkach, z kupcami; byłem w Mińsku. —

— A więc pan już trochę przywyka do wiejskich zajęć? Nawet opalił się pan i zdrowiej wygląda.

— Rzeczywiście wieś mi służy. — I robota na wsi bardzoby mi się podobała, gdyby nie komplikacje...

Urwał, bo nie myślał tu wyliczać swych kłopotów, a Renia nie śmiała nalegać. Ze wszystkich też stron na nich patrzono. Edward uciekł się do ogólnej konwersacji pod byle jakim pozorem.

— Gospodarzu miły! czy masz tutaj nadzwyczajne cieplarnie, że dochodzisz do tak pięknych brzoskwiń?

— Taki u nas klimat nad jeziorem Kniazem — odpowiedział Sas żartobliwie — spróbuj jednak — nie są z mądla.

— Ależ one nie tutejsze! — zawołał jeden z sąsiadów, weredyk.

— A mogłyby być — rozpoczął Kurebiesz. — Zamało przykładamy starań do kultury owoców, tego najszlachetniejszego alimentu człowieka...

— Nie tak znowu mało — wtrącił Antoni Olesza — tylko hodujemy owoce naszemu klimatowi właściwe.

— Brzoskwinia udaje się w naszym klimacie, tylko ją zaniedbaliśmy — protestował ktoś znowu.

I popłynęła ogólna rozmowa o ogrodnictwie, wzmożła się jeszcze, gdy przeszła na gospodarstwo rolne, temat naturalnie roznamietniający ziemian. Więc Edward mógł swobodnie mówić z Renią:

— Jednej okazji mi żal... to przyjazdu pani konno do Turowicz. Jak na złość byłem wtedy w Mińsku.

— Zajechałyśmy we dwie z siostrą... z powodu ulewy.

— Wiem. I jeszcze był stary masztalerz... Jeusiej — czy tak? — Opowiadano mi ze szczegółami; wiem wszystko —

Teraz dopiero Renia zaczerwieniła się wyraźnie. Chciała zapytać: jak to „wszystko“? — ale oniemił ją niepokój sumienia. Co postrzegłszy, Edward utwierdził

się w swem przypuszczeniu co do fotografii. Nie chciał jednak tymczasem konfundować ślicznej sąsiadki i gładko rozwinął rozmowę:

— Naturalnie, że oglądanie takiej chałupy opuszczonej, nieporządnej, jak moja, nie może obfitować w miłe wrażenia. — Jabył jednak bardzo chciał być tego dnia w domu.

— Doprawdy? to nie błaga?

— Dlaczegożby? — ja nigdy nie blaguję — zadziwił się Kotowicz.

— Ach, przepraszam! To nie moje zdanie o panu. Coś mi się przypomniało, co o panu słyszałam.

— To widać od kogoś, który mnie wcale nie zna — —

— No, przepraszam bardzo. — Nie gniewa się pan?

Edward już myślał tylko, jak ślicznie przymilają się te oczy i usta, po raz pierwszy o coś go proszące. Po chwili zapatrzenia odpowiedział:

— Nie mogę się gniewać, skoro to nie pani...

— Więc wierzę panu. — Mnie się także bardzo podobały Turowicze, i dom i naokoło domu. Jakie tam piękne dęby! I Ptycz piękniejsza, niż u nas. Coś pan nad Ptyczą buduje? —

— Coś tam, aby trochę ozdobić pustkowie — rzekł Edward wymijająco.

Nie mogła Renia żądać bliższych objaśnień, ani sprawdzać swoich przypuszczeń. O kobiecie, która tam straszyla, jak widmo, zacząć mówić z tym panem miłym, ale nieznanym — było niepodobieństwem. Zresztą mogłoby jeszcze przyjść do wzmianki o zniknięciu fotografii, a wtedy cóż? — on zapewne łatwo przebaczy, ale jak uzasadnić ten postępek? — —

Edward zbliżał się pragnieniem do tego samego tematu: nadzwyczaj byłby rad dowiedzieć się, że to Renia

— właśnie ona, nie jej siostra — zabrała portrecik, ale nie przychodził mu na myśl zgrabny sposób indagacyi wogóle zaś nie chciał rozpoczynać rozmowy z Renią — o Teo.

I tak nie ośmielając się do trudnej szczerości, ciągnęli dalej gawędę przyzwoitą, bezcelową, przyczem on przypuszczał że nudzi Renię, a ona czuła się niezdolną zająć czemkolwiek umysł Edwarda. Prawie z uczuciem ulgi powstali od stołu ze swych miejsc sąsiadujących, ale odgradzonych od siebie przez jakąś niefortunność w porozumieniu. A przecie mieli najszczerszą chęć podobania się jedno drugiemu i chęć ta nie osłabła bynajmniej, zawzięła się w nich nawet z powodu pierwszych mniemanych niepowodzeń.

Sas namawiał do przejażdżki łódkami po jeziorze. Było bardzo gorąco — ogromna woda pozyniesie w każdym razie trochę ochłody. Edward oddalił się tymczasem od Reni, ale obiecywał sobie solennie intrygować, aby dostać się z nią na jedną łódkę.

Było kilka łódek do wyboru; jednak towarzystwo wybrało sobie z rozpędu dwie; największą i najmniejszą. Wielka posiadała załogę: dwóch wiosłarzy i sternika, nawet maszt z żaglem. Do tego statku rzucili się zaraz młodzi Dowbuttowie, jeden do steru, drugi do wiosła, i zapraszali ochoczo pannę Marcelę Oleszanke, która niebawem zgodziła się. Wszedł tam jeszcze jeden pan z żoną. Probowano nastawić żagiel, ale nie było wiatru. Łódź z ośmiu osobami posunęła od brzegu o sile wiosła.

Renia zaś skoczyła do małej łódki z jednym wiosłarzem. Wahającego się Kotowicza Sas przynaglił:

— Nie dajże się wyprzedzić! Widzisz, że biegnę na usługi panny Reni!

Edward wsiadł zatem pośpiesznie do małej łódki i umieścił się za wiosłarzem, zwrócony twarzą do Reni,

która siadła w drugim końcu. Ale łódź była tak lekka, że dwaj mężczyźni nadto ją przeważali na jedną stronę — Renia siedziała jak na wzniesionym końcu huśtawki. Sprobowali oboje, Renia i Edward, usiąść obok siebie na ławeczce — było zaciasno. Przewoźnika nie można było odsunąć od miejsca przyrządzonego dla wiosł.

— Łódka jest na dwie osoby — zawołała Renia — nie ma rady — ja umiem wiosłować, powiozę pana.

— To już niech mnie będzie wolno objąć wiosła — odrzekł Edward — mnie także nie pierwszozna; pływałem nawet po morzu.

Więc wyproszone z łódki przewoźnika i Edward siadł przy wiosłach, Renia na ławeczce naprzeciwko.

— Dokąd pan admirał każe? — zapytał Edward.

— Może pan chce za tamtą łodzią? — — Ale jabym wołała do tej zielonej wysepki.

— Zatem do zielonej wysepki!

Kotowicz zagarnął wodę i popchnął mocno łódkę — sunęła jak piórko po toni, wpoprzek łagodnej fali. Renia patrzyła długo tylko na wiosła, wreszcie odezwała się:

— Niech pan spróbuje nie tak głęboko zanurzać łopaty! z mniejszym wysiłkiem popłyniemy równie prędko. — —

Edward zastosował się do wskazówki i po chwili przyznał Reni słuszność. Łódka pomknęła równo, jeszcze lżej i szybciej, jak ptak, który po trudzie wlotu, nabiera spokojnego pędu.

— Ja stąd widzę, jak brzeg uciekł daleko; a pani co tam widzi?

— Ja... tylko ogromną wodę, bez końca, bez żadnych brzegów. I widzę także, że płyniemy prędeej, niż duża łódź. — —

— Zaraz ją przegonimy — odrzekł Edward, upojony lotem i tańcem na fali.

Zdwoił wysiłek, wkrótce zrównał się z wielką łodzią. minął ją i pomknął naprzód, witany salwą okrzyków. Cięższy statek, czy udając powagę, czy nie chcąc się ścigać z lekkomyślną szalupą, zaznaczał kierunek wzdłuż wybrzeża Osowskiego i oddalał się od łódki szalonej, na której Edward i Renia mknęli ku wysepce.

— Daleko tam jeszcze do naszej przystani? — pytał Edward, odwrócony wciąż od pełni jeziora, a zapatrzony na Renię, której twarz baczna i promienna znaczyła lubie wrażenia.

— Coraz bliżej — — ale źle z nami, panie... załogol! Straszna chmura nadciąga i Książ zaczyna się marszczyć.

Kotowicz obejrzał się teraz na niezmierny rozlew. Horyzont nie był już, jak uprzednio, srebrną cięciwą, lecz ławą płynnej smoły. Wiatr gorący, nie zaplątany na gładzi w żadną przeszkodę, lał się od chmurnej ciemni szerokim tchnieniem, cichem. Toń pod łódką zaczęła rosnać, to znów zniżać się powoli, a na jej grzbiecach miękkich, coraz bardziej garbatych, wiatr zrywał garście bryzgów i ciskał przed siebie pierwsze puchy piany.

— Jak pani myśli? do wyspy, czy napowrót?

— Chyba do wyspy. Dużo bliżej i jest tam trochę krzaków; może przeczekamy burzę. Burza niechybna.

Całą siłą ramion pchał Edward łódkę ku zielonej przystani, która wydawała się coraz niklejszą pośród fal wyższych, podobnych do oślizgłych grzbieców przekornego stada wielorybów. Wyspa była o jakie sto kroków, gdy Renia, zwrócona twarzą ku burzy, ujrzała takie zjawisko powietrzne: chmura leciała przez całą szerokość jeziora jak czarny, pionowo postawiony żagiel, oparty na srebrzystym szlaku dwułokciowej wysokości. Ten żagiel żalobny, świat cały zagarniający, sunął ku łodzi z po-

twornym sykiem. Znikło z przed oczu wszystko inne: niebo i fala, nawet bliska wyspa.

— Oj, panie! — zawołała Renia — prosto tak, jak pan jedzie! mocno! —

Razem oboje wzdrygnęli się, jak ludzie wchodzący do wody; ogarnął ich potop bryzgów ze wszech stron nieuchronny, zwarty niemal jak toń, aż mroczył i zapierał oddech. Rozpędem tylko świadomości rozumiał Edward, że prowadzi dwa życia do ratunku i używał całej energii mięśni i nerwów do tego celu... Renia, skulona w kłębek, jakby się chciała schronić pod płachtę, w którą ulewa zamieniła jej kapelusz, wypatrywała gorączkowo zbawczego brzegu.

Przyszła chwila, gdy oboje, choć oblani potokami wody coraz zimniejszej, poczuli gorący pot śmiertelnego niebezpieczeństwa. Nie było widać wyspy, łódka rzucała się na fali, jak łupina, a do jej wnętrza nabierało się coraz więcej wody. —

Renia jeła wyczerpywać kapeluszem wodę za burty, ale, nie widząc dobrego skutku, gdyż ulewa i wierzchnie okrawki fali napełniały dno coraz obficie — załamała ręce i zaczęła się modlić.

— Niech się i pan przeżegna! — krzyknęła nagle.

Edward, nie odejmując rąk od wiosł, schylił tylko głowę i przymknął oczy na znak połączenia się myślą z Renią. Zagryzł potem wargi i wiosłował zapamiętale.

— Trzcina! — zawołała znowu Renia — już, już widzę!

Kilka pchnięć zawziętych, ostatecznych i łódka, przesunawszy z szelestem przez sitowie, zaryła się w mulistym brzegu. Edward położył wiosła wzdłuż burt, wstał, bez chwili namysłu porwał Renię w ramiona, uniósł i, brodząc po kolana, wstępował na grunt coraz wyższy. Jej też nie przyszło do głowy wyrywać się z objęć. Weszli pod chudy krzew łożyny, zaledwie przecinający nad nimi ulewę.

— To dopiero!... — przemówiła pierwsza Renia, spoglądając z bardzo bliska w twarz Edwarda, nadzwyczaj bladą.

On zaś przymykał oczy i słał się:

— Usiąsęby gdzie...

— Ależ tu wszędzie woda... Co panu jest? — Mój Boże! co to?!

Kotowicz osunął się ciężko w łożynę i byle jak usiadł. Rzuciła się ku niemu, ujęła głowę Edwarda w dłonie i, jakby wetchnąć chciała w niego połowę swej zdrowej duszy, mówiła mu prosto w usta:

— Paniel!... panie!... mój drogi! ja wezmę wiosła, ja odwiozę... Bóg jest z nami!

Mętnymi oczyma błogosławił jednak Edward jej czarne oczy, przepalające nawet zaćmienie słońca i usta, jako kwiat rozmodlony.

Wtem przed oczyma obojga błysła ogromna różowa kula i trzask ogłuszający postawił w jednym mgnienu oboje na nogi. Piorun uderzył w jezioro przy samym brzegu wyspy.

Stali przez długą chwilę oszołomieni; spleli się kurczowo ramionami, głowy ich przylegały jedna do drugiej, a czworo oczu olśnionych utkwili w zamęt żywiołów. Piorunowe opony burzy miały już snadź wyspę, bo grzmoty huczały nie tak bezpośrednio po błyskach i zamrok jeziora rozwidniał się powoli. Pod bursztynową półsferą zadeszczoną, Książ miotał się tryumfalnym przewałem, trafiał po drodze na zieloną ostoję, bił w nią gniewnymi taranami, pluł na nią pogardliwą śliną i rycząc, walił ku zasłoniętemu wybrzeżu Osowy. Ale widać już było dzień zmartwychwstający na płynnym horyzoncie i otucha życia wstępowała w serca rozbitków.

Wtedy, jak prarodzice w raju, poznali oboje, że są nadzy — i odsunęli się od siebie. Jeszcze Edward wyglą-

dał jako tako ubrany, osyty lśniąca, ciemną skórą wcale przystojnie. Ale Reni w takim stroju nie oglądał żaden dotąd mężczyzna. Lekka jej suknia, przemokła do ostatniej nitki, nasiąkała w wielu miejscach różową śniadością jej młodego ciała, a włosy rozwite oblepiły ją mokremi pasmami aż do kolan. Była tak oczywiście i tak bezbronią piękna, że Edward nie śmiał jej o tem wspomnieć. Nie chciał zresztą. Do serca mu napływała, razem z odzyskanymi siłami, taka luba wdzięczność, taka radość ze wspólności losu z tą rajska dziewczyną, że nie znajdował słów ani przybliżonych do tęgości nastroju, ani dosyć przyzwoitych. Inną kobietę chwyciłby napowrót w objęcia, ale Renię trzeba było szanować, jak świętość. I ona nie wdzięczyła się, ani osłaniała Patrzyli sobie tylko nawzajem w oczy z wielką ufnością i rozrzewnieniem.

Jak wszystkie chwile szczytowe w istnieniu, musiała się i ta stoczyć w powszedniość, zgrzytnąć zerwaniem struny.

— Trochę mnie zamroczyło — odezwał się Edward — brak treningu...

— Ale już dobrze?.. prawda? — — Bo nie każdy też potrafiłby tak długo i silnie wiosłować! Gdyby nie pan, bylibyśmy może oboje pod tą wściekłą wodą. — —

Obmokłe, niby nagie, ramię zawiesiła nad spienionym Kniazem, ciągle jeszcze ryczącym pod ulewą. Kowtowiczowi nasunęły się porównania z jakąś grecką prorokinią nad morzem, ale słowa wybrał znowu proste i praktyczne:

— Z powrotem poczekamy, aż ulewa minie. Trzeba będzie wylać wodę z łódki. My chyba nie wyschniemy, aż jutro — parsknął śmiechem.

— Na szczęście ulewa ciepła — dodała Renia.

Od strony Osowy, dopiero majaczącej, doleciały

wołania: Hop, hop!... dalsze wyrazy tonęły w szumie ulewy.

— Czyżby od brzegu?... Ale to będzie około wiorsty. Głosy odezwały się bliżej i wyraźniej, kilka głosów męskich, niespokojnych.

— Płyną do nas na ratunek! — zawołała Renia.

I w pierwszym odruchu tego wrażenia zgarnęła rozrzucone włosy, wyżeła z nich wodę, związała w fantastyczny węzeł. Potem obie dłonie podała Edwardowi, z nietajonym żalem:

— Przygoda skończona. — — Dziękuję drogiemu panu.

— Dziękuję i ja. Nigdy nie zapomnę.

Tyle było ich wyznań. Edward pił przydługą słodką wodę z zaciśniętych rączek Reni.

Wielka łódź wylaniała się z mętu, wchodziła jak po schodach po ciemnych wałach Kniazia, ciemniejsza od nich, smolna, mocniejsza skupioną wolą człowieka, której nic się nie ostoi. Roztrącała grzbiety fal nozdrzem prującym, poczwórnem skrzelem wiosel dzieliła piany w rozpierschle widły. Dwaj przewoźnicy kolebali zgodnie swe robocze grzbiety, przyciągając potężne drągi wiosel; w łodzi przykucnęli jeszcze dwaj rybacy; ster trzymał sam Antoni Olesza, wypatrujący przed się bystro i groźnie, a przy maszcie bez żagla stał, jak przywiązana deska, Justyn Sas, śmiertelnie blady, obejmując słup jedyńą zdrową ręką.

— Musieli się najeść za nas strachu, biedacy! — zawołała Renia i, pociągając za sobą Edwarda na sam brzeg wyspy, zaczęła machać zawzięcie mokrą chustką.

XIV.

Zebrano się późno tego dnia na wieczerzę w Osowie. Przybyło jeszcze parę osób z sąsiedztwa opóźnionych z powodu burzy. Wypadło Sasowi porozumieć się z gospodynią o dodatki w kuchni i w pokojach gościnnych na wypadek nocowania większej ilości osób. Pan Justyn pełnił bardzo chętnie obowiązki gospodarza, ale chodził oszołomiony wypadkiem Reni i Edwarda. Choć już się był ucieszył, że nic się im nie stało w chwili najgroźniejszej, troszczył się teraz o to, aby się nie zaziębili. Edwarda napędził gwałtem do łóżka natychmiast po przymusowej kąpieli i namawiał Renię do podobnej kuracji. Kilku panów zasiadło do kart. Kobiety podążyły z ratunkiem zmokłej Reni, nasamprzód zaś Marcelka, która zdążyła uciec przed burzą i miała we wspólnej z siostrą walizce dostateczny zapas bielizny; obie przywiozły też z sobą inne suknie na wieczór. Salony opustoszały, więc chwilowo i ucichły. Tylko Kurebiesz, dopadłszy Janka Dowbutta próbującego samotnie bilardu, wykladał mu przeciągle o zajęciach bezcelowych, jak naprzykład gra w bilard bez przeciwnika. Dowbutt stukał dalej kijem w bile i bronił się, że to zdrowo, ale Kurebiesz nie ustępował i dowodził, że gra w bilard bez przeciwnika pozbawiona jest cechy uszlachetniającej — współzawodnictwa. Zaczynał o znaczeniu współzawodnictwa w grach, w handlu i w doskonaleniu moralnem... gdy student zrozpaczony uciekł.

Marcelka zamknięta w pokoju z siostrą, wypytywała o to, co mówił Kotowicz. Renia odpowiadała szczerze, że nic osobliwego, ale była w humorze promiennym, świadczącym, że doznała wzruszeń radosnych.

— A ja miałam też swego „fatyganta“, starszego Dowbutta — rzuciła Marcelka lekceważąco.

Renia, chociaż jej się nie podobało ani wyrażenie, ani porównanie, choć pochłonięta cała przez wewnętrzne odgłosy swej przygody, znalazła w sercu dosyć miejsca, aby rozmawiać o cudzem szczęściu, czy tylko zabawie.

— Zauważyłam, że ten pan... jak on się nazywa? Bronisław? — ładne imię; że ten pan chodził ciągle za tobą.

— Chodził, pływał, po wodzie i w rozmowie. Wszyscy mężczyźni są ostateczni blagierzy.

— A właśnie, że nie! — odezwała się Renia żywo od lustra, przed którym czesała włosy — przekonałam się, że nie.

— Sam ci Kotowicz to powiedział?

— Można zmiarkować, czy kto mówi z serca, czy tylko dla parady — odrzekła Renia poważnie i znowu zmieniła ton na troskliwy; ty masz jakieś uprzedzenie do mężczyzn, Marcelko; twoi tam kawalerowie z Moskwy musieli być mało co warci — — —

Marcelka nie odpowiedziała zaraz, ale i nie obraziła się. Przypomniała ze smutkiem, że Dmitry Arkadjewicz nie odezwał się do niej od sześciu tygodni.

— Pan Bronisław Dowbutt jest przystojny — rzuciła Renia swą opinię w lustro, odbijające oczy jej zamysłone o kim innym.

— Najprzystojniejszy z obecnych tu mężczyzn — poprawiła Marcelka.

Renia zamilkła i łatwo się pocieszyła; niech sobie Marcelka nie lubi pana Edwarda. Mówiła dalej, układając ciężkie, mokre jeszcze włosy.

— Podobno uczony agronom...

— Co mi po jego agronomii?

— To ci się pan Bronisław nie podoba?

— Dlaczego?... Owszem, z powierzchowności dosyć, ale nie z zajęcia. Ta prześwietna agronomia to, jak wąsy. Wszyscy je tutaj noszą, a ja nie lubię ani hreczkosiejów, ani wąsaczy.

— Mnie gdyby się kto podobał, to już ze wszystkim: z tem, co robi, co myśli... i także z wąsami. Ale przecie i pan Bronisław ma wąsy.

— Powiedziałaś mu, że nie lubię. Obiecał zgolić.

— To dobrze, to dobrze, Marcelko! — klasnęła w ręce Renia, puszczając nawet pasmo włosów, mozolnie przymuszane do posłuszeństwa.

— Głupiutka jesteś, Renius!

— Nie widzę tak bardzo, dlaczego? — —

O ósmej wieczorem Sas wszedł do pokoju, gdzie Kotowicz spał w łóżku, rozebrany.

— No, drogi rozbitku, kazałeś się obudzić...

— A... prawda. Ósma? — — Mam wrażenie, że spałem ze dwanaście godzin.

— Odpocząłeś? czujesz się dobrze?

— Wyśmienicie. Zacznę kurację kąpieli w jeziorze. Wyskoczył raźnie z łóżka i pobiegł do lustra:

— Nawet możliwie wyglądam. — Oj ty, stary augurze, kochany!

Bez powodu uściśnął serdecznie Sasa, który ruszał wąsami i mrugał, radośnie też podniecony.

— Cóż Renia? he? — odezwał się z jowialnym sarkazmem.

— Ach, mój drogi! — —

Tyle tylko na razie zdołał odpowiedzieć Edward; dopiero potem, zapinając buty, wytłumaczył się obszerniej.

— Jest cudowna! Kiedy nas ta piekielna ulewa skałała, — rozumiesz? — zobaczyłem ją prawie całą przez suknie zmokłe do nitki! i włosy jej się rozplotły, mokre, rusałcze włosy — potąd!

Sas polykał ślinę, jakby zazdrośnie:

— No, to ci się awantura opłaciła? Nie bez tego, żebyś choć kończyka tych włosów nie pocałował, albo skórki gdzie nie osuszył ustami?

— A nie, nie! nawet nie pozwoliłem sobie na aluzję. Nie! Renia nakazuje szacunek — — takie śliczne, czyste dziecko, które los mi oddał na chwilę w opiekę, bezbronne...

— Hi-hi-hi — śmiał się Sas satyrycznie — to zdaje się ja tak mówiłem w Turowiczach, nie pan dobrodziej?

— Słusznie. Ty masz ciągle słuszość. To jest nawet serya nadzwyczajna; jak zaczniesz się mylić, będzie serya pomyłek. Ale wracając do Reni, szczęśliwy będzie, kto ją dostanie.

— Spróbuj być tym szczęśliwym; nie widzę nic na zawadzie.

— A właśnie! nic! — zaśmiał się gorzko Edward.

Nie dał mu Sas zanurzyć się w zwątpienie:

— No, ubieraj się, kiedy łaska. Już tam wszyscy jak głodne wilki krążą po pokojach, czekając na wieczerzę.

— Co włożyć: frak, czy surdut? mam jedno i drugie w walizie.

— Jeżeli chcesz się odróżnić od braci szlachty, kładnij frak; będziesz unikatem.

— Więc ubiorę się w surdut, naturalnie.

Edward i Renia ukazali się ostatni w salonie pośród zebranych gości, oboje naraz jednogłośnie powitani przez kilka głosów:

— Rozbitki!

Kotowiczowi podobał się ten epitet, który słyszał już co najmniej dziesięć razy od czasu przygody; tytuł oznaczał pewne współnictwo z Renią, upoważniał do asystowania jej, ale zarazem zwracał ogólną uwagę na oboje, gdy byli razem. Poprosił Sasa, aby go posadził przy wieczerzy nieopodal, ale nie obok Reni: jej zaś zdołał szepnąć:

— Uciekam od pani przy stole, aby łatwiej się przysiąść do niej po wieczerzy. Czy wolno?

— Proszę — odrzekła bez namysłu.

Wieczera była gwarna; wznoszono toasty na cześć solenizantki, pani Anny Dowbuttovej, i inne. Pito i zdrowie Kotowicza. Ktoś nawet zaplątał do przemowy raz jeszcze „rozbitków“, ale na szczęście zwrócił toast ostateczny tylko do rodziny Oleszów. I Edward, bardzo dobrze usposobiony, przemówił na cześć gospodarza w tonie do ogólnego nastroju dopasowanym, jakby już dawnym był członkiem tej serdecznej kooperatywy, którą na Litwie i Rusi tworzy instytucja „sąsiedztwa“. Podobał się z obejścia nowym znajomym, chciał zaś głównie podobać się Reni i to mu się udawało wybornie. Nie pominęła ani jednego jego słowa, nie opuściła żadnej okazji spojrzenia; zauważyła nawet, że pan Edward miał lepszy surdut, niż reszta biesiadników. I w tem się nie pomyliła, gdyż surdut miał od Franka z Wiednia.

Kotowicz spoglądał też z zupełnem zadowoleniem na swą towarzyszkę przygody; czuł, że sojusz z nią został zawarty, choć bez słów obowiązujących, widział, jak Renia, z którą nie rozmawiał bezpośrednio, zmierza do niego nieustannie myślą i oczyma zahypnotyzowanymi, oddającymi się bez grzechu i bez wstydu. I powstało w nim uczucie nowe, którego nie mógł nazwać inaczej, jak spotęgowaną miłością bliźniego, z mocną wszelako barwą pociągu do bliźniej. To wyłowione dzisiaj z

jeziora dziecko chciałby otoczyć opieką admiracyjną i pobłażliwą; chciałby sam być blisko Reni, uzdrawiać się promienną pogodą jej oczu, mówić z nią o wszystkim, co go zajmuje i boli — o ileby to zniosła jej czysta dusza... Nie miał jeszcze czasu zastanowić się, dokąd go zaprowadzą te serdeczne porywy, miał przecie jedno wyraźne postanowienie: poznać jak najdokładniej tę śliczną i dobrą pannę.

Tymczasem notował, że wszystkie jej pozory odpowiednie są do marzeń o szczęściu; była widocznie zdrowa i wesoła, jak majowy poranek; niewątpliwie dobra — widać to było z jej sposobu przemawiania do ludzi, których zdawała się zapytywać, czy jest im miłą, nie zaś: czy kłękają przed jej pięknnością, rozumem, lub jaką inną przewagą? — niewątpliwie lotna, bo jeżeli nie mówiła rzeczy nadzwyczajnych, rozumiała zamiary cudzych przemówień. A piękna! — o tem wiedział Edward przypadkiem więcej, niż inni współbiesiadnicy. Ubrała się wprawdzie teraz trochę gorzej, niż przedtem. Jak można, mając taki gors i ramiona, ubrać je w tak pospolity stanik. Ale zaraz zdjęło Edwarda rozrzewnienie, że z powodu wypadku na jeziorze mogło się tam coś popsuć w gorseciku?... Poco uważać na takie szczegóły na wsi, gdzie nikt nie jest ubrany, jakby wypadło przy wieczornej uczcie w Paryżu? — — Sznur białych koralików na staniku Reni więcej wart, niż dyamenty na modnej a zdradliwej piersi kobiecej. — — Wszystko, co widział i słyszał, tłómaczył sobie Kotowicz na korzyść Reni. Inna, inna kobieta niż... niż wszystkie.

Inaczej też z nią postanowił rozmawiać. Nagradzając sobie oddalenie przy wieczerzy, przystąpił stanowczo do Reni, skoro tylko powstano od stołu, i razem z nią przeszedł do oszklonej oranżeryi, gdzie towarzystwo przesypało się teraz i rozsiało, bo choć deszcz ustał, po-

goda była pochmurna i groziła powrotem burzy. Przez szklaną ścianę galerii można było podziwiać sztuczne ognie, które młodszy Dowbutt przywiózł i produkował teraz nad jeziorem. Race, nabyte w Orszy, nie wszystkie były udatne; syczały, wypluwając ogniste kule nisko przy ziemi; jednak co trzecia mniej więcej strzelała normalnie w górę i pękała snopem gwiazdek, które, jak barwne mszyce, unosiły się nad rozlewem Kniazia, skrzywionym na chwilę w pogardliwy uśmiech. Książę odbijał niedawno błyskawice i chłonał w siebie pioruny; fajerwerkowa igraszka zaledwie go teraz budziła ze snu w ogromnej ciemności.

Zawsze jednak wyczekiwano z zaciekawieniem, jak się uda nowa raca, czy dobrze się rozwinie „słońce“ i jak daleko ognie bengalskie sięgną swą tęczą. To ogólne zajęcie odwracało uwagę od Edwarda i Reni, którzy usiedli w kącie galerii mniej oświetlonym. W powszechnem mniemaniu wolno też było rozbitkom rozpamiętywać swą przygodę.

— Tak... znam panią lepiej, niż się pani zdaje. Słyszałem o niej dużo rozrzewnionych pochwał, i wierzę im, rozumiem je najzupełniej dzisiaj.

— Chyba od łaskawych sąsiadów coś pan o mnie słyszał? Bo od kogożby zresztą? — Aha! od pana Justyna? — To mój wielki przyjaciel!

— I mój także. Kocha się w pani. — —

Renia zbyła ten nawias zażenowanym nieco uśmiechem; zaczęła o dolegliwościach Sasa:

— Żeby mógł się wykurować! Ale próbował już kuracyi elektrycznej i ciągle dla zdrowia jeździ zagranicę... To mnie tylko pociesza, że nie widać pogorszenia. I zawsze wesół; od czasu, jak go pamiętam, zawsze ten sam.

— A ja go pamiętam, zdaje mi się, zdrowego. Tylko to było... przed pani urodzeniem, za moich lat gimnazjalnych. — Dosyć o Sasie, bo go nie wyleczymy, a skończą się fajerwerki...

— Prawda! więc mówmy o sobie.

— Chyba o pani. — O mnie? — — to długa historia, niezabawna.

— Ja jednak wiem trochę o panu — zaczęła Renia z odcieniem bojaźliwej zalotności.

— Chyba także od Sasa?

— Nie; przypadkiem.

— Niechże mi pani opowie ten przypadek, proszę. Proponuję, abyśmy mówili, jak dawni znajomi. — — Chyba że mnie pani ma jeszcze za blagiera, jak to już dzisiaj usłyszałem?

— Nie, nie, już nie! Ja nie cierpię blagierów, a pana przecie... no, więc powiem — przelknęła jednak z trudnością — pan jest podobno zaręczony?

— Zaręczony?! — zadziwił się szczerze Kotowicz.

Ale w lot zmiarkowawszy, o czem mowa, i że przedmiot jest nieuchronny, chciał zyskać przewagę w konwersacyi:

— Może pani doszła do tego wniosku... zajrzawszy do Turowicz?

Renia zrozumiała też natychmiast intencję Edwarda i odważnie, uczciwie spojrzała mu w oczy:

— Tak, panie — zabrałam jedną z trzech fotografii z biurka pana.

— Jak mi to przyjemnie, że właśnie pani, nie kto inny! — zawołał Kotowicz serdecznie, wcale nie żartem.

— Doprawdy?! — — Mogę ją panu oddać, bo ją mam i tutaj z sobą; nikt o tem nie wie, nawet moja siostra...

— Wszystko jedno — potem. Ale czy wolno zapy-

tać, co panią skłoniło do tej ciekawości, której nie myślę przecie brać pani za złe, owszem...

— To trudno powiedzieć odrazu — odrzekła Renia, spuszczać oczy — chciałam się dobrze przyjrzeć tej pani. — —

Widząc srogie zakłopotanie Reni, Edward łagodnie zboczył z drogi zbyt prosto prowadzącej do obustronnych wyznań:

— Dowód to łaskawego zajęcia się moim losem. Tylko szczerą podziękę mam dla pani.

— Więc, jeżeli pan się nie gniewa i mamy rozmawiać z sobą, jak dobrzy znajomi, to mi pan powie, czy dobrze zgadłam? — to narzeczona? —

Teraz Edward zakłopotał się, chociaż bynajmniej nie chciał przerwać rozpoczętej rozmowy.

— Aby mówić o takich rzeczach, o których nikt prawie tu nie wie — oprócz nas dwojga — musimy zawrzeć między sobą jakieś specjalne przymierze, panno Reniu. — —

— Ja mam dla pana prawdziwą przyjaźń... intuicyjną. Pan nie może być złym człowiekiem? prawda?

— Nie jestem — — ale trochę grzesznym i... no, to na później — pani zaś jestem przyjacielem... wielbicielem, nie tylko intuicyjnym — z przekonania. Więc proszę mi dać rączkę na wyjątkowy, serdeczny sojusz. — —

Nikt nie patrzył w ten ką. Edward ujął i ucałował rączkę drobną i nieco twardą, już znajomą z jeziora, słodką. Ciepło im się uczyniło obojgu.

— Zatem tak: między tą panią, a mną, istnieją dosyć już dawne... projekty, które jednak przez rozmaite okoliczności stały się rodzajem nieszczęścia. Niech droga pani nie nalega, abym jej opowiedział wszystko! Trzeba tylko wiedzieć, że ona jest mężatką, że nie dobrała się

z mężem... no i jakoś to się stało, że zaprzyjaźniliśmy się z sobą...

— Tak, jak ze mną? — zapytała Renia z nieopisanym wyrazem ciekawości i obawy rozczarowania.

— O nie! zupełnie inaczej. I nigdy — mówię szczerą prawdę — nie mogliśmy porozumieć się serdecznie, tak naprzykład, jak dzisiaj... Tamta... jest nieobliczalna; sama nie wie, czego chce...

— Czyż są naprawdę ludzie na świecie, którzy nie wiedzą, czego chcą?

— Mówi się tak; ale to znaczy, że są istoty chwiejne, kapryśne, samolubne...

— I... kochane? — zapytała bardzo cicho Renia.

— Nie powinnyby być — — to jest właśnie mój błąd i nieszczęście.

Zaległo między rozmawiającymi krótkie milczenie, pełne trzepotu myśli uwięzionych, gorących, sprzecznych.

— Ja to samo wyczytałam z oczu tej fotografii — odezwała się Renia.

— Nie podoba się pani?

Renia naszkicowała na migi jakieś określenie palcami, które miało ją wybawić od dobitnego określenia słowem.

— Niech pani powie, że się nie podoba! Ona jest zupełnym przeciwieństwem do pani, jak burza do pogody.

— O! niech pan źle nie mówi o burzy. My mamy już jedną we wspólnych wspomnieniach — dzisiejszą.

— Prawda! błogosławiona burza! — — Ale niech pani nie wyzwała się od szczerości, której żąda odemnie. Proszę mi powiedzieć, jak się podobała fotografia?

— Nienawidzę jej!

Błysnęła tak oczyma, jakby dowieść chciała, że i ona może być podobna do burzy, tylko wcale odmiennej, dobroczynnej, kochanej, jak ta, o której dopiero co wspo-

mnieli. Olśniony Edward wyciągnął znowu do niej rękę. Ale ożywienie rozmowy odwróciło już uwagę paru osób od fajerwerków na „rozbitków“. Musieli z konieczności uśmierzyć się, powrócić do układu salonowego. Posiedzieli więc trochę spokojnie, patrząc przez oszkloną ścianę na płamki sztucznych ogni przepadające w ogromie nocy. A w myślach powikłanych Edwarda, w rozbudzonych zaledwie myślach Reni wschodziła światłość mocna i radosna, którą nazywali tymczasem przyjaźnią.

— Dokończymy naszej rozmowy w Kureniczach, jutro — odezwała się po chwili Renia.

— A tak, u państwa. Właśnie się wybierałem prosto z Osowy i chciałem zapytać, czy nie przeszkodzę?

— Czy pan nie przeszkodzi?! — spojrzała z wyrzutem na Edwarda. — Jada do nas jutro i państwo Dowbuttowie. A od pana należy się nawet rewizyta mojej siostrze i mnie za nasze odwiedziny konno.

— Bezwarunkowo — nawet najbardziej pani.

— Chyba dlatego, że mój był pomysł.

— Tej wycieczki do Turowicz?

— Tak.

Wszystko, co słyszał Edward tego dnia i wieczora, nappełniało go dumą i dawno nie zaznanem przywiązaniem do życia.

XV.

Antoni Olesza siedział samotnie na pierwszym piętrze swego familijnego gołębnika pod cieniem drewnianej galeryi. Zapyłone długie buty i pomięte ubranie nosiły ślady świeżej wędrówki po polach, gdzie przed południem dozorował zwózki zboża. Rok był w gospodarstwie obfity, ale burzliwy; trzeba było chwycić zboże do stodół w przerwach pogodnych, wykręcać się przemyślnie z robotami letnimi. Teraz, po obiedzie, córki i pani Dowbuttowa z synami poszły do lasu na grzyby, a pan Antoni dawał krótki odpoczynek sobie i koniowi, który stał w pogotowiu do wieczornego objazdu. „Skarbiec“, czyli dom zamieszkały przez rodzinę, był środkową strażnicą okólnika, łatwą do obejścia dookoła przez otokowe galerye na parterze i na piętrze. Nad dachem górowała jeszcze latarnia, służąca do szerszego obejmowania wzrokiem okolicy. Olesza wybierał zwykle na odpoczynek w lecie galeryę piętrową, przewiewną i zbliżoną do koron drzew ogrodowych, gdzie miał niepospolite towarzystwo ptasie. Do paru grubszych pni przybite były małe pudełka z otworem i podestem, przeznaczone na mieszkanie muchołówek. Pierwotnie te pudełka pomalowano na czerwono, ale szare ptaszki nie śmiały zamieszkać w purpurowych domkach; więc zrobiono domki naturalnej barwy drzewa, w których obecnie muchołówki wdzięcznie się zagnieździły. Na suchym konarze jesionu, tuż przy domu, bocian zadzierał co chwila dziób do góry, kładł długą szyję wzdłuż grzbietu aż do ogona, a po-

tem oddzierając ją powoli, klekotał spazmatycznie. Odpowiadały mu z innych gniazd bociany-sąsiady. W sercu zielonej gęstwiny klaskały drozdy, śmiały się żolny, ze szczytów gruchały turkawki. Swojskie gołębie ubierały dach i bliższe domu sfery powietrza różnemi barwami skrzydeł i podgardli, czasem przewracały w locie koziółki i znów, siadając, trzaskały skrzydłami jak z biczów. Jaskółki, mając niebronny wstęp pod okapy domu, osnuły go zewsząd lepiankami, do których co chwila dopadała czarna sztafeta matczyzna. Nad tem zaś całym towarzystwem zadomowionem, w wysokim błękitcie pławił się czasem jastrzęb samotnik, baczny na żer, ale i na strzelbę Oleszy, znaną już pokoleniom drapieżników ze swej zabójczej działalności. Pan Antoni przebaczył jednemu tylko krukowi, pojmanemu żywcem w młodym wieku; kruk zamieszkał w Kureniczach i skakał komicznie, niby dworski błazen około domu, nie bez grzechu kradzieży tu i ówdzie jakiej błyskotki, ale w zgodzie z innym ptactwem, nawet z wyżłami, ogarami i brytanami teroryzującymi podwórze.

Zapatrzony w przyrodę wiejską, Olesza badał ją, hodował i kochał, nie wybiegając daleko pragnieniami poza granice własnej posiadłości. Tę samą metodę stosował do istot ukochanych ponad ptaki, rolę i polowanie — do własnych córek. Pragnął ich szczęścia według swojego ideału ziemiańskiego, chciał, aby zdrowo i długo trwały w Kureniczach, które już w projekcie rozdzielił między obie; najchętniej znalazłby też dwóch zięciów, nie latawców, ludzi zgodne mających z ziemianstwem powołania, którzyby osiedli tutaj na roli. Ziemi było dosyć na dwie rodziny. Ale w ostatnich czasach składało się nie po myśli panu Antoniemu; Marcelka zadurzyła się w oficerze — o czem Olesza nie wiedział bliższych szczegółów, bo nie chciał nawet słyszeć o takim proje-

kcie małżeńskim — a Renia czy tylko nie zakochała się w Kotowiczu? — Ojciec obserwował ją przez parę dni w Osowie i w Kureniczach, do których Kotowicz przyjechał z całą kompanią, ale skrócił swe odwiedziny z powodu tajemniczej depechy, otrzymanej tutaj dzisiaj rano. Kotowicz byłby człowiekiem swoim, nawet pożądanym na zięcia, gdyby wieści o nim nie budziły poważnych obaw: przywykł do zagranicy, do zbytków, do rozpusty — i sam mówił, że chce się pozbyć Turowicz. — — —

Gdy tak rozmyślał, spostrzegł Renię, wychodzącą ze starego domu, w którym mieściła się piekarnia; niosła oburącz wielką stolnicę z ustawionemi na niej bułeczkami. Olesza zadziwił się i zawołał:

— Cóż to, Reniu? nie poszłaś na grzyby? — —

Ona zaś zbliżała się do skarbca powoli, wyciągniętemi ramionami odsuwając od piersi stolnicę, aby nie poplamieć jasnej sukienki. Gdy podeszła pod galeryę, wytłómaczyła się:

— A ktożby za mnie dojrzał pieczywa, wieczerzy i wszystkiego? Musiałam zostać, papusiu.

— Oddaj tam komuś bułki i chodź tutaj do mnie.

— Zaraz, tylko sama ułożę w koszyku, bo mi je znowu poprzewracają mąką do góry. Widzi papa, jak się udały? Jedne z migdałkami, drugie z kminem.

Podniosła wysoko stolnicę, aby ojciec mógł podziwiać rumiane szeregi. Olesza uśmiechnął się do oczu córki:

— Ale przyjdź zaraz, bo muszę jeszcze wyjechać w pole.

Gdy Renia wbiegła pędem po schodach na piętro i usiadła, pan Antoni zaczął poważnie:

— Cóż się z tobą dzieje, Reniuś? widzę po oczach, po różnych szczegółach — spodziewam się, że mi powiesz... jak zawsze między nami bywało?

Renia nie szukała wykrętów, tylko odłożyła na później trudniejszy do omawiania przedmiot; wysunęła naprzód spostrzeżenie o siostrze:

— Można się domyślać... pan Bronisław asystuje Marcelce. —

Olesza nie dostrzegł tego; zapytał z ożywieniem:

— Doprawdy?! — a ona?

— Ona... wie papa, jaka ona jest; nawet gdy kogo lubi, toby z niego ciągle drwiła.

— Ale jednak? chętnie z nim rozmawia?

— O tak! nawet mi powiedziała, że pan Bronisław jest najładniejszy ze wszystkich, którzy byli w Osowie.

Olesza pomyślał trochę, mrugając oczyma z zadowolenia.

— A tobie, Reniu, jak się podoba pan Bronisław? Wierzę w twój instynkt, mam go za pewniejszy, niż Marcelki.

— Mnie się podoba... na szwagra. Mówią, że dobry agronom — i wesoły — musi nie mieć nic ciężkiego na pamięci.

— A czy myślisz, że Marcelce wywietrzył już z głowy ten tam — z Moskwy? Bo musisz przecie wiedzieć?

— Ach, nasłuchałam się, papusiu! Teraz jakoś mniej. Byłoby szczęście, żeby Marcelka o nim zapomniała.

— Ojciec Dowbutt porządny człowiek, matka bardzo miła — sukcesorowie przyjaciela Sasa — ważył Olesza wszystkie zalety projektu.

Ale przypomniał sobie, że chce wybadać Renię o jej własny stan duszy:

— A jakże młodszy Dowbutt? Janek?

— Ten nas przecie wcale nie obchodzi — odrzekła śpiesznie Renia.

— Ha, o tem się dopiero w tej chwili dowiaduję — odrzekł Olesza. — Ale może kto inny nas obchodzi?

Renia zapłonila się i umilkła.

— Pan Kotowicz?

— Ach, papo! to długa historia...

— Długa? odkąd-że?

— Jak tylko przyjechał do nas na wiosnę, pomyślałam, że to człowiek biedny, aż chory ze znękania... I zgadłam.

— Jakżeż to? cóż mu takiego brakuje? Był wymizowany przez życie miastowe, teraz nawet poprawił się. A co do interesów, które podobno nie ze wszystkim w porządku, toż fundusz ma ogromny — trzeba tylko przysiedzieć fałdów.

— On pracuje, papusiu, bardzo pracuje. I pan Justyn z Osowy mu pomaga.

— Słyszałem. To i pięknie, byle wytrwał. — Więc cóż go tak nęka?

— Ja wszystkobył papie powiedziała, tylko nie wszystko jest moją tajemnicą.

Pan Antoni potwierdził już swe podejrzenie; z oczu, z głosu, ze słów córki, której się ciągle przyglądał od kołyski, dowiedział się teraz aż nadto. Że zaś był wyznawcą bezwzględnej uczciwości, rzekł:

— Nie nalegam, Reniuś. Jeżeli pan Edward powierzył ci jakieś swoje tajemnice pod zastrzeżeniem, nie mów, nawet mnie... Ale skoro tak już z sobą rozmawiacie, toście doszli do niepospolitej komitywy... do jakichś między sobą zobowiązań? Bo jakżeżby? —

— Tak, papusiu, jesteśmy bardzo wielkimi przyjaciółmi. Nawet... przyrzekliśmy to sobie.

— Hm... Widzisz, Reniuś, jesteś bardzo młoda, ale dorosła; on także nie stary. Dwoje ludzi wolnych, kiedy się już tak z sobą zmówią, to idą ku małżeństwu. Więc to mi powiesz chyba Reniu: kochasz go?

— Nie — odrzekła boleśnie — nie mogę go kochać, ani on mnie!

— Co to znaczy? nie rozumiem.

— Bo... ale papa tego nikomu nie powie? — bo pan Edward jest zaręczony!

Łzy zaszklily się w jej oczach. Olesza zaś musnął się niecierpliwie po krótko strzyżonej czuprynie.

— Masz tobie! tego nie wiedziałem — bądź pewna, że nie rozpowiem. Ale tem bardziej nie wypada być z nim w takim porozumieniu, które ludzie sobie wytłómaczą, jako *wasze* zaręczyny.

— Dłaczego, papusiu? dlaczego? Czy tylko dla oczu ludzkich wszystko się robi i czuje? My przecie nic a nic złego nie robimy.

Spojrzał ojciec z rozrzewnieniem w oczy córki, których toń ciemna i przejrzysta, jak noc księżycowa, nie miała w sobie zdrady. I nie znajdując odpowiedzi, zażartował:

— Pięknie mi nic złego! Ledwie cię nie utopił w Kniaziu.

— Ach, jak papa może tak mówić?! To ja chciałam płynąć daleko do wyspy, a on mnie dowiózł do niej z całych sił — ledwie nie zemdlą! Wyratował mnie, nie zaś chciał utopić!

— No dobrze. Ale zawsze nieroztropny człowiek; inni przecie zobaczyli, że burza nadchodzi, i uciekli na brzeg. Zresztą wypadek szczęśliwie zakończony — Tylko nie dobrze rozumiem, o czym z sobą rozmawiacie?

— O wszystkim. On mi mówi o sobie, a ja słucham; potem ja mówię o sobie, ale mało mam do opowiedzenia: mówiłam i o papie, jaki dla nas dobry... Najwięcej rozmawiamy o jego nieszczęściu.

— O jakim-że? — bo tegom się dotychczas nie dowiedział.

— O jego narzeczonej, która nawet ma przyjechać do Turowicz, i to z mężem, bo jest mężatką — tylko obiecali sobie, że ona się rozwiedzie —

— Ależ to są niestworzone historie! — zawołał Olesza — dziwię się bardzo panu Kotowiczowi, że ci takie androny opowiada.

— On mówi prawdę, papo, to pewne. Jest jakoś zależny od tej złej kobiety, albo od danego słowa. Tego ja niezupełnie sama rozumiem, ale tak jest.

— Jak to: złej kobiety i mężatki? No, dowiem ja się o tem.

— Ja wszystko prawie wyśpiewałam papie... z przyzwyczajenia, a teraz będzie się dowiadywał?...

— Bądź spokojna, nie zdradzę twego zaufania, Ale przecie i kto inny wiedzieć będzie o tych dziwnych zamiatwaniach. Ciebie nie narażę, bądź pewna.

— I jego nie trzeba... to się może rozerwie — jeżeli Bóg pozwoli.

— Jakież tedy on niedołęga, że sam się nie wyzwoli, jeżeli te tam... zaręczyny uważa za nieszczęście?

Renia zamilkła na ten silny argument. Słuchając dotąd z upojeniem wszystkiego, co jej mówił Edward, nie pomyślała o uczynieniu mu tego zarzutu. Serce jej mówiło, że jest i tu wytłómaczenie na korzyść Edwarda, ale zdjęła ją wielka żałość, że nie może na razie obronić ukochanego. Zasepiła się, jak ptak na mrozie, przymknęła oczy do placzu gotowe.

Ojciec złagodzył ton przemowy:

— Co pan Kotowicz o sobie zamysła, to do nas nie należy. Ale przyznasz mi, moje dziecko, że *wasze* rozmowy o jego dziwacznych zaręczynach są niestosowne, a nawet dla ciebie szkodliwe. Zaprzątasz sobie głowę i serce losami człowieka, który ci zgóry powiada, że o tobie nie myśli.

— Owszem, papo; myśli o mnie; nawet mi powiedział, że kiedy o mnie myśli, to mu świat rozwidnia i powraca zdrowie — tak powiedział.

— Ależ nie jesteś pielęgniarką dla obcych ludzi, moje dziecko!

— On nie obcy dla mnie!

I zapłakała na dobre.

Olesza powstał, przygarnął do siebie główkę córki i pocałował ją w czoło.

— Nie mówię nic złego o panu Edwardzie, jest mi raczej sympatyczny. Tylko myślę przede wszystkim o twoim spokoju — bo szczęście jest w spokoju, Reniuś.

Poszedł do stajni, kazał sobie podać konia, dosiadł go i wyjechał w pole.

A Renia powróciła do gospodarstwa domowego ze zmartwieniem najcięższym, jakiego doznała w życiu, tem dotkliwszem, że następowało po dniach najpiękniejszych. Znośna była jeszcze niechęć ojca do jej przyjaźni z Edwardem — ojciec, gdy zrozumie, pochwali; jest niezawodnie pewny w przywiązaniu do córek, może tylko zbyt zimno rozważający sprawy serc młodych. Ale w tem, co mówił o postępowaniu pana Edwarda, potrafił jedną strunę, która już uprzednio zaczęła drgać boleśnie w sercu Reni. Owa narzeczona była z pewnością osobą niedobłą, przyczyną nieszczęścia Edwarda. Choć sam omijał jej sprawiedliwą ocenę, nie bronił jej nawet przed krytyką, ani przed antypatyą Reni. A jednak tamta, — nieszczęście — panowała nad jego życiem i projektami, ona zaś, Renia, była tylko lekarstwem przeciwko chorobie, przyjaciółką przybraną, do walki z losem. A los jego — to „tamta!“ — — Tak postawili kwestyę w swych długich, trzydniowych rozmowach — i kwestya wydawała się postawioną dobrze, serdecznie, rozkosznie... aż do wyjazdu Kotowicza dzisiaj rano z powodu depeszy — nie — aż do chwili, w której

Kotowicz nie pokazał depeszy „przyjaciółce“ — jeszcze nawet nie — aż do rozmowy z ojcem. Ojciec, gdyby nie zbyt zimno oceniał pana Edwarda, gdyby go nie nazwał „niedołęgą“ — miałby może zasadniczo słuszność? — — Ojciec jest rozumny — — przytem kocha ją, Renię, bez możliwości podejrzenia go o widoki osobiste. Rozum ojca gasił różową aureolę otaczającą jej porozumienie z Edwardem.

Czy rozum zawsze jest zimny i ciężki, a uczucie zapędliwe i nierozważne? Co z dwojga powinno kierować postępkami? Rozum zbliża się zawsze do troski o siebie samego, do egoizmu; uczucie zaś — do poświęcenia. Ale czasem to, co się nazywa poświęceniem, jest właśnie najprzyjemniejsze, jest samą treścią osobistego szczęścia — więc znowu egoizmem??

Oblegały biedną Renię trudne zagadnienia, czuła ich ścisk naokoło siebie i pilność ich rozwiązania, dojrzewała szybko przy ich upale, jak letni owoc na spiekocie. Gdy nawet dochodziła do jakiegoś wniosku w teorii, zastosowanie w praktyce przechodziło jej siły, zwłaszcza, że pochłonyła ją zaraz jej obowiązki gospodyni, pełnione z zapalem i bez przerwy. Nie wolno marzyć, gdy się ma dojrzeć wieczery, i to dla gości. Ten wniosek przychodził jej bez teoretycznego wysiłku, mechanicznie, i pociągał za sobą bezpośrednio praktykę. Pomimo dramatu w sercu, powróciła do kuchni, gdzie osobiście gotowała słodką potrawę.

— On jej już jeść nie będzie — pomyślała nagle i gorzką łzę uroniła w tarte migdały.

On wyjechał stąd wcześniej, niż zapowiedział, powołany przez depeszę, która gonila go aż przez Osowę, nadesłana z Turowicz. Nie pokazał depeszy, nie wytłumaczył, skrzywił się tylko gorzko i powiedział:

— Zawsze te same komplikacje...

Więc pewnie depesza była od tej istoty, od nieszczęścia. Odjechał i zbliżył się znowu do nieszczęścia. Jakby przeczuła ta wroga pani, że mu zbyt pogodnie było na świecie przez parę dni!

Bo zapominał już tutaj o swem utrapieniu, był wesół, podobał się wszystkim, cóż dopiero Reni! Interesował się całym jej życiem i zajęciami, chciał poznać dróżki, po których ona codzien depce — i jeszcze dzisiaj rano poszedł z nią do kurnika i po wszystkich prawie zakamarkach gospodarskich. Nie pokazała mu tylko Renia ęchlełów, sądząc, że tego wrażenia nie zniesie wyrafinowana kultura Edwarda. Bo dla jego kultury miała wielkie, dumne uszanowanie. Właśnie, że on, ten pan wytwortny, który tyle widział, czytał, wiedział, zajmuje się serdecznie poziomemi drózkami jej życia — to jej pochlebiało niewymownie. Zadziwiła się radośnie, gdy jej powiedział, że kocha — powiedział: kocha — jej ręce nieco czerwone od roboty i wody. Co do rąk swych miała uprzednio wątpliwości, ale skoro on je lubi?

Trzy dni w Osowie i w Kureniczach minęły jak chwila. Gdyby jeszcze pozostała pewna nadzieja rychłego zobaczenia: Powiedział, że powróci wkrótce, pod bylejakim pozorem. — Dlaczego pod pozorem, nie poprostu? — Ach, prawda! trzeba zachowywać pozory, bo to tylko przyjaźń — zaczynała przykrzeć się Reni ta denominacja. — Proponował umówić się o sposób wymiany listów, ale Renia nie zgodziła się; jeżeli przyjdzie list do niej z Turowicz, poprosi ojca, żeby go nie otwierał. Wtedy Edward zaprzestał mówić o korespondencji. Jedynym pewniejszym projektem na przyszłość była umówiona wspólna wyprawa na rykowisko łosi. Ale to dopiero za miesiąc, w końcu sierpnia starego stylu.

O zachodzie słońca Marcelka i Dowbuttowie powrócili z lasu z dużym zbiorem rydzów; najwięcej zebrał młodszy Janek, najmniej starszy Bronisław, a i Marcelka miała ledwie coś na dnie koszyka. Wyprowadziła stąd Renia wnioski pomyślne. Zresztą wieczór tak pięknie otulał dom zielonym cieniem i nakrywał ciepłą, a tęskną poświatą nieba, że wstępowała we wszystkie serca nadzieja dobrych zbiorów, dobrych dni i lat przyszłych.

Z najwyższej latarni skarbcza Olesza obserwował niknące słońce. Zachodziło na pogodę.

XVI.

Depesza była od Teo, zagadkowa i niepokojąca. „Nie spodziewałam się od pana takiego lekceważenia i zdrady naszej przyjaźni. List objaśni“.

Kotowicz łamał sobie głowę, co to znaczy? Czy Teo dowiedziała się o istnieniu w sąsiedztwie panny Reginy Oleszanki? czy jaką plotkę usłyszała o nim, który nie poczuwał się do żadnej manifestacji przeciw niej?? — Zdradzał ją może w myśli, jeżeli zdradą można nazwać leczenie ran — ale o tem Teo nie mogła mieć żadnym sposobem wiadomości.

To jedno wiedział Edward, że ta kobieta, która mu życie zawieruszyła do ostateczności, nie przestaje, nawet z oddalenia trapić go swym zatrutym, lubieżnym, nie ustępliwym z mózgu zapachem. Zerwałby z nią wszelkie stosunki — ale jakżeż? — przecie ją sam zaprosił i tu na nią czeka. Gdyby ten projekt dał się nawet odwołać za pomocą wybiegu, pogorszyłyby się inne dolegliwości, trapiące Edwarda, jak reumatyzm, który się przypomina bólem podczas niepogody. Zastał w domu nadesłaną z poczty gazetę francuską z wyliczeniem gości kąpielowych w Trouville i z opisem tamtejszych zabaw. Teo otoczona tam była zwykłą czeredą bogatych próżniaków i trutni, żyjących cudzym miodem. Między nimi miał Kotowicz, niestety, licznych znajomych. Nie brakowało tam naturalnie Kamila Werdy, ani markiza Alfonsa de Sanchez Toledo. Ten hiszpan był od zimy ciągle przy Teo; jego

z nią poufałość i żarty burzyły niedawno krew w Kotowiczu. I obecnie, choć bardzo odmieniony w swych pragnieniach i w sposobie życia, poczuł rozdarcie dawnej rany, gdy wyczytał nazwisko hiszpana między osobami, zamieszkującymi ten sam hotel, co Teo i Kamil. Sanchez tkwił też w pamięci Kotowicza z innego powodu. Po szalonym bakaracie w Nizy markiz zgodził się poczekać na wypłatę stu tysięcy franków, które mu przypadły od Kotowicza. Wygrał podczas ubiegłego sezonu podobno pół miliona, łatwo mógł poczekać na piątą część wygranej, jednak uprzejmość względem Kotowicza była wyraźna. Edward, przyjmując ją z musu, zgrzytał zębami, ile razy przypominał sobie ten dług, najnieznośniejszy ze wszystkich... A ponieważ nie sprzedał dotąd lasu, nie mógł się uiszczyć.

Przeczuwał, że gdyby obecnie poróżnił się z Teo, onaby mogła skorzystać z jego trudnej i delikatnej sytuacji, aby się zemścić. Nie wiedział, jakby to uczyniła, nie znał nawet podobnych przykładów w jej historii, ale czuł, że byłaby do tego zdolna. Zaczynał instynktowo nienawidzić tę kobietę, której pomimo to nie przestał pożądać, jako najwyszukańszego zmysłowego upojenia.

Ale przeklinał jej duszę, jej drapieżny egoizm, jej wielmożną fantazyę, nie liczącą się z niczem i z nikim. Przeklinał ją teraz specjalnie za to, że mu zamąciła przez swój rebus telegraficzny seryę dni pełnych siły i nadziei.

Były to dni niezwykle, choć złożone z tak prostych zajęć i rozmów.

Aby o nich pomarzyć, wyszedł z domu, pełnego dzisiaj złych majaczeń, gdziekolwiek w pole. Skierowałby się może do lasu na Ciecieniuki i Dzierczę, którą przebył wczoraj w odwrotnym kierunku, wracając od Oleszów, ale przykroby mu było iść tam ze świadomością

mością, że nie dojdzie do kochanych Kurenicz. Obrął więc drogę przeciwną.

Minął wioskę Turowicze, opodal dworu położoną, niewielką i smutną. Kilkanaście domów krytych dranicami, barwy ziemistej, ustawiło się wzdłuż drogi, bez drzew, bez wszelkiej troski o rozweselenie siedzib. Wioski są biedne w tym kraju i rzadkie; włościanie mało orzą i sieją, ufają ziemi dzikiej, że ich wyżywi. Więcej jest tu smolarzy, myśliwych i rybaków, niż rolników, a i ci nawet zapatrzeni są głównie na las i wodę. Nie lubią też siedzieć w domu, ani w gromadzie, włóczą się po drogach i ścieżkach, albo *na cianki*¹⁾ przez kraj, szukając przygód.

Wyszedł wkrótce na wielki trakt, który po raz pierwszy przebywał pieszo. Piękna to była droga w zupełnym przystroju lata. Brzozy więcej niż stuletnie, sadzone w cztery rzędy, odgradzały drogę od pól i łąk, które jednak nie dotykały bezpośrednio do traktu, lecz do *biczewników*, czyli pasów murawy, wyciągniętych po obu bokach alei. Starożytny ukaz nakreślił tę drogę tak rozrzutnie ku wygodzie podróżnych i dla przepędu bokami stad bydła; droga miała szerokości dziesięć sążni, biczewniki po tyleż, i ten cały ogromny pas ziemi należał do wszystkich i do nikogo, gdyż od 130 lat, od czasów wytycznych, nikt go nie naprawiał, ani strzegł; brzozy tylko, coraz potężniejsze, wsysały kałuże w swe pnie poczerniałe, w swe korony zwarte jedna z drugą, śpiewne, pijane w wietrze, pod którymi gdy legniesz, a wpatrzysz się w niebo *zahaftowane* liśćmi, usłyszysz dumki i szumki niesłychane, poczujesz ciągoty podniebne i zakochasz się w brzozie, jak w dziewczynie, patrząc przez nią, jak przez dziewczynę, w swe ideały niedościgłe.

¹⁾ na przelaj (gdzie oczy poniosą).

Przypomniał Kotowicz anegdotę administracyjną, którą mu niedawno opowiedział Juchniewicz. Żebrak Kirik, trudniący się też pośrednictwem w kradzieży koni, zebrał był nieco grosza ze swego podwójnego proceduru i zapragnął osiedlić się w miejscu dogodnym; nie posiadając jednak ziemi własnej, wykombinował dowcipnie, że może się schronić pod opiekę brzoź rządowych i zbudował sobie chałupkę na publicznym *biczewniku*, przy gruntach turowickich, w pobliżu dworu. Rządca Juchniewicz podał go do sądu. Ale władze, zważywszy: 1) że administrator Turowicz skarży o nadużycie własności publicznej, nie prywatnej, do czego nie posiada kompetencji, 2) że nie było w powiecie precedensu pobudowania się czyjegokolwiek na biczewniku — pozostawiły skargę Juchniewicza bez skutku i przyglądały się ciekawie nowej kwestyi prawnej, wynikłej z pomysłowości Kirika. Tymczasem przez lat pięć chałupa była urzędowym przytułkiem dla złodziei. Ale w przeszłym roku Juchniewicz skorzystał z dalszej podróży Kirika i z opustoszenia jego domku. Kazał zaufanemu parobkowi podpalić w nocy chałupę z czterech węglów; że zaś była kurna i ze starego drzewa, spaliła się doszczętnie.

— I spokój! — kończył Juchniewicz z dumą i z przekonaniem, że w zawiłych kwestyach prawnych trzeba mieć tylko głowę na karku.

Dzisiaj Kotowicz stwierdził na innym przykładzie użyteczność biczewnika. Rozłożyła się na nim obozem rodzina podróżna. Wóz pokryty płócienną budą stał na drodze, wyprężony koń żywił się publiczną trawą, sięgając też czasem do prywatnego grochu turowickiego, a rodzina — brodaty ojciec, niebrzydka matka i troje dzieci — zaległa około nastawionego samowaru. Tak im tam było smacznie i pysznie pod cienistymi brzozami, że Kotowicz ani myślał odpędzać chłopców od grochu, który sobie

łuskali na przekąskę. I nikt z obozowiska nie poznał w pieszym przechodniu właściciela grochu i rozległych po krańce wzroku obszarów. Tylko gdy się Kotowicz uśmiechnął, mijając, ojciec rodziny uchylił kaszkietu wschodniej formy, który, przy czerwonej, zapiętej na ramieniu koszuli, świadczył o pochodzeniu ze stron dalekich, pewno aż z pod Moskwy.

Był gdzieś kiermasz w pobliżu, bo na trakcie spotykało się nierzadko ludzi miejscowych, białorusinów, w kałamaszkach, tarantasach, i pieszych. Niektóre kobiety miały głowy okutane i twarze zakryte, oprócz oczu, jak mahometanki; ten zwyczaj nie ma tutaj na celu ukrywania twarzy od mężczyzn, lecz od słońca.

Chociaż Kotowicz lubił przeglądać twarze ludzkie w ich niewyczerpanych odmianach indywidualnych, zawsze jednak czytelne według niechybnych znaków, które na nich wyciskają: wiek, rasa i sposób życia, — wyszedł dzisiaj w pole właśnie dlatego, żeby nikogo nie widzieć oprócz jednej postaci, którą chciał wywołać wspomnieniem. Gdy więc trafił na boczną od traktu dróżkę, poszedł nią, oddalając się od ciągu ludzi.

Dróżka kręciła się między krzakami zarastającymi przestrzeń nieokreślonego użytku, ni to pastwisko, ni zagaj. Leszczyna i łoża nie przedstawiały żadnej prawie wartości ani obecnie, ani na przyszłość, zajmowały jednak tyle powierzchni, że pastwisko było skąpe. I ciągnęła się ta przestrzeń wszędy i wdał do nieskończoności. Grunt był twardy, usłany krótką murawą, przyjemny dla przechadzki, a między krzakami rozpełzał się labirynt zielonych ścieżek, niby urządzone dla gonitw miłosnych. Edward trzymał się dróżki szerszej, znaczonej śladami wązkich wozów.

Usłyszał rzenie konia — i trafiwszy niebawem na miejsce niezarośnięte, zobaczył kilka koni spętanych na

przednich nogach, poskakujących mozolnie po pastwisku. Na polance stał namiot z żerdzi w stożek ku sobie nachylonych, pokryty wypłowiałym kilimem; przed namiotem płonął blady ogień pod czarnym sagankiem. Głównie jednak zwrócił uwagę Edwarda wyrostek już dojrzewający, z energiczną, odkrytą głową, ubrany w przepasaną koszulę i parciane spodnie, który postępował po murawie krokiem napiętym do jakiegoś celu, prawe ramię wyprężał ruchem klasycznego diskobola. Po chwili cisnął przed siebie kamieniem, aż zawarczał w powietrzu — furknęło z polanki stado szpaków. Chłopiec zaś, nie śpiesząc, przeszedł jeszcze ze trzydzieści kroków, schylił się, podniósł ubitego kamieniem szpaka i schował w zanadrze. Teraz stanął, przyjrzał się chmurnie Kotowiczowi i jał się dalej rozglądać, czy niema jeszcze czego do upolowania na obiad.

Sen o młodej ziemi przedhistorycznej przewiał Edwardowi przez głowę.

Oddalił się o sto kroków i legł na trawie między krzakami. Zaczepnął w płuca mocnego zapachu leszczyny — poczuł się królem — pasterzem na swem legowisku, oddalonym tak bardzo od zagmatwań cywilizacji — i powędrował myślą do jedynej znajomej, któraby mu nie popsuła tej samotnej rozkoszy, owszem, nappełniłaby ją harmonijnym wtórem.

Renia byłaby tu królową — — jej postać oprawia się naturalnie w zieleń lasów i w zboża ziemi: jej oczy świecą równo i dobroczynnie, jak zorza dnia, a dusza jej czysta i wonna przenika zapaśną siłą, jak to powietrze. — — Niezawodnym instynktem dążył Edward do tej istoty tak miłej, powszedniej i błogosławionej, jak życie. — — To znów zastanawiał się nad tem, czyby jej pragnął dla siebie, gdyby ją spotkał rok temu, wywiezioną z wielkich rozłogów spokoju na targowisko jakiegoś kar-

nawału? Poczucie nieomylnie odpowiadało mu, że z własnej winy nie znał takich kobiet, bo zabrnął w życie, które się miało z przeznaczeniem człowieka, wyczerpywało zdrowie duszy i ciała dla upasienia żądź i ambicyi przez przyrodę niestworzonych. To, co producenci i konsumenci złotej rozkoszy nazywają cywilizacją, jest tylko chorobą świata. — —

Renia jest zdrowiem. Ale żeby po nią sięgnąć, trzeba samemu być uzdrowionym. Nie wolno jej zarazić zgniłą gorączką pseudo-cywilizacji; nie wolno zepsuć tego arcydzieła pierwotności, na którym znać dotknięcia twórczych palców Boga.

Edward zamknął oczy i mocą wyobraźni przywołał do siebie jakoby niewieścią rozkosz ziemi. Zobaczył Renię w mokrych przezroczach sukienki, z rozwiązanymi włosami, na wyspie podczas burzy — — Wahał się, czy ją objąć za kolana, aby wyznać pokorne uwielbienie dla jej piękności i bliskości. — — Wtem poczuł koło siebie pełznącą ku niemu woń gorących pachnidła i magnetyzm rozpasanej żądzy — poczuł jakby na jawie spazmatyczne objęcie Teo. — —

Żachnął się, otrząsnął i długo wdychał leczniczy zapach dzikiego błonia, aby się odwikłać od niewczesnej wizyi. Wkrótce zaczął trzeźwo przyglądać się dniom minionym przy Reni.

Zdawało mu się, że sobie postąpił z nią szczerze i uczciwie. Wyznał jej sumarycznie swe przeżycia i błędy; powiedział, że ma dla niej uczucie najżywszej, wyjątkowej przyjaźni — i to było prawdą, chociaż do tej przyjaźni trzeba będzie dodać długi komentarz, jeżeli los pozwoli. Ale w trzydniowych rozmowach ciągle treść o jego życiu, o jego „nieszczęściu“, które jest może tylko chorobą — wydała się naraz Edwardowi mocno egoistyczną. Łatwo to otoczyć się nimbem nieszczęścia i dumnie

prosić o współczucie, nie troszcząc się wyraźniej o znaczenie tego współczucia. Renia, gdy chłonoła te wyznania z tak serdeczną ciekawością, mogła cierpieć nietylko przez współczucie, lecz z upokorzenia. Niepodobna, aby sobie nie postawiła prędeży, czy później pytania, dlaczego Edward nie wyzwała się od kobiety, która go trapi? Już to pytanie świtało w ich rozmowach, ale Edward na swą obronę wynalazł „słowo dane narzeczonej“. Ten fałsz był osłoną jego słabości, a także eufemizmem dla oszczędzenia uszu Reni — był może potrzebny, lecz jak każdy fałsz, wprowadzał chwiejność i rozdźwięk w dwugłosie dusz, przemożnie ku sobie pociągniętych. — Trzeba było — myślał teraz Edward — pozbyć się najprzód wszelkich związków z Teo, utopić ją w niepamięci — a potem... zacząć z Renią. — —

Ale łatwoż to wykreślić z życia Teo, która ściga ciągle swą okrutną ponętą i wkrótce tu przyjedzie? — — W takim razie nie trzeba było zaczynać z Renią. — —

Co się właściwie z nią zaczęło? Gdy się Edward przyglądał swemu dla niej uczuciu, porównywał je do wschodu lubej jasności, tak naturalnej, jak wschód słońca i tak samo radosnej. Nie był to nerwowy poryw do jakiegoś wymyślnego nasycenia zmysłów, już na smak popolity nieczułych. Renia była wprawdzie bardzo piękna, ale może nie dla mężczyzn, szukających w kobiecie podniet zmysłowości w arabeskach jedwabi, w omdleniach koronek i w zagadkach perfum. Jej zabór dla siebie nie roznamiętniał męskiej pychy: ani była arcyksiężniczką, ani milionerką, ani znaną po świecie arcysamicą. Nie widać było około niej łakomego stada konkurentów, których trzeba by przesadzić i uprzedzić. Dar jej serca był skarbem dla jednego szczęśliwca, dla jednego przyszłego rodu. Kobiety, budzącej takie zdrowe, prawieczne popędy, taką pełnią zadowolenia oczu i sumienia, nie spotkał

Edward nigdy w życiu. Piękne kobiety, które znał, w których się kochał, budziły każda inne poczucia, ale wszystkie sprawiały nastrój grzechu: przemożną ponętę zaprawną niepokojem. Jedyna Renia byłaby ukojeniem, lubością samą, ponętą cnotą... Czyżby szczęście było zgodą ponęty z cnotą — rozmyślał Edward, chociaż taki harmonijny stan duszy majaczył mu dziś obco, zaledwie zrozumiale.

XVII.

Uciekał Kotowicz do lasu i na pola, póki dnia starczyło. Na otwartem powietrzu czuł się śmielszym do życia i bliższym Reni. Ale gdy noc zapędzała go do pustego domu, miewał złe chwile. Zdjął z biurka fotografię Teo, ale miał ciągle przypomnienie o niej w pokojach na nią oczekujących. Chociaż nie były zupełnie ukończone, nie zaglądał teraz do nich wcale. Dręczyła go też złem przeczuciem ostatnia jej depesza, dotychczas przez list nie wytlómaczona.

Interesy leśne nie postąpiły. Bank nie nadesłał jeszcze zgody na wyrąbanie starodrzewiu, a kupcy, choć wezwani listownie z wielu stron, nie dawali znaku życia, oprócz „czarnego Demiana“, którego powrót był niepewny. Sprzedaż lasu była jedyną sprawą administracyjną, którą Kotowicz prowadził osobiście, ale ta nie zajmowała mu obecnie dużo czasu po załatwieniu czynności wstępnych. Nawet do liczenia i oceny pni miał już technicznego pomocnika, zarekomendowanego przez Sasa. A na polach, po sprzęcie zboża, coraz mniej było do oglądania.

Samotność zaczynała znowu dokuczać Edwardowi, ale teraz inaczej. Nietylko nie czuł wstrętu do Turowicz, ale je lubił, chciał je obronić, zachować i urządzić. Składało się tymczasem opacznie i ta przekora wypadków męczyła Edwarda. Nie pragnął bynajmniej opuścić wsi, tylko radby mieć przy sobie kogoś bardzo blizkiego do

wszelkiej konfidencji. Moroz już nie wystarczał, chociaż był w najlepszym humorze i obiecywał wkrótce wspa-
niałe rykowisko łośi. Starczyłaby za wszystko jedna
osoba!... ale jakże o niej myśleć wobec tylu zagmatwań
nierozwikłanych? — —

W dwa tygodnie po powrocie Kotowicza poczta
przyniosła wieczorem list Teo.

— Ach, ta trucicielka! — rzekł Edward, rozdzierając
kopertę, z której wionął mocny zapach.

Od pierwszych słów list mu się nie podobał, potem
go przejął zgrozą — wreszcie nienawiścią. Zaciśnął zęby
i przeczytał po raz drugi:

„Panie!

Jednemu tylko człowiekowi ufałam — i ten mnie za-
wiódł! Doszły mnie wieści, że pan opowiada o naszych
zabawach w sposób zdumiewający. Sam pan wie naj-
lepiej, że były niewinne? czy tak? Estetyczny żart prze-
brania się za wschodnią tancerkę mógł nam sprawić
oobjęciu chwilę przyjemną, lecz opowiadany ludziom nie-
wtajemniczonym (z jakimi szczegółami i dodatkami!) jest
poprostu krzywdą, wyrządzoną kobiecie, która miała
prawo sądzić, że zasługuje na przyjaźń i szacunek. — — —
Markiz Alfons, który mnie zna dobrze, nie wierzy takim
plotkom, ale jest poprostu oburzony na pana. Bo cho-
ciaż ja zaprzeczyłam stanowczo możliwości takiego opo-
wiadania pana, markiz posądza pana... Interpelowałam
Kamila — ten oświadcza uroczyście, że nic podobnego
nie słyszał... Więc komuż pan porobił te konfidencye?! —
Mojej służącej jestem pewna. — — — Jednak mam tę sła-
bość, że przebaczam panu; gdy się zobaczymy w Turo-
wiczach, wytłómaczy mi pan tę bolesną zagadkę. Dzisiaj
nie mogę więcej pisać. Żal i zawód przyprawiły mnie o
żółtaczkę, a już tyle mam do naprawienia defektów mojej

powłoki doczesnej, skolataniej przez duszę biedną, bo
zbyt wrażliwą na ludzkie dotknięcia brutalne... Żółta
jestem, jak cytryna! Mówią mi jeszcze przyjaciele, że mi
z tem do twarzy, że wyglądam, jak indyjskie bóstwo. —
— Nie wierzę. Nie pokazałabym się już panu w tym, co
wówczas, kostyumie — i to z wielu powodów żalonych.
Jednak przebaczyłam, wychodząc z zasady, że nie wolno
mi być pospolitą. I posyłam w liście zapach moich wło-
sów, które pan niegdyś lubił. — — —

Między kilku żądłami, które ten list w sobie zawie-
rał, najdotkliwiej, poczuł Edward jedno — oburzenie mar-
kiza Sanchez Toledo. To mi Katon! ten jegomość bez
czci i wiary, przybłąda niewiadomo skąd, dlatego „grand“,
że tak go zapisano do kilku domów gry! Niechby sobie
zresztą pochodził od Burbonów i Braganzów, niechby
nie miał na sumieniu żadnego łajdactwa, ale dlaczego
to właśnie bydlę, ma być sędzią jego, Edwarda Koto-
wicza?! — Potwierdza się ciągle, bez możliwości pobłaż-
liwego tłumaczenia, haniebna poufałość hiszpana z
Teo — — mówią sobie o wszystkim, więc i o mnie...
naturalnie! Między nią a mną nie było nic... ten adonis
jest pierwszy! Ha...

Edward zagryzł wargi i wbijał sobie paznogie w
dłonie.

A Kamil! Któż inny, jeżeli nie on, mógł opowiedzieć
o scenie tańca? — — Nikomu innemu Edward o tem nie
mówił — chyba Sasowi, ale gdzież droga od Sasa do pani
Teo? — — Miły przyjaciel ten Kamil! dobrze się wywdzię-
cza... Może wreszcie był pijany, bo na trzeźwo za spry-
tny, aby powtarzać zwierzenia bez wartości likwidacyj-
nej? — — A może i Kamil kocha się w Teo? Ciągłe jest
przy niej, jak tamten; któż go teraz oplaca? — — San-
chez? — —

Między tymi dwoma łotrami ona — ukrzyżowana

niewinność! W jakim celu napisała ten list, skoro przebacza i nie cofa zapowiedzi przyjazdu do Turowicz? — Chyba dlatego, aby aż tutaj sięgnąć swym zbrodniczym magnetyzmem? — Odurzać miężczyzn aż do bólu i rozpaczy — to, widać, jej ambicya; to się nazywa być kobietą niepospolitą, „wygnanką z raju“! — — —

Edward lekcewał sobie swą winę, zawartą w opowiedzeniu Kamilowi sceny tańca. Przecie jej nie wymyślił — przecie nie dodał do niej żadnych przechwałek, a nawet wyznał szczerze, że ten wieczór był jedynym jego tryumfem, bardzo zbliżonym do upokorzenia, opłaconym przez mękę. Zapewne, gdyby on sam wywołał podstępnie tę scenę, gdyby Teo była osobą nieposzlakowaną, gdyby jej przynajmniej bardzo zależało na reputacji Penelopy... Ależ to przecie lwica, piękna Teo, upajająca Teo, pożądana, przeklęta! Ileż historyi słyisał Kotowicz o jej drapieżnej zalotności? Ileż nawet anegdot o jej prowadzeniu? Nikt jej nigdy nie nazwał dobrą, ani czciogodną...

— Palnąłem bąka, żem zaufał zdrajcy Kamilowi — mniejsza o to! — Ale proces, który mi wytacza Teo, ma inną stronę arcyciekawą: to ona kompromituje się i odsłania, dyskutując o takich rzeczach z „przyjaciółmi“. Jacyż to przyjaciele? Czy uczciwej kobiecie śmiałyby ktoś obcy wspomnieć nawet o plotce tego rodzaju? Piękna to trójka, wysoki sąd honorowy: Teo, Kamil i Sanchez Toledo!

Kotowicz chodził, a raczej rzucał się po pokoju, czując niecierpliwe mrowie w nogach i świerzbieńie dłoni. — Co tu począć?? — — —

Wiedział, coby począł, gdyby... Krew mu narajała projekt tak określony, że ujrzał go w formie scen i obrazów:

Pędzi kurjerskimi pociągami natychmiast do Trouville. Dojeżdża tam wieczorem i, nie przebierając się,

szuka Teo i „przyjaciół“. — — Są razem, przy obiedzie, w jakimś gabinecie z oknami, wychodzącymi na morze. Bachiczna komnata, podobna do malowanych reklam szampańskiego wina. Teo w stroju jej właściwym, półnagim, Kamil już pijany, a markiz przy Teo na miejscu szczęśliwego wybrańca. — — Teraz wchodzi Edward. — — Jak zmieniły się ich twarze od podziwu, strachu, zgromy — — Odruchowy wybuch dobrego wychowania:

— Jakto? pan tu?!

— Kogo widzę?...

Chodzi tu właśnie o dobre wychowanie! Edward szuka komuby dać w twarz najpierw? Kamil rzuca się na spotkanie:

— Mówiłem, że nie wytrzyma, że do nas się wyrwie...
Moj ty...

Edward cofa się o krok i krzyżuje ręce, Kamil blednie.

Teraz Edward kłania się pani Teo zdaleka, ceremonialnie, ironicznie. I z podniesioną znów głową zwraca się do markiza, którego nie powitał:

— Jak pan ośmielił się roznosić kłamstwa o mnie i o tej wysoce szanownej pani?

Albo inaczej się odezwie — w podróży ułoży sobie frazes. — W każdym razie Sanchez odpowie coś w tym rodzaju:

— Zanim zadość uczynię pańskiej ciekawości, zapytam, jakim prawem wtargnął pan nieproszony do mojego gabinetu?

— Takim prawem! — — —

Sanchez Toledo może nie być słaby, ale Edward jest silniejszy nerwową wściekłością. —

Zaśmiał się gorzko z tej tragikomedyi Kotowicz w swoim pokoju, w Turowiczach:

— Tak... właśnie! Miłoby to wykonać, tylko trzeba najprzód oddać temu lotrowi jego sto tysięcy franków! — I to zaraz, bo za miesiąc lub dwa, cały ten rozkoszny projekt będzie niedorzeczny. —

Poczuł teraz dyabelną gorączkę pożądania złota. Gdyby się zjawiał w tej chwili kupiec, możeby Edward sprzedał całe Turowicze za sumę na razie potrzebną? — Ale kupcy nie śpieszyli się. Nawet do „czarnego Demiana“ niewiadomo gdzie wysłać depeszę, bo przecie zapowiedział, że przez miesiąc będzie podróżował, poczem sam się zgłosi. — — Pożyczyć pieniędzy? od kogo? Przecie nie od Sasa, który już oddał dobrowolnie dziesięć tysięcy, może cały swój kapitał ruchomy. Od kogo w tej puszczy dostać 40,000 rubli zaraz? — — Niepodobienstwo, choćby całą puszcę dać w zastaw. — —

Tu Edward pomyślał o Reni i poczuł ściśnięcie serca inne, bolesne, ale rzewne. Ledwie nie zapłakał. Wszystkoby wyznać tej dziewczynie promiennej, jedynej dobrej, jedynej godnej kochania! Nie wynajdzie ona doraźnej rady, ale gdyby tylko położyła mu swą najmiłszą, zimną rączkę na rozpalonych skroniach, gdyby usłyszał jej głos czysty i radosny, jak niedzielna sygnaturka... Znowu niepodobienstwo — — nie wolno tych brudów, tych krwawych lachmanów rozkładać przed oczyma Reni. — — Należy owszem oddalić się od niej, zostawić ją w spokoju, w tej atmosferze niedostępnej obecnie dla Edwarda, w błogosławionym — spokoju. Czuł, jak Renia gospodarna, Renia czysta, Renia — żona oddala się od niego pędem we mgłę niby już bardzo dalekich wspomnień. Jego chwycił już znowu szal dogodzenia swym namiętnościom, przedewszystkiem zemście; on już pędzi do Trouville. — Chociaż nie może tego uczynić za-

raz — i nie powinien — już go nowe ogniwo łańcucha, który sam sobie ukuł, związało. Jakby on dzisiaj stanął przed Renią z tą twarzą potępieńca? — — Ona spytałaby troskliwie, co mu jest, a onby musiał kłamać. Kłamstwo jest zawsze wstętne, ale wobec Reni byłoby, już świętokradztwem, znieważeniem tej pięknej ich świątyni przyjaźni.

— Nie dla mnie związek z istotą jasną i dzielną, jak spokój sumienia. Jam skazany na bojowanie z życiem o... nieszczęście — — albo na śmierć.

Ale znowu śmierć wydała mu się niepojętą czarną przerwą w młodym jeszcze rozpędzie jego fizycznego organizmu, w napięciu rozpoczętych prac, w natężeniu pragnień, wymagających jakiegoś skutku. Zniknąć ze świata w połowie wszystkiego, co się nazywa istnieniem? — — — Trzeba choć pamięć po sobie zostawić konsekwentną, może ponurą, ale nie pustą i głupią...

Powalony przez porywy niewykonalne, napojony goryczą, w rozpaczliwym rozstroju nerwów, który mu przypominał żywo wielkie przegrane w hazard, albo daremne oczekiwania na schadzkę z Teo — z tą samą Teo! — Edward szukał, dokądby uciec od siebie samego. Gdyby był w mieście, poszedłby w tłum najkrzykliwszy. Ale tutaj głusza, dal — i noc zapadła. O spaniu mowy niema. Trzeba zaraz, choćby dla zdrowia, gdzieś pojechać.

Przypomniał sobie dwa konie wierzchowe, które kupił od Sasa w przewidywaniu przejażdżek z Teo. Próbował ich jeszcze tymi dniami — były dobre. Dośiąćszy tego, którego dla siebie przeznaczał, a na drugiego wsadzić Turmowicza, młodego leśnika, który ma talent do konia, jak to już uprzednio zauważył Edward. Turmowicz był dzisiaj we dworze i ma jeszcze tę własność, na dzisiaj cenną, że nie odzywa się ani słowem, póki go nie zapytają; jest też sprawny i rozważny. Ale

dokąd pojechać? Czy w kierunku do Kurenicz, lasami, czy ku Osowie, gdzie mniej lasów po drodze, i konie, pochodzące od Sasa, mogą pamiętać drogę, którą niedawno przebyły? — Czy do Sasa, czy do lasa?

Zgrzytnął mu niemile ten żart, który wywiązał się mechanicznie z układu wyrazów, ale projekt zajął go i rozerwał. Wyszedł przed dom, aby zobaczyć, jak noc wygląda. Ciemna była; niebo zaciągnięte chmurami i mgła przeciągała jakoby już jesienna. Takie powietrze podobało się właśnie dzisiaj Edwardowi. Kazał natychmiast poszukać Turmowicza i osiodłać oba nowe konie, Filuta i Lalkę. Poszedł się przebrać i polecił służącemu zwinąć w dwa pakunki ubranie, płaszcz i trochę bielizny; przytroczył się to za siodłami.

Plan bowiem Edwarda ustalił się: pojedzie do Osowy. Konie znają drogę i on ją raz już przebył — a że to wiorst trzydzieści — fraszka. Kto myśli o pożegnaniu świata, może się przed śmiercią zmęczyć. Edward pragnął nawet starcia się z mechanicznymi przeszkodami; podzieli przynajmniej energię między walkę z nocą, a walkę z dolą swą zaburzoną.

Moroz, usłyszawszy o rozkazach pana, wynurzył się z cieniu, w którym deptał zwykle, pograżony w technice swych wielorakich funkcji — nasunął się i napraszał się tylko o konfidencję. Aż Edward zrozumiał przymilne błyski oczu Moroza i ogłosił mu swój zamiar:

— Jadę do Osowy, do pana Sasa.

— I pięknie, panoczek — — A nie lepiej byłoby kiedy rozdnieje? — *éma*¹⁾ dzisiaj straszna.

— Nie; pojedę zaraz.

— Przykazałby wielmożny pan strzelby zabrać, jaby ich na wschód słońca już do Osowy przywiózł?

¹⁾ Ciemność.

— Na cóżby? niema teraz polowania.

— Ojje, panoczek! chciawszy, tak przez dzień nustrzelasz, że i kałamaszkę pełną nawalisz. Ciecieruki już młode farbowne, kaczek przepaść na jeziorkach, gdzie one już za morze naradzają się; kuropatwy po rżyskach, bekasy po łąkach. — —

— Drobną zwierzyną — odrzekł pogardliwie Kotowicz.

— I nie pańska — ustępował Moroz — choć i panu czasem można podziwaczyć się. Bywało, pan marszałek z pod wyżła ciecieruków bił...

Moroz miał zwyczaj nie zaprzeczać Kotowiczowi, jakby znał etykietę rozmów z panującymi. Nie znaczy to, aby był zawsze tego samego, co Kotowicz, zdania i aby nie chciał swoim księciem kierować. Chytry to był minister.

Edward, nieczuły dzisiaj na ponęty myśliwskie, nie ustępował. Poczul Moroz, że nie postawi na swoim, nawet w sprawie odłożenia wycieczki aż do świtu.

Szczekanie psów obowiązkowe, nie napastnicze, lecz służbiste, ogłosiło, że konie podano przed ganek. Zanim wyszedł z domu, Edward chciał okazać Moroza, że ocenia troskliwość, odbiła w oczach starego sługi — już przyjaciela — wyciągnął do niego rękę.

— Do widzenia, Moroz — rzekł miękko.

— *Boh spasaj* panoczka! — odrzekł stary i chwyciwszy oburącz dłoń Edwarda, przycisnął ją mocno do ust.

A Kotowicz pocałował strzelca w głowę czysto wystrzyżoną, kryjącą pod falistą czaszką uczciwe przebiegi.

Gdy już Edward dosiadł konia, skarogniadego Filuta, a Turmowicz kasztanowatej Lalki, Moroz dawał instrukcję Turmowiczowi:

— Ty, Antoluk, nie prowadź pana po małej drodze

do Oresy, tylko po wielkiej. A gdzie *nie wiedziesz*, puść konia. Ty nie głupi, a wszystko koń od ciebie mądrzejszy.

— *Dobre* — odrzekł Turmowicz.

Pojechali. Zrazu Kotowicz sądził, że nie widzi drogi z powodu bezpośredniego przejścia od światła do ciemności, ale gdy pchnął konia do kłusa, zauważył, że koń stąpa jakby miał nogi związane, osadzając się ostrożnie na zadzie. Wiedział zaś z doświadczenia, że Filut ma zwykle kłusa posuwistego i że dobrze idzie w cuglu. Noc była rzeczywiście bardzo ciemna; nawet koń trudno się w niej orientował.

Ale z początku jechało się wielkim pocztowym traktem między brzozami, które po dłuższem wpatrywaniu się widać było po obu bokach, jak nikłą kolumnadę, na której wysoko wisiał strop lekko szumiący. Konie, jeden obok drugiego, poszły śmieiej kłusa. Gościniec przechodził dalej przez dwie wiorsty lasu i podobny był wówczas do głębokiego jaru między czarnymi skałami. Jechało się jednak coraz pewniej, konie rozgrzały się i sunęły szybciej.

Kotowicz był dobrym jeźdźcem i na wielu już koniach siedział; znał to zwierzę człowiekowi usługujące, ale dumne i buntownicze; czasem rycerskie i ambitne, czasem znowu bezmyślnie płochę, niedowierzające własnemu cieniowi, jakby przesądne; rzadko człowiekowi szczerze przyjazne, ale wtedy już zrastające się z nim w jeden organizm, czule na każdy ruch, nawet na moralne usposobienie jeźdźcy. Filut od pierwszej przejażdżki wydał się Edwardowi koniem przyjaznym. Szedł nadzwyczaj czujnie z nastawionemi uszami, zwalniał biegu w miejscach ciemniejszych, wypływał z dziarskiem parknięciem na cień rzadszy, jakby ogłaszając, że poznaje przy drodze widziane już przedmioty. Zupełnie jak Edward, który zapadał chwilami w niewiadomość gruntu i

okolicy, potem znów cieszył się, poznając to wielką sosnę przy drodze, to mostek na ruczaju, to znowu stwierdzając powonieniem, że mijają chaty smolarzy, śpiące w ciemności niedaleko od gościńca.

Tak było, póki jechał szerokim traktem i swojemi włościami, które już poznał w ciągu objazdów. Ale na dziewiątej wiorście trzeba było skrócić z gościńca na lewo, na drogę polną, dużo węższą i krętą, jak łożysko strumienia. Gdyby Turmowicz nie wstrzymał konia i nie wskazał bocznej drogi, możeby Kotowicz ją minął. I Filut po raz pierwszy się zagapił: skręcając w lewo zbyt śpiesznie, natknął się na jakąś przeszkodę tak blizką, że ją musiał skokiem przesadzić. — Edward nie zrozumiał odrazu, ale obejrzawszy się, przypomniał, że widział tam za dnia bardzo niski krzyż wkopany na samej granicy drogi i pola, podobno dla uproszenia błogosławieństwa Bożego dla pól, ale wyglądający ponuro, jak mogiła samobójcy. Koń, zbity nieco z drogi, przeskoczył ramię krzyża. — Nieprzyjemny dreszcz przeszedł Edwarda.

I koniowi przyszyły do głowy jakby przesądne strachy. Szedł zaledwie truchta, boczył się czasem trwożnie od krzaków, to znowu grał chrapliwie zdławionem przez emocję gardłem. Edward kazał Turmowiczowi jechać naprzód, bo Lalka szła spokojniej, a leśnik znał lepiej drogę, która, kręta i zadarniona, była jednak tak zwaną „wielką drogą“ ku mostowi na rzece Oresie. Zabłądzić było tu łatwo, droga przechodziła najprzód przez porębę leśną, potem przez pola i łąki, nieoparta nigdzie o granicę stałą, której możnaby się trzymać, czy to ściana lasu, czy rząd domów. Jakoś jednak domacano się właściwego kierunku, najmniej wzrokiem, który ledwie przebijał sążniowy promień, raczej zaostrozonymi przez konieczność innymi zmysłami: dotykaniem, słuchem i węchem. I kawalkata zabrnęła znowu na drogę, pachnącą

wielkim lasem, jeszcze ciemniejszą, ale ogrodzoną od zbroczeń przez gąszcze. Edward nauczył się już od Morroza sposobu orientacji w takich wypadkach: patrzył na niebo — majaczyło tam wysoko wązkie rozwarcie, niby pęknięcie czarnej opony, nakrywającej pochód. Ale trzeba było jechać stępa.

Kotowicz puścił koniowi cugle, pozwolił mu kierować się instynktem i najeżdżał blisko na Turmowicza, którego wcale nie widział, tylko czasem usłyszał przed sobą. Że jednak jazda trwała już długo i posuwała się naprzód wolno, ale bez wahania, Kotowicz doszedł do obojętności na szczegóły podróży. — Zablądzi? — no, to doczeka świtu gdzieś pod drzewem.

Zablęsną zblizka wilcze ślepie? — jeszcze nie pora na skupianie się wilków w groźne stada. Trafi się na jakąś zasadzkę zbójcką? — ale jeżeli podróżni nic nie widzą wokoło, jakżeby zbójcy ich wyslepili i skąd mogą wiedzieć, że w niezmiernej nocy kołacze się dwóch jeźdźców, których nawet puszcza, rozgwarzona po wierzchu ze sporym wiatrem, nie słyszy? — Zresztą ma się w kieszeni rewolwer.

Postępując teraz automatycznie, bez wysiłku, ani nadziei ujrzenia po tej ponurej nocy radosnego świtu, Edward poczuł swe duszne blizny rozdarte przez świeże udrczenia. Teo, Sanchez! — te zmory nieustępujące, od których ani uciec, ani się odkupić. — Jeszcze cierpliwości! — wmawiał w siebie z przykrym, omdlewającym wysiłkiem — a plunę w twarz hiszpanowi i wszystkim moim-prześwietnym krytykom, pognębię stada trutniów i ladacznic. — I to jest moja przyszłość? to cel życia?

Cel życia jest zawsze wyraźny, gdy się go już ominie.

Wiedział Edward od niedawna, jakby mógł pokierować swe losy do pożytku i radosnego spokoju, gdyby

ich nie zapędził uprzednio inaczej, do wyuzdanej rozkoży, do pijanego zamętu, do wstydu. Może to wszystko da się jeszcze odwickać, ale nie odrobić. Cel życia, ten niepokalany, napełniający serce — będzie już poza mną.

Jak przyjacielowi Justynowi, chciało się teraz Edwardowi płakać nad Renią. Ona go lubi — to pewne; on ją... błogosławi za samo jej istnienie na ziemi. Ale czy wolno sięgnąć po nią jemu, kalece na duszy, jak Sas jest fizycznym kaleką? — Onaby może sama, dowiedziawszy się dokładnie, kim jest pan Kotowicz, jak się prowadził, z kim trzymał — odwróciła się od niego? — A jeżeli on potrafi wybrnąć z bagna, otrząsnąć się od przyklepionych gadów, jeżeli oczyści się i wyzdrowieje aż do niepamięci o bagnie — — kiedyż to będzie, gdy pięć miesięcy zabiegów nie posunęły nic prawie ku wyzwoleniu! Renia tymczasem może wyjść za mąż; mogą ją poprostu „wydać“ za jakiego Dowbutta, lub innego przyzwoitego młodzika — i nie trudno! Bo przecie dzisiaj on, Kotowicz, zagmatwany w grzechu i nieszczęściu, nie może poprosić Oleszy o rękę córki — — a brać Renię podstępem — jak się to nieraz czyniło z kobietami, swobodnie oddychającymi przystrojonym kłamstwem — to byłoby niegodne!... to byłoby nawet zatruciem tej krynicy prawdy i szczęścia. — —

Jedyny skok w przyszłość radykalny — to zerwanie śmiesznej troski o miejsce w mrowiu zdań i pożądań ludzkich — beznamiętna, beznadziejna, zimna śmierć. — —

Fizyczny chłód ogarnął Kotowicza, wiejący nietylko od tej myśli lodowatej, lecz zapewne od rzeki, do której się jeźdźcy zblizali. Droga nie szła już lasem, ale przestrzenią bagnistą, po której uciekał tu i owdzie błędny ogień, nie świecąc, lecz wskazując, że na prawo i na lewo leżą niezarośnięte moczary.

Pierwszy raz Turmowicz odezwał się niezapytany:

— Tu ja *nie biorę się* poznać drogi na most — nie tak pojechali.

— Masz tobie! trzeba mi było powiedzieć w lesie, tobyśmy gdzieś pod drzewem doczekali świtu — a tu jakże pośród bagna? — Ale jedziemy przecie drogą — czuję ją pod koniem — więc ta droga musi gdzieś prowadzić?

— Wszak tak. — Wielmożny pan przykaże jechać dalej?

— Naturalnie — tylko ostrożnie i wolno. Tu jeszcze trudniej jechać, bo mgły zagradzają drogę.

Zdawało się czasem, że jest trochę jaśniej, ale poświata to była zwodnicza. W poprzek drogi zalegały jakby jeziora, albo rzeki rozlane; były to jednak tylko ławy mgły zimnej. W jednej z takich ław musiała się znajdować Oresa i most na niej? —

Wkrótce jeźdźcy usłyszeli niby cichy plusk deszczu, niezupełnie rozumiały we mgle i ciemności; to tylko pewne, że w pobliżu przelewała się woda — prawdopodobnie rzeka Oresa. — Konie postąpiły jeszcze kilkadziesiąt kroków po drodze, która wydawała się tutaj sypaną wysoko nad poziom okolicy i dochodziła do otchłani, sprawiającej, pomimo mroku, wrażenie ciemniejszej jeszcze i poprzecznej. — Nie co innego, tylko rzeka. — Droga przedłużała się ponad nią lekko majaczącym śladem, wiszącym wysoko nad przepaścią. — Dziwny most!..

Koń Turmowicza doszedł pierwszy do mostu, wyciągnął szyję, chrapnął i stanął; ale popchnięty przez jeźdźcę, wszedł na bale uginające się pod kopytami. Za nim poszedł Filut z Kotowiczem. Oba konie szły nadzwyczaj wolno i bojaźliwie, wstrząsając dreszczem swych ciał kruche mostowiny. Dreszcz przejął też Edwarda: czy to most? czy co innego? —

Obok, na prawo jakaś masa ciemna w kształcie do-

mu wchodzi na rzekę i od tego widma idzie ów cichy plusk deszczowy, urągający ociemniałym jeźdźcom. — Wzdłuż mostu baryera z jednego drąga wytyka kierunek w poprzek rzeki, którą czuć... widać pod nogami, jako ciemnię bezwzględna, ostateczna... śmierć! — Może to Ona, niebacznie przywoływana przed chwilą, przychodząca za wcześniej?

Zadudniały, zatrzeszczały bale mostu i Edward ujrzał przed sobą cień Lalki, wspiętej dęba, wyrastającej ogromnym majakiem na mgle bezgranicznej. W tej chwili koń Kotowicza, w błyskawicznej znowie z towarzyszką, wspiał się na zadnich nogach manewrem powolnym, trudnym, niby cyrkowym. Edward ścisnął siodło kolanami, przypadł do szyi konia i zdał się na jego instynkt. Filut zawrócił wstecz i rwanym galopem przecwałował napowrót przebyty już kawał mostu. Za nim podążyła Lalka. Złani potem jeźdźcy i konie stanęli znowu na brzegu rzeki. Stali parę minut nieruchomi, oniemieli; konie parskały przeciągle.

— *Tut czort, a nie most!* — odezwał się zdławionym głosem Turmowicz.

Edward zaś, przykładając twarz do grzywy konia, głaskał go wdzięcznie i szeptał:

— To nie chcesz jeszcze, gniady, abym zginął? co? — dzielny Filut! —

Stali znowu bezradnie, zdecydowani na jedno: na doczekanie świtu. Edward, ochłonawszy, składał powoli dopiero co przeżyte, namacane szczegóły przygody:

— Tu musi być młyn? — rzekł wreszcie.

— Musi tak — odpowiedział leśnik.

— Więc ktoś pewnie przy nim mieszka? —

Huknął raz i drugi — Głos przepadał w ciemnej przestrzeni bez echa. — Edward dobył z kieszeni rewolwer i wypalił w górę. Po chwili, na prawo, przy

rzece, noc uspiona otworzyła krwawe, prostokątne oko — okienko.

— Widzisz, Turmowicz, mówiłem. — —

Jeźdźcy zbliżyli się radośnie do światła. A gdy niebawem rozwarły się drzwi domu i stanął w nich młynarz z kijem i latarką w ręku, Turmowicz poczuł się do obowiązku przemówienia:

— *Nie boś, kum!* Z drogi my nocą *zbili się*. Turowicki pan przed tobą.

Młynarz, obejrzawszy przy latarce konie, oczywiście pańskie, zmienił postawę nieufną na pokornie ugrzeczniejszą. Był to „dworzanin“, dawniej dzierżawca młyna w Turowiczach, jeszcze za pana marszałka. Nazywał się Haszłakiewicz.

— Upadam do nóg jasnemu panu. Gdzież można w taką noc ciemną?.. Cicho, Krumkacz! — ofuknął psa ujadającego.

Pies bowiem stary, ogłuchły od wiecznego turkotania młyna, przy którym mieszkał, dopiero teraz zaczął okazywać swą stróżowską gorliwość.

— Młyn nie idzie? — pytał Kotowicz, chcąc wyjaśnić sobie świeżą przeprawę.

— Zatrzymałem. Mlewa teraz niema — niechaj koła odpoczną. A i człowiek choć noc jedną zaśnie spokojnie.

— A jakież to most macie przy młynie? wazki taki i trzęsie się cały. — —

Haszłakiewicz zadziwił się:

— Most? — — niczego sobie, dobry — jeszcze wiosną remontowany.

I wskazał ręką w ciemność wcale gdzieindziej, niż miejsce, od którego przybywali jeźdźcy.

— Gdzie most?! — pytał Kotowicz.

— *A won tam.* — —

Edward spojrzął na Turmowicza, potem odezwał się do młynarza:

— To myśmy wjechali na inny most... o tu, tuż przy młynie — tylko że konie iść po nim nie chciały i same zawróciły.

Haszłakiewicz rozdziawił się ze zdumienia. Spozierał przez chwilę na obu jeźdźców, poczem zawołał z białoruska:

— *A Bożeczka ty moj, Bażoczek!* wszak tam tylko pomost dla pieszych, żeby koła prawić! I koniec jego w połowie rzeki! Bies obłądny prowadził jasnego pana, tylko że Bóg nie pozwolił!

Kotowicz wzdrygnął się; przecucie go nie myliło: piekielny mostek prowadził prosto do śmierci.

Tymczasem jednak poczuł się srodze zmęczonym, łaknącym choć jakiej takiej wygody życia.

— Dacie nam tutaj poczekać do wschodu słońca? — zwrócił się do młynarza.

Haszłakiewicz zapraszał uniżenie. Po chwili Edward spoczął w ubraniu na świeżo zasłanym tapczanie, w poikoiku pachnącym wszędzie rozpyloną mąką.

XVIII.

Rdza jesienna nadgryzała już zielen dębów w Turowiczach, żółtymi łzami ociekały pióropusze brzoź przy trakcie, a po lesie, gdzie tylko zamieszło się drzewo liściaste, plamiło puszcę złudnym, suchotniczym rumieńcem.

O tej porze kochankowie zamyślają się trwożnie o ucieczce w dal przekochanej wiosny, a poetom przychodzą najtęskniejsze pieśni. Ale i Moroz, choć nie kochanek, ani poeta, tęsknił. Nie mgły, nasycone już fermentem przymierającej roślinności, nie chłody nocne go zasmucały; owszem, przysłała pora „sama ta“ do polowania, strzelec czuł się w niej, jak ryba w wodzie, — ale po śmierci pana marszałka odwykł już od rozkoszy łowów, czuwał tylko nad dobrobytem zwierzyny. W tym roku miał przecie nadzieję, że się odrodzi w nowym dziedzicu animusz łowiecki, zauważył pewne jego poszlaki przy wiosennej grze głuszców — cóż, kiedy Edward nadto ma innej roboty na karku. Żeby tylko myślał o robocie tutejszej, pańskiej, nie bieda byłaby. Ale pan ma w głowie zagraniczne troski, a najpewniej — zagraniczną kobietę — *kał' jaje o kaczka bryknula!*

— I ochota jemu! — rozmyślał stary strzelec — ot panny Kurenickie do pory doszły i czekają, a już Hrenia tak *sousim* pierwsza: i do domu i do lasu i do wszystkiego, co młodemu potrzebne. Wziąłby za żonkę — i prosić nie długo — cóż to Kurenicze do naszych Turo-

wicz? — Onaż sama do tego lasi się; nie darmo do nas wierzchem zajeżdżała; chciało się ptaszeczce gniazdko poznać, czy na dwoje dogodne. A tu jaki pokój? a tu jaki? a wanna czemu nie przy sypialnym? — A przez podwórze kiedy poszła, to czy koń *popadł się*, czy nawet kura lepsza, bystrem oczkiem na każde pobaczy, niby to już pani Turowicka. *Jaż nie dureń!*

Tak rozmyślał Moroz, włócząc się po lasach, gdyż we dworze nie było roboty pod nieobecność Kotowicza. Chodził już ze trzy tygodnie, aż się nareszcie zaniepokoił, co pan tak długo mógł porabiać poza domem? Niedawno przysłał po więcej ubrania i bielizny, to i dalej może się wybiera z Osowy? — a tu nadeszła pora rykowiska łosi, najpiękniejszego strzału do rogala, a pora to krótka, trwa zaledwie tydzień.

Tu i ówdzie w puszczy, przy ostrowach bagnistych, ocienionych bujną olszyną, rozlegało się rankiem i wieczorem huczne stękanie samca, dążącego do kryjówki, gdzie niejedna już głęboka jama, wydeptana raciami, znaczyła miejsca ciężkich zalotów. Rogal czujny, ale rozdrażniony podniętą rui, ogłaszał się też trzaskiem łamanych gałęzi; a gdy przypadkiem usłyszał odzew zdrajcy rywala, który go chciał ubiedz przy lubej łosy, wściekał się, przyspieszał kroku, raz po raz rzucając karkiem potężnym, jakby chciał rozbujać gmach swych ostropalczastych łopat, gotowych dźgnąć i obalić zuchwalca. — Tę właśnie samczą zazdrość wyzyskuje chytry wabiciel, udając stękanie łosia.

Moroz chciał tego roku spróbować, czy nie stracił wprawdy w wabieniu — a nuż pan zjawi się i da się wyprowadzić na rykowisko. Więc w pobliżu „jam“ na Dzierczy, gdzie najczęściej odzywały się łosie, zasiał wieczorem, bez strzelby, przemyślnie osłonięty grubym pniem olchy, tryskającym z ciemnego, młodego kuszca.

Jednak z kryjówki otwierał się widok tu i ówdzie do kilkudziesięciu kroków. Po dniu dosyć ciepłym ziemia parowała obficie nadgniłą wonią, a w przygasającej, zadymionej poświacie zorzy wałęsały się miryady dokuczliwych komarów. Mało na nie zwracał uwagi Moroz, a może i one nie kwapiły się tak bardzo do krwi starego strzelca, której nie łatwo było dobyć z pod hartowanej skóry. Czasem jednak Moroz zwinnym ruchem kota głośną się po policzku, lub po szyi, i miażdżył bez dźwięku drobnego napastnika. Mrugliwemi oczyma wypatrywał, wyżłim nosem wietrzył, ustami w ciup namarszczonemi wchłaniał smak puszczy, uszami jakoby strzygł czujnie, nasłuchując — krewny zwierząt leśnych, świadomy wszelakiej ich mądrości, panujący zaś nad niemi przez to jedno, że spostrzeżenia swe układał w plany dalekie, ludzkie, pożyteczne nie tylko dla niego, Moroza, lecz dla wielu istot żywych, które kochał.

Stęknął potężnie łoś, jakoby w promieniu strzału. Takby się zdać mogło frycowi, ale Moroz, świadomy fonicznych złudzeń puszczy, wiedział, że ryk, im bliższy, tem dolatuje do ucha bardziej stłumiony. Ten rogał odezwał się o jakie sto pięćdziesiąt sążni, bo i głos z wiatrem przypłynął. Poczekawszy chwilę, Moroz skulił się i nadał, aż zgrubiał w postać opasłą, aż mu żyły nabrzmiały na skroniach, rzucił naprzód głową i ramionami i wyrzucił z gardła stęknięcie głuche, a potężne, zgodne, jak echo, z dalekim odzewem nadchodzącego łośa. — Chwila ciszy — — Teraz rogał, podniecony, ogłosił się trzaskiem łamanych gałęzi. Niecierpliwy kłus zwierza tętniał przez gąszcz, znacząc już wyraźnie swe oddalenie i kierunek ku zasadzce — Natychmiast Moroz chwycił za gałęzie krzaku, ułamał ich parę z trzaskiem i łamiąc dalej, szumiąc listowiem, poskoczył kilkanaście kroków ku łośiowi ciężkim, zwierzęcym kłusem. — Znowu przypadł —

znowu stęknął. — Zwabiony łoś odpowiedział i darł się ku mniemanemu rywalowi coraz śmielej, coraz wścieklej — aż przez zadziergane zielenią przyziemne słoje lasu zaświeciły krzyżowe, poczwórne błyski — białe portki łośa.

Moroz już się nie ruszał; siedział szary za pnim szarym, zasnuty cały rozgałęzionym krzewem. Stęknął przecie raz jeszcze.

Wtedy z zamglonego obszaru wynurzyła się na sztych największa kłoda żywego cielska, jaką człek widywał kiedy w puszczy — rudy łeb łośa. Przyklusował bliżej jeszcze o kilkanaście białych błysków — znów przystanął, widoczny już cały z kryjówki. Rozglądał się, ważąc na łbie swe ostro rozwidłone łopaty, owite zielenią, weselne i bojowe. Gdzie jesteś, zdrajco? — — szukał i wyzywał drugiego samca. —

Nie jelen to, elegant, którego dumne rogi obejmują symetrycznym wieńcem legendarne symbole: łeb łośa zwisa ponuro z byczego karku, rozwidła się płasko i dziko, wali naprzód po chamsku, a potężnie. Za łbem ogromnym, na wyniosłym kłębie nikt nie dojrzał nigdy wdzięcznych symbolów; widywano owszem, jak czort na nim siedział, a *baba-jaga* poganiała.

Moroz zawabił raz jeszcze, głucho. Ruszył rogał groźnie na wab', przyklusował do samej zasadzki, na kilka od niej kroków. Śmiał się Moroz w duchu i cieszył się ze swej sztuki, oglądając z tak blizka zwierza. Nie był ci on z najstarszych, ale w pełnej sile wieku i rogów; na prawym nosił pięć, na lewym sześć odnóg — dwunastak! Ale doszedłszy tu, gdzie spodziewał się spotkania z drugim rozmiłowanym samcem, ochłonął z gniewu, wzniosł łeb wyżej i zdawał się rozmyślać, poruszając chrapami. Wtem schylił okrągłą głowę ku ziemi, przeszedł parę kroków tuż przy miejscu zasadzki, parsknął końskim głosem,

bryknął obrotem napowrót i wyciągniętym, pokorniej-
szym klusem oddalił się.

Moroz siedział przyczajony, aż białe portki i talerz
łosia znikły zupełnie w gąszczu. Potem wstał, czapkę z
głowy zdarł niecierpliwie, znowu ją narzucił energicznie
i mruknął:

— *Nie chcesz, pan, strzelać, tak ja już wiedaju, kaho
tut padwiedu!* ¹⁾

Plan dojrzały nagle po długich namysłach Moroz
natychmiast w czyn wprowadził: przenocował w naj-
bliższej chacie leśnika, dospał właściwie tylko do pier-
wszego brzasku, a przed wschodem słońca był już w Ku-
reniczach i czekał w kredensie na ukazanie się młodszej
panienki. Czekał niedługo; Renia, pierwszy ptak ogła-
szający dzień nowy w „skarbcu“, weszła do kredensu,
ciepła jeszcze ze snu, owiana różową zorzą.

— Moroz! — ucieszyła się jaskrawo! przerzuciła klu-
cze do lewej dłoni, a prawą wyciągnęła do strzelca,
przewidując jakieś ucieszne, może nawet radosne pro-
jekty.

— A cóż, panienczka, do lasu pójdziem, a? —
przymiłał strzelec ochoczo swą twarz pomarszczoną.

— Do lasu? — łosie ryczą już? — błysnęła Renia
oczyma.

— Żywe piekło ich u nas, na Dzierczy! ot ja wczoraj
wielkiego rogala zwabił aż do ręki — choć ty na jego
oklep siadaj. Dostaniem my jego, a nie — tak drugich, ile
chcąc.

— Strzelał go wasz pan?

— Nie; sam ja wabił, żeby poprobować. Pana w
domu niema, ale on... nadjedzie — odrzekł Moroz z mniejszą
fantazją.

¹⁾ Nie chcesz pan strzelać, to ja już wiem, kogo tu dopro-
wadzę.

— Nadjedzie? — do lasu? — zapytała Renia z lekkim
trylem w głosie.

— Może i do lasu... a to on, kiedy zapadł w Oso-
wie, tak i siedzi trzy tygodnie — skrzywił się stary i
machnął ręką — tylko co łosie z rykiem nie poczekają;
pora ich przyszła, a pora krótka. Pojedziem my z pa-
nienczką, łosia ubijem, posłem rogi do Osowy, a pan
kiedy obaczy, do domu podbieży.

Oczy Oleszanki przygasły. Spodziewała się, że droga
na Dzierczę zaprowadzi ją — prosto, czy krzywo, ale
dzisiaj — do spotkania z Edwardem; tymczasem wieści
były oziębiające. Zamyśliła się, poczem rzekła dosyć smutno:

— Trzebaby wiedzieć, czy pan Kotowicz pozwala?
Moroz rozśmiał się satyrycznie, choć przyjaźnie.

— A to panienczka przeszłego roku u nas dwa
głuszce, *kabana* i łosia ubiła — i nie pytała? Tak *za cóż
ciapier* pytać?

— Co innego odrzekła Renia nieco skonfundo-
wana dokładnem wyliczeniem swych tryumfów, czy grze-
chów — przeszłego roku nie było pana w Turowiczach...
a nawet to, co zabiłam, było blisko granicy, prawie
wspólnie. Teraz co innego.

— *Jonże*, nasz pan, prosi — perswadował wyga —
jonże kazau: daj Moroz pannie Hreni w naszych lasach
strzelać; zwierzyny u nas *mnoho na szto mnie toje usio?* ¹⁾

— Tak wam powiedział? nie inaczej? — uśmiechnęła
się Renia.

— Wiadomo, po pańsku inaczej, a wszystko *zmysł* ²⁾
ten sam.

Skrzywił się nieco i oczyma w bok strzelił, bo, choć
wyraźnie od Kotowicza tego nie usłyszał, wiedział na-

¹⁾ na co mnie to wszystko?

²⁾ sens.

pewno, że pan pozwoliłby chętnie milej sąsiadce na polowanie w turowickiej puszczy. Moroz przekraczał tylko trochę swe pełnomocnictwa, ale nie lubił, żeby go posądzano o kłamstwo.

Jednak Renia upierała się przy swoim: trzeba za-
pytać o pozwolenie Kotowicza, a jeszcze — dowiedzieć się, co on porabia w Osowie, i jeszcze... przyciągnąć go, choćby dzisiaj na wspólną myśliwską wyprawę. Tak skryształizowany projekt rozjaśnił odrazu liczko Reni i zyskał aprobatę Morozą.

— Tak panienczka pisz jemu pismo do Osowy i podeślij kałamaszkę, a ja naszego leśnika Muraszkę poślę do Turowicz, czy tylko pan nie pośpiał powrócić do domu wczoraj na noc, kiedy ja po świecie chodził.

Stanął na tem. Moroz poszedł piechotą do nie-
dalekiej leśniczówki Muraszki, gdzie dopiero co nocował, a Renia zasiadła bez wahania do listu. Trochę tylko było namysłu nad początkiem i końcem — wybór padł na formy najprostsze: „szanowny i kochany panie“, a na zakończenie: „wyrazy serdecznej przyjaźni“. Zresztą treść listu była jasna i naturalna, jak światło dzienne; wyluszczała niedwuznacznie, że trzeba przyjechać natychmiast, bo łosie ryczą już na zabój — i że przyjazd sprawi prawdziwą przyjemność „nam wszystkim“ — jedyny wyraz dyplomatyczny, gdyż osłaniał ogólną radością prośbę Reni. Renia nie miała też wcale pretensyi do talentu pisarskiego; pisała tak, jak mówiła. Tylko ponieważ każdy lubił z nią rozmawiać, listy jej także nazywano powszechnie kochanymi.

List został pokazany ojcu i z jego zezwoleniem wyprawiono do Osowy Jeusieja najlepszym koniem rajdowym i najłżejszą kałamaszką. Droga była daleka — tam i napowrót wiorst kilkadziesiąt — ale dzień piękny;

przed wieczorem będzie odpowiedź, a Kotowicz, jeżeli zechce pośpieszyć, może wypoczętymi końmi stanąć w Kureniczach o jakiej czwartej po południu. — Wszak dopiero słońce weszło!

Przejęta radosnem oczekiwaniem, Renia ani myślała oddać się lenistwu i marzeniu. Owszem, w codzienne swe „zabiegi domowe tchnęła nowy, serdeczny zapał. Wypadki spiżarniano-kuchenne nabrały doniosłości i wesołej treści; głos młodej gospodyni, ulubionej przez wszystko, co żyło w Kureniczach, przez ludzi i zwierzęta, głaskał dziś jeszcze milej po sercach. Ojciec i Marcelka przy porannem śniadaniu uśmiechali się do Reni bez widomego powodu, chwając jej dzieła powszednie, pożywne i ujmujące, a dziękując ciepłymi promieniami za promienie wielkiej jej dobroci, za przemyślne dary jej uprzejmości. A potem, gdy Renia, utrudzona bieganiem, przysiadła na chwilę przed domem, najgroźniejszy z psów podwórzowych, „Zwier“ — odludek, którego nawet kucharz nieśmiało głaskał, poczuł nagłą potrzebę oświadczenia swych sentymentów młodszej paniencie. Kołysząc się poważnie na boki, podszedł do niej wolno, ciężką łapę przednią zwałił jej na kolano i ponurem, a głębokiem spojrzeniem wyraził jasno:

— Świat mi niemiły, oprócz ciebie, Hreniu. —

Dzień warczał robotą, a igrał i śmiał się. Ojciec był w polu, Renia po wszystkich kątach domu i podwórza, Marcelka uczyła się po angielsku. Od pewnego czasu odłożyła na bok literaturę rosyjską, którą dawniej studyowała namiętnie, rzadziej wybiegała aspiracyami po za granice Kurenicz, zaraziła się pogodą i spokojem rodzinnego gniazda. A było jej z tem do twarzy, bo schudła od konnych wycieczek, na które wyciągała ją Renia, i nie przystrzygała krótko włosów, więc uczesanie zaczęło ubierać jej głowę obfitym szaro-płowym koł-

paczkami, mniej oryginalnie, ale swojsko i ponętnie. Naturalne przymierze siostr, rozluźnione nieco przez lata pobytu starszej w Moskwie, wzmoгло się teraz, choćby dlatego, że Renia dorosła i stała się towarzyszką jedyną do rozrywek, do zwierzeń, do całego życia. Obie mówiły sobie zasadniczo wszystko, a choć zdawało się Marcelce, że ona ma przewagę rozumu i doświadczenia nad Renią, ona, starsza, ulegała pod wielu względami wpływowi młodszej siostry; przesiewała i sprawdzała sumiennie swą mądrość, cenzurowała skrupulatniej swe doświadczenia, gdy się dzieliła niemi z Renią. Bo Renia jeszcze dziecko — ale już takie, od którego poglądomo można się nauczyć wartości cnoty. Cnota Reni, tak prosta i wesola, jest radykalnie skuteczna do zadowolenia siebie i bliźnich! Siostry popierały też nawzajem swych domniemanych konkurentów: Renia chwaliła przy każdej sposobności Bronisława Dowbutta, Marcelka „przekonała się, że Kotowicz jest dystyngowany“. Każda musiała też ciągle wiedzieć o drugiej, co robi i co myśli; były w najszczerzej przyjaźni.

— Co ty tam wyrabiasz, Reniu? — —

Marcelka oderwała się od czytania, bo z przyległego do salonu mniejszego pokoju dochodził harmider przesuwanych mebli i rozgłośnie klepanie po sprężynach.

— Ściele łóżko — odrzyknęła Renia.

— Jak to: łóżko? —

Pokój przy salonie był z przeznaczenia swego także bawialny, więc Marcelka przeszła do niego i, zdziwiona metamorfozą, zapytała:

— Na co to wszystko?

— Bo widzisz, moja droga, tutaj umieścimy pana Edwarda. Chyba zostanie u nas na noc, co? A pokoje

gościnne w starym dworze zatechły, nie mogę z nich całkiem wypłoszyć myszy... Tutaj będzie mu lepiej.

— Zapewne. Ale dlaczego sama to robisz? Niech pokój przyrządzi Olimpka.

— Co ona tam wie! *Ja* się znam na słaniu łóżek. O! patrz — na materacu rozciągnęłam łosią skórę, pod prześcieradłem; to jest razem i elastyczne i świeże. Poduszkę położyłam jedną, a drugą, na krześle; jeżeli lubi mieć dwie, weźmie sobie drugą...

Marcelka parsknęła śmiechem.

— Dlaczego się śmiejesz, Marcelko? — rzekła Renia poważnie — niech mu będzie dobrze u nas i w nocy. — —

Starsza Oleszanka nie przestawała śmiać się, aż Renia rozejrzała się po pokoju, chcąc zgadnąć, co tak śmiesznego tu urządziła? — —

— Nie... nic... tylko takaś zabawna, moja Reniuś! On przecie nie dowie się, żeś ty mu sama uklepała posłanie... Jabym dla Bronka tego nie zrobiła.

— To kiedy pan Bronisław do nas przyjedzie, ja mu także pościelę — odrzekła Renia.

— Nie warto, bo to samo robi Olimpka. — — Czy Olimpka będzie usługiwała twojemu panu Edwardowi?

— A nie!

— To może Wasilisa, ogrodnikowa?

— Jeszczeby też!

— Bo co? — bo ładniejsza?

— Nie. — To nieprzyzwoicie. Hawryluka ze stajni przysię mu rano.

— Widzę, Reniu, że obmyśliłaś wszystko, jak minister. Ale... nie trzeba nadto psuć mężczyzn...

— Ja go przecie nie psuję. Marcelko; ja go... lubię!

— Tak, tak, ściel mu łóżko, Reniuś.

Na południe stawił się Moroz z powrotem, już z wiadomością bezpośrednią, że Kotowicz nie przyjechał do Turowicz. Można więc było przypuszczać, że przyjedzie przed wieczorem z Osowy do Kurenicz.

Po obiedzie, w porze wypoczynku, Renia poszła na gawędę w kredensie z Morozem, którego uprzednio ugościła potrawami z pierwszego stołu. Stary strzelec dziękował za gościnę i dowcipkował z nerwowem ożywieniem, którem umiał pokrywać różne stany swej duszy niedościgłej.

— Ot, pogoda piękna, jasna, że i w wiewiórcę komorę najdziesz, kiedyby ona pańskiego strzału warta była. Pójdziem, panienczka, w las! Do ciecieruków doprowadzę, lisa ubić mogę, a już wieczorkiem, kiedy zasiądzem, tak łos pewny. Pójdziem — a?

— Jak to? bez pana Kotowicza?

— A cóż? — wiadomość tu zostawim, że u Muraszki przed zachodem będziemy. Pośpieje on, tak przyjedzie; a nie — sami łosia ubijem.

— Nie odrzekła stanowczo Renia — tutaj na waszego pana poczekamy.

— Jak wola. — —

Krótkie milczenie.

— A jak Moroz myśli: czy pan dzisiaj przyjedzie, czy nie przyjedzie?

— Myśleć to pusta rzecz, panienczka — wiedzieć trzeba.

Znowu chwila milczenia.

— Ot, żeby u pana żonka była, tak w domu siedziałby — odezwał się Moroz.

Renia słyszała już dawniej od strzelca to samo zdanie. Wtedy nie odpowiedziała, dzisiaj zdobyła się na odwagę i rzekła z westchnieniem:

— A tak.

Moroz pochwyił skwapliwie tę nitkę zwierzenia:

— Wszak jemu żonki trzeba, i nie zagranicznej, a swojej, zdrowej, pięknej — ot, po sąsiedzku...

— Dobrze — przerwała szybko Renia z obawy, aby Moroz nie nazwał jej poprostu po imieniu — ale on nie chce jeszcze żenić się — mówiłam z nim o tem — tymczasem nie może... chyba później...

Moroz nie wytrzeszczył oczu — nie miał tego zwyczaju — ale z pomiędzy przymkniętych, drgających powiek błysnął tak przenikliwie, że Renia spuściła oczy.

— Tak panienczka mówiłaś z panem o takich rzeczach i nic z tego nie wyszło? — —

Renia przeciskała się trudno między chęcią wybadania Moroza, a obowiązkiem dyskrecyi względem Kotowicza:

— Bo widzi Moroz... my jesteśmy w przyjaźni, ale nie w takiej zwyczajnej... ja bardzo pragnę zdrowia i szczęścia dla pana Kotowicza, jabym dużo zrobiła w tym celu, tylko, że on... jeszcze nie może...

Moroz, przekonany pozytywista, chwycił w lot dwa tylko pewniki, wynikające z konwersacyi: że Oleszanka kocha Kotowicza i że wszystkie te niedomówienia, tajemnice i obawy — to pańskie wymysły, funta kłaków niewarte. Spokorniał niby, pomacał brodę i prawił:

— Kiedy już panienczka gada z starym sługą od czystego serca, ja powiem. Tak jak nasz pan *razumny* jest, tak byłby *prosto bez rozumu*, *jeśli*by panny Hreni nie lubił. Nie tak?

— Lubi mnie — skinęła Renia szybko głową i powiekami i mocno się zapłonila.

— I pewnie. A kiedy tak, ni sio, ni to, on nie *wiedaje*, panienska nie *wiedaje* — wychodzi *nie dobre*. Ot panienczka pierwsza panu powiedziałyby: *chosz mienia na żonku — bieri*¹⁾.

— Tak nie można, Moroz... mój drogi Moroz! — broniła się słabo Renia od namowy starego, który chwycił i ucałował jej rękę, jakby przeprasząc za zuchwałość.

— Można, panienczka — i trzeba.

Rozstali się, oboje rozrzewnieni. Renia, która w słowach Morozą odczuła zrazu tylko jego serdeczną przychylność, zaczęła się przyglądać treści jego ostatniej rady. — Co za pomysł szczególny — a może i trafny? — może jedyny? — Przecie miałyby prawo przyspieszyć własną przyszłość szczęśliwą, gdy ta przyszłość zapewnia także szczęście ukochanemu? — Bo wadliwie zawarte zostało przymierze z Edwardem; jakaż to przyjaźń: zostawiać go pod wpływem kobiety napewno złej, przeklętej? — I dosyć już tej „przyjaźni“ z nim, człowiekiem tak biednym, tak potrzebującym mocnego, blizkiego kochania! Renia pomyśli o radzie Morozą, jeżeli się zdarzy; kiedy pan Edward przyjedzie, może w domu, może w lesie — sprobuję. Bo kochać tak biernie i bez pożytku dla niego — już dłużej niepodobna.

Ale do czwartej — do piątej — do pół do szóstej po południu nikt nie przyjechał. Jeszcze gdyby się Edward zjawił za pół godziny, byłby czas zdążyć na Dzierczę i zasiąść na wab łosi. — Jednak Renia przeczuwała już, że wymarzone na dzisiaj projekty nie ziszczą się w całej pełni — mogą jednak ziścić się jutro? — niechby choć na noc przyjechał. —

1) Chcesz mnie za żonkę — bierz.

W tem, o pół do siódmej, zajechała na podwórze kałamaszka, a w niej siedział sam Jeusiej. Tęgi o wschodzie słońca koń zeszkapiał teraz w pokornego wywłokę, a i woźnica miał rzadką minę, jakby wstydził się obaj bezowocnej wyprawy. Sam ten widok był już niepokojący, bo, gdyby Kotowicz miał przyjechać, albo siedziałby w kałamaszce, alboby ją dawno już wyprzedził.

— I jakże? i co? — gdzie list? —

Jeusiej dobył z zanadru kopertę i podał ją Reni, która krzyknęła głucho: list był jej własny, nieotwarty!

— Nie zastałeś w domu?!...

— Niema, panienko — odrzekł Jeusiej — ni Turowickiego, ni Osowskiego pana niema. Gospodyni *jedna*¹⁾ w domu, to ja jej pisma nie chciał oddać. —

Renia pobladła i spoglądała na swój list nieotwarty. Niema Edwarda w Osowie, niema w Turowiczach — gdzież zatem jest? — Zabrakło sił dzielnej pannie na wysłuchanie jeszcze może gorszej wieści. Ale wypytywał Moroz:

— Toż tobie, Jeusiej, gospodyni nie powiedziała, *kudy panou paniesło*²⁾?

— *Ona, każe, nie wiedaje*³⁾. Dziesięć dni temu *nazad* jak na maszynę siedli, tak pojechali. I szukaj ich, *koli chcesz*⁴⁾ Osowski pan powrócił i znowu do Mińska, *każe*, pojechał. A waszego jeżeli w Turowiczach niema, tak musi oparł się gdzieś daleko...

Renia obróciła się szybko i weszła do domu. Moroz pogawędził chwilę z Jeusiejem, kazał sobie powtó-

1) Zamiast: sama.

2) Gdzie się panowie podziali.

3) Ona, mówi, nie wie.

4) Kiedy chcesz.

rzyć dokładnie wiadomości, poczem skwaśniał zupełnie, splunął — i wybierał się z powrotem do domu. Na losia było już dzisiaj zapóźno, o wycieczce na jutro nie śmiał wspomnieć Reni, która zresztą przepadła gdzieś w pokojach — wiedział, że nie zgodzi się, zgadywał, że cierpi.

— Ot, pańskie maniery! zwracał swe wymówki nie do Reni, lecz do Edwarda — dobra tu wszystkiego ma, ile człowiekowi potrzeba — i ucieka.

XIX.

Skończyły się ryki łośi, wędrowne ptaki wyniosły się za morze, a które pozostały w rodzinnej puszczy, snuły się tak skrycie po niej, że najchytrzejszy myśliwy nie mógłby powiedzieć, gdzie obecnie mieszkają kniazie — głuszcze, albo mniejsze ich krewniaki, cietrzewie. Szary zaś gmin ptasi zasepił się, nie napełniał już światem przeredzonego listowia, nie mącił ciszy, która w dni bezwietrzne rozsnuwała się wszechwładnie na mile. W uciszeniu uroczystem drżały dźwięki tak nikłe, że je zaledwie chwytął wyszkolony słuch myśliwego, lub zwierza. Chwiejny sypał się deszcz zwiędłych liści; nocne mgły obfite, skroplone we dnie, kapwały w bagna z gęsłowym pobrzękiem. To znów, gdy przymrozek zaskorupił na ziemi obszary usłane liściem, krok lisa chrupał po nich taktem całym, krok sarny lub zająca taktem trzycwierciowym. Czasami, niby grzmoty przez sen słyszane, dudniły głucho pochody dzików lub łośi, zbitych w stada — i przez *hradkę* zakrzaczoną migwały kłody czarne lub rude w solidarnem dążeniu do jakichś celów dla ludzkiego domysłu zakrytych. A na skrzyżowaniach dróg leśnych, na zarosłych okrajach polan stawał czasem samotny potwór najeżony szczecina lub koronny rogam, przybyły bez hałasu niewiadomo skąd, wyolbrzymiony w cieniu i widmową swą postacią nakazywał powszechną ciszę.

Ale zabiegi i pomysły ludzkie, niepomne nakazów

pór roku, nie uciszają się nigdy. Jakby przyroda nie była mistrzynią rozdziałów doby na dzień roboczy i noc spokojną, a roku na okresy radosnego święta życia i okresy mądrego przywykania do śnierzki — samowolny człowiek sprawia zgiełk i zamęt w przyrodzie, skoro ściga swe upragnienia wbrew wieczystym jej kanonom.

Oto tam, gdzie puszcza dotyka świata udeptanego przez ludzi, przy trakcie pocztowym, rozlegają się głośnie huk i zuchwał w świątyni leśnej rozhowory. Kilkunastu chłopów, z toporami w ręku, lub za rzemiennymi pasami, wałęsa się rozgłośnie po szeleszczących kobiercach liści. Ten palnie tępym odwrotem siekiery w zasiek dębu, żeby zbadać, czy drzewo zdrowy głos oddaje; ów mierzy okiem, do jakiej wysokości da się obrobić sosna na belkę; tamten wyszukuje przerzedzenia lasu, kędyby można zwalone pnie przewlec do traktu. Krążą, nieczuli na piękno, drapieżni owszem na zepsucie ozdoby puszczy.

To tracze i toporniki. „Czarny Demian“ nie kupił jeszcze pni na wyrąb, ale wie, że je kupi wkrótce, choćby się miał posunąć aż do żądanej przez właściciela ceny, byle tylko wrąbać się raz do puszczy, gdzie snią skarby złotodajne — byle „zrobić początek“ spustoszenia.

Mieszkający w pobliżu cisi smolarze, niekunsztowni przemysłowcy, którzy z pniaków dobywają sok, a rzadko kiedy powalą siekierą jaki wykrot lub „babe“ — wyleźli ze swych izb kurnych i przyglądają się zdaleka huczonym topornikom. Zostanie tam po ich przejściu pniaków cały cmentarz, będzie z czego pędzić smołę — niechby sobie jednak poszli do licha, albo gdzie dalej i nie psuli puszczy około chat naszych, gdzie każde drzewo ojcom i dzieciom znajome, a na jesionie jednym zjawił się przed laty święty Nikoła, a na sośnie tej i owej grał głuszec z ludzką duszą.

Zwierzęta leśne wszystkie wyniosły się cichaczem

ze zgiełkliwego miejsca, lecz obstały toporników daleko rozległym kręgiem, śledząc ich ruchy agatowemi soczewkami ślepiów. Tylko dziki oburzone, jak fuknęły i ruszyły z miejsca, tak i powędrowały wiorst kilkanaście, nie oglądając się za siebie. „A niech ich tam wilki poduszają, kiedy beczą jak barany! nam z nimi nie kompania — mało to lasu i żołądki i błota? mało to świata przed nami?“. Ale klempy płocze, a ciekawe, oddaliwszy się stadem, przystanęły za haszczami i zwiesiły rzędem rude swe lby nierogate, niby podłużne sakwy okrągło wypchane. Zasluchane w szereg dźwięków, namysłają się nad znaczeniem muzyki. Zając, nieprzytomny ze strachu, odsadził się niedaleko od toporników i przywarował w postaci tłustego wałka, ufając już tylko, że go podobieństwo barwne z płową pościelą kniei zasłoni przed oczyma strasznych ludzi. Nad miejscem pogwałcenia puszczy przekreślił powietrze płynący jak po linie kruk samotny, pokrakując grobowo; niby czarne liście, wionęły z drzew chrypliwe płaczki, wrony.

Kręcili się po lesie topornicy, oglądając przyszlą, nienakazaną jeszcze robotę — istne katy, któreby weszły w tłum, aby wybierać sobie ofiary. Jeszcze dalszą, bo aż wiosenną przyszłość obliczał Janko Szlaha, naczelnik flisów; zadzierał głowę, przepatrując aż do wierzchołków sosny, dłonią ścisnął brodę, jakby z niej wilgoć wyżywał, a zwisłemi ku policzkom powiekami poruszał, jakby za każdym mrugnięciem odkładał kopiejkę.

Aż słońce, choć zamglone, zaznaczyło południe i wszyscy leśni wędrowcy poczuli naraz tę godzinę w żołądkach; pora przyszła realnego na dzisiaj zajęcia, obiadu. Więc wszyscy razem, choć bez zmywy, usiedli na zwalonej, grubej sośnie, która miedzianą ławę rozciągała na dzikich aksamitach gruntu. Rozwinął każdy z chusty, co miał w kieszeni; przeważnie czarny chleb,

ktos kawał twardego, tłustego serca, ktos znowu ostygła, gotowaną kaszę. Nie dzielił się nikt z nikim, każdy jadł, co przyniosł. Ale chytry Szlaha usiadł obok tracza Babaryki, który miał chrzestne imię Adolf, nieprzyjemne do wymawiania, więc nazywano go ogólnie dobrze brzmiącym nazwiskiem. Szlaha zauważył uprzednio, że Babaryka wypchany był w zanadrzu ponętym jakimś kształtem, który macał od czasu do czasu, odsuwając od od niego zatknięte za pas drzewce siekiery. Więc, gdy się ktos odezwał:

— Uch! wódki by kapkę...

Rzekł Janko Szlaha:

— Pokaż, mileńki, co u ciebie tak spuchszy na froncie? — Wszak ty nie baba, a Babaryka — pokaż!

Tracz sam czekał tylko na sposobność olśnienia towarzystwa, zatem dobył z zanadra butelkę i przejrzał ją pod światło. Granica płynu przekreślała szkło w znacznym już oddaleniu od szyjki, bo i Babaryka miał oczy łzawe, a twarz rozpromienioną.

— Dawaj! — krzyknęło paru biesiadników, a wszyscy zerwali się na nogi i obstąpili tracza.

— *Paszli won!* — zagrział Szlaha oburzony, jakby bronił najświętszych praw człowieka — *sztó heto?* sobaki wy gończe przy odprawie, *ali chrystjanie?*

Uśmierzyła się kompania, zwłaszcza, że Babaryka przemówił obiecująco:

— Pomału, kumy! Jaż i dla was. —

Dobył z kieszeni maleńką czarkę wyrobioną z rogu, nalewał ostrożnie i poczęstował kolejno piętnastu towarzyszków, począwszy od Szlahi. Zostało trochę lubego płynu na dnie butelki, którą, Babaryka zatkał i schował.

Zawrzała teraz konwersacya, a prym w niej trzymał Szlaha.

— Daliby wy mnie po pięć kopiejek — prawil — tak ja odkryłbym wam, ile czarny Demian za kubik na kant obrobyony płacić będzie?

— Nu, ile? — przerwał szybko któryś dowcipniś.

— *Isz jaho!*¹⁾ Pierwej ty daj pięć kopiejek, potem powiem. Dawaj.

— Gdzie u mnie *ciapier* pięć kopiejek? I w chacie ich niema przed zimową robotą.

— A sam ty *wiedajesz*, Januk, ile Demian płaci? — wtrącił Muraszko Tomasz, niewierny na podobieństwo swego świętego patrona.

— *Jak mnie nie wiedać?* Toż ja z Demianem brat, przyjaciel. Tej wódki, co my z nim wypili, w jednej beczce nie pomieścisz, a kielbasy tak *wierno* sażeni dzie się zjedli.

— Wiadomo, kiedy on płacił — odrzekł Muraszko — *jonże ciapier pan!*

— *Jakoj-że jon pan?* i nie polak i uczerza tolko *zrabiusia*²⁾ — zauważył Naumowicz, „dworzanin“ podupadły.

— *Usio taki on pan* — upierał się Muraszko — *i w ristoran chodyć, nie to szto b's Janukom u lesie wodku piu*³⁾.

— A tobie kto powiedział, że ja z nim w lesie pił? — odparł Szlaha — w Kijowie na kontraktach my pokumali się.

— Nu, Kijów daleko — powątpiewano jeszcze.

Tymczasem Fedor Bojko poruszył kwestyę żywniejszą: czy czarny Demian płaci za robotę akuratnie? Zdarzały się bowiem wypadki, że umówioną z kupcem

¹⁾ Widzisz go!

²⁾ Jakież on pan? I nie polak i wczoraj dopiero zrobił się (powstał).

³⁾ A jednak to pan i do restauracyi chodzi, nie zaś z Jankiem w lesie wódkę pija.

cenę obróbki wypłacał dozorca, a jeżeli w łapę nie dostał, obliczał fałszywie, z krzywdą robotnika. Demian miał reputację bogacza, sknery i egoisty.

— *Koliby jon kamu czaho, a to jon nikoli nikamu niczaho — usio dla siabie chwataje*¹⁾.

— Lepiejby nam u samego Turowickiego pana robotę dostać. — —

— U Kotowicza? — podchwycił Szlaha — tak jaże u niego piewszy człowiek! Bywa, przyjde, za stół mnie posadzi, arbatą i pierożkami ugości, *tajny*²⁾ duszy swojej odkrywa.

— Kiedy już tak, powiedz nam, Januk, komu on las przeda i gdzie jego szukać, a to nam powiedziano tylko: las rąbać będziem, ale komu — nie wiemy — odezwał się prostoduszny i łatwowierny Babaryka.

— Ot, daj mnie, kum, jeszcze wódki łyknąć, tak ja powiem, i bez zapłaty.

Babaryka dobył flaszę, sam z niej pociągnął najprzód i podał ją Jankowi, który duszkiem wysączył całą resztę płynu. Patrzył ten i ów zazdrośnie na Szlahę, ten zaś prawil wesoło:

— Dobry ty kum, Babaryka, i dziękujcie wszyscy jemu, Babaryce, że mnie usta rozwiązał. Komu Turowicki pan las przeda, nam *wszystko równo*, tylko przeda, mówi, temu, kto da więcej. — —

— Ot powiedział! toż i my tak samo chytre, a wódki nie dostali — rzekł Muraszko.

— *A wiedziesz ty sam* Kotowicza zamysły — a? — zagadnął Szlaha.

¹⁾ Żeby on komu co, ale on nigdy nikomu nic; wszystko dla siebie chwytą.

²⁾ Tajemnice.

— Nu...

— Tak i *nie bresz!*¹⁾. Dzieła u niego zamysłowate, *dzienieg* jemu trzeba, tak on Demianu, nie Demianu, a las przeda i nam będzie w zimie robota. Nie ta nasza bieda, a ta, że nam płacą mało. Tak my postanowim między sobą cenę wyższą za obróbkę i za splaw, i nie ustąpić. Nas *ciapier* prosić trzeba, nie my ich. — Ot wam rada ważna — za twoją wódkę, Babaryka!

— *Ciapier tak rozumno każesz* — przyznał pierwszy Naumowicz.

Ale od dalszej dyskusji odciągnął uwagę toporników nowy ruch w lesie. Na trakcie stanął powóz z Turowicz, którego zbliżania się nikt dotychczas nie zauważył, z powodu ożywionej rozmowy, a z powozu wysiadł dobrze wszystkim znajomy „komisarz“ Juchniewicz, za nim dwóch panów obcego tutaj pozoru, gdyż nosili na sobie długie paltoty i okrągłe, czarne kapelusze, zwane melonami, właściwe wielkim miastom. Sam Janko Szlaha nie mógł się połapać, co to za ludzie — i nie żydy nawet, bo nie smutni, nie pyszni, owszem obyczajni i przyjemni. Gdy doszli do obozowiska, ukłonili się grzecznie, dotykając kapeluszy. Natychmiast szereg drabów zerwał się z powalonej sosny, na której siedział, i stanął jakby na rewie — w kubrakach, w półkoszulkach, w czapkach sukiennych lub baranich, przy siekierach — szereg pstrokaty, a jednak sharmonizowany zupełnie z ogromnem tłem puszczy, jednego z nią żywiołu i stylu.

— *Quelle rangée de faunes!* — rzekł jeden obcy pan do drugiego.

¹⁾ Nie szczekaj (nie ujadaj).

Zaczęli się porozumiewać z Juchniewiczem jakimś łamanym językiem, którego nikt z toporników nie rozumiał. Dobyli pōtem z kieszeni, z niewielkich futerałów, jakieś instrumenty mosiężne, nieznanne, rozwijające się w duże rozmiary, zaczęli je przykładać do niektórych pni i notować pilnie w książeczkach. Jeden z cudzoziemców dobył z kieszeni inny czarny, mały instrument, ścisnął go w ręce i wystrzelił z garści do przelatującej wrony, chybił oczywiście, ale zadziwił wielce toporników.

— Patrzaj: i bez lufy strzela — szepnął Babaryka do Szlahi.

Wogóle wszyscy ludzie miejscowi, jak powstałi z sosny, tak trwali na miejscach swych w szeregu słuźbistym, zamagnetyzowani przez dwóch przybyszów, którzy przynieśli z sobą tylko tajemniczy urok wyższej wiedzy i kultury.

Juchniewicz łąził to za jednym, to za drugim, z miną kwaśną, ciszej i godniej, niż go zazwyczaj widywano; przyznawał się wyraźnie do towarzystwa zagranicznych panów, nie zaś do chamów miejscowych. Wreszcie zeszli się we trzech, poszwargotali, a Juchniewicz odłączył się od grupy i zwrócił się szorstko do toporników:

— A wy tu skąd i od kogo przyszli?

Nie odpowiedział zrazu nikt, dopiero Janko Szlaha wysunął się naprzód i przemówił za gromadę:

— Mnie pan komisarz wszak nie pyta? jażę znamy. A z *drugich*, tak niektóremu czarny Demian powiedział, niektóry tak... *po ciekawości* przyszedł.

— Żadnej tu niema ciekawości, ani Demian tu rządzi, tylko ja. Oprócz Szlahi wszyscy wy toporniki — nie tak?

Odpowiedział jeszcze raz Szlaha za innych:

— Wszyscy — i same najlepsze z naszych — ja ich rekomenduję.

— Tak, jeśli który chce roboty na zimę, niech do mnie, do dworu, podejdzie. Pan Kotowicz sprzedał las oto tym panom. —

Wskazał oburącz na cudzoziemców, którzy tem większej jeszcze powagi nabrali w oczach toporników.

— Robota nowa będzie, na nową miarę — ciągnął dalej Juchniewicz. Panowie kupcy mnie zostawili instrukcyę. Tak, który chce, niechaj przychodzi do mnie. A teraz wynoście się won stąd!

— Da jakąż my panoczku krzywdę tu robim? Żyto zasiane depczem, czy tylkognię liście?

— No, Bóg z wami — rozchmurzył się Juchniewicz.

Zwrócił się do swych gości, porozmawiał jeszcze chwilę, poczem poszedł z nimi napowrót do powozu.

— *Bonjour, bonjour!* — żegnali wesolo toporników cudzoziemcy, wznosząc ręce do brzegów kapeluszy.

Odjechali. — Gromadka ludzi leśnych stała przez chwilę rozdziawiona, oprócz Szlahi, który odrazu skozystał z okazji popisania się i zaczął dowodzić:

— Nu jakże? nie wierzyć mnie?! Kupcy nowe, a naszej roboty im trzeba. Tylko teraz mnie słuchać i od ceny nie ustąpić!

— *Maładziec*¹⁾ Januk — rozrzewnił się kum Babaryka — *jon usio znaje: i szto Demian dumaje, i szto Kotowicz dumaje; jonże nas i nowym kupcom rekomendował.* — Byłaby u mnie jeszcze wodka, dałby ja tobie, Januk...

¹⁾ Zuch.

Załzawionemi oczyma przejrzał butelkę, potem ją z całego rozmachu trzasnął o pień:

— *Kaby* ty próżna nie żyła!

Śmiali się kamraci, jedni z podchmielonego Babaryki, drudzy z nadmiernej pochwały zasług Szlaha. I zaczęli się namyślać nad tem, jakiej narodowości mogli być nowi kupcy.

— Nie żydy, nie — zdanie było ogólne.

— Pewno niemcy — domyślał się Muraszko — mało to ich u nas? *Usiudy lezuć*¹⁾.

— Ot znowu, *koliby* nie ja, w ciemności ostaliby się — rzekł Janko Szlaha.

— *Nu i każy, koli wiedajesz*²⁾.

— Oni *prancuzy*. — —

— *Kudy!* takie u nas nie bywają.

— Bywali sto lat *temu nazad* — podchwycił Naumowicz — od dziada rodzonego słyszał ja. Naród sławny, tylko co naszego mrozu cierpieć nie może, a toby my wszyscy byli pod Napoljonem. — — —

Puszczą, o świecie nic nie wiedząca, znalazła przecie to imię. Poruszyły liściem stare dęby na znak, że pamiętają.

Ale Szlaha zajmował się tylko życiem bieżącym:

— *Koli* oni z nami na *bonżur zdarowiliś*³⁾, tak oni *prancuzy*. Widywał ja takich w Kijowie i z nimi pił. Język ich trudnowaty, w głowę nie lezie. *No bonżur znaju* — znaczy: *zdarou, kum!* Ludzie dobre i wesołe. Kiedy oni

1) Wszędzie widać

2) No i mów, kiedy wiesz.

3) Witali się.

las kupili, tak ja z lasem do nich popłynę. Po wodzie *usiudy papadziosz*¹⁾

— Przez morze ty chcesz tratwą płynąć, Januk?

— Na *dub*²⁾ siąde; albo i na parowiec. Wody wielkiej mnie trzeba, *matrosów*³⁾ do kompanii, a nie durnych z wami rozhovorów.

Przeciagnał ramiona i huknął, tak go duch ciekawy i niespokojny ponościł.

1) Wszędzie trafisz.

2) Dąb = wielka łódź.

3) Marynarzy.

XX.

Z Osowskiego wybrzeża, ze wzniesionej dość znacznie nad poziom jeziora strzelnicy gołębi, Renia puściła wzrok po ogromnych rozlewach Kniazia. Zamydlona pianą, przychodziła fala do brzegu brudnymi zagonami. Wisiał nad nią strop nieba bezkształtny, obrywający się tu i ówdzie szmatami. Śnieg czuć było w powietrzu.

Renia obcisnęła na sobie półszubek, zziębnięte ręce zasunęła w rękawy i wypatrywała zielonej niegdyś wysepki, tej, na której poczęła się historia jej nowego życia. Zaledwie widoczna na zaciemnionych mętach, wysepka wyglądała jak rozbity kosz ze rdzawej wikliny. Prawie niepojęte wydawały się w tych samych zarysach: szafiry wody, maje krzaków i groźna, ale ciepła i ukochana burza! — Żaloba na wodzie, na ziemi i na niebie — i w sercu więzienna ciemność, gdyby nie ta gorejąca w niem lampka panny mądrej, która ufa, że od Boga pochodzą wszystkie dni człowieka: i piękne, wiosenne i ciężkie, zimowe — tamte aby stworzyć cud miłości w sercu człowieka Reni, te — aby zahartować wiarę jej i dzielność. — A może w miłosierdziu swem i wszechmocy Bóg raczy natchnąć miłością, nawet w zimie, jedno dalekie, upragnione serce człowieka — Edwarda? — Nie poświęconemi słowami, ale świętą myślą modliła się dziewczyna, stojąc nad czarną wodą.

Splószył ją szmer kroków. Obejrzała się ku dworowi. — Przystąpił do niej Jaś Dowbutt.

— A ja zgaduję, o czym panna Renia myśli...

— Doprawdy?...

— Jestem psychologiem. —

Spojrzała bez ironii na studenta, oczyma oderwanymi od tajemnych namysłów, przeto obcemi.

— Czy pan słucha takich wykładów?

— Nie: jestem psychologiem z intuicji. Dostyc m zobaczyć panią — przypomnieć ten krajobraz, nastrój... Duża łódź, mała łódeczka, burza na jeziorze...

— Ach tak... — uśmiechnęła się blade.

— A widzi pani — zgadłem!

Renia nie potwierdziła, ani zaprzeczyła — zamilkła. Więc młodzieniec, który miał pretensję do przenikliwości, postarał się dowieść ubocznie i delikatnie, że się nie omylił.

— Gdyby pani chciała, możnaby popływać i dzisiaj? — ja powiozę — ja wiosłuję przynajmniej tak dobrze, jak pan Edward. Wybrałem się raz z kolegami na morze Bałtyckie — o, taką łódką, jak ta, nie większą — na ratowanie załogi żaglowca, który nabrał wody. A morze było mocno wzburzone; zawsze Kniaź — to nie morze!

— I wyratował pan kogoś? — zapytała Renia z większym zajęciem.

— Ech, jednego tam pijaka! — bo inni wsiedli przedtem na parowiec, który podpłynął.

— Zawsze to pięknie, panie Janie.

Uczyniło się Jankowi przyjemnie i z tem lepszą fantazyą namawiał do wyprawy na jezioro. Ale Renia stanowczo nie chciała:

— Zimno, panie.

— To... zejdźmy na sam brzeg i poszukajmy muszli — są czasem bardzo ciekawe.

Na to zgodziła się Renia. Więc poszli na najniższe wybrzeże, gdzie fala raz po raz wdzierała się cienkim, zapienionym ozorem, hucząc, potem znów cofała się ze zjadliwą chrwpą złego psa, który nie może skoczyć po za granicę trzymającej go uwięzi. Czasami fala śmielsza już już miała podmyć nogi dwojga młodych, ale oboje zwinni, cofali się wstecz szybkim klusem, nie dając się ogarnąć.

W tem miejscu, na pasie spornym między falą i murawą, była mozaika ze szlifowanych kamyków, gładko wtłoczona w muł płowy, a między nią, wzorami kwiecistymi, barwiły się żebrowane grzbiety muszel żółte i czarne, lub wnętrza ich perłowe, opalowe, różane — błyskotki, którym tylko mnogość ich niezmierna zagrodziła drogę do godności klejnotów. Jednak czuli na piękno mieszkańcy okoliczni lubią muszelkami nasadzać ramki i pudelka, a okazy większe i radsze dostępują zaszczytu spoczywania u ludzi znacznych pod lustrem, na pokrytej białym haftem komodzie.

Janek i Renia zajęli się pilnie poszukiwaniem czegoś nadzwyczajnego w miryadzie wdzięcznych kształtów i barw delikatnych; coraz to które schyliło się, uszczknęło jakiś ułamek twardego kobierca, ale poznawszy rzecz popoliłą, ciskało napowrót o ziemię. Renia znalazła nareszcie coś godnego uwagi: kamyk gładki i różowy w kształcie serca.

— Niech pan patrzy: zupełnie serce!

Student zauważył uśmiech, którego dawno już nie widział na twarzy Reni i odrzekł gorąco:

— To ja je złożyłem pod stopy pani. — —

Ona trochę się zastanowiła, potem dobry jej uśmiech zaigrał figlarnie:

— Ależ to chyba serce ptaka?... i z kamienia.

— Mówi się przez metaforę — odrzekł Dowbutt, pokrywając rumieniec gestem, który usiłował być godny.

— Ej, panie Janie, mówmy po dawnemu — dobrze?

— Jak pani rozkaże...

Renia trzymała w ręku różowy kamyk, przyglądała mu się z namysłem: co z nim począć? — Schować go, po tej rozmowie — toby coś znaczyło — — Nie chciała tego znaczenia. Jednak przez wrodzoną dobroć nie chciała też urazić przyjaznego chłopca.

— Eh, to wcale nie serce... tylko z jednej strony tak wygląda, a z drugiej, niech pan patrzy — jak śliwka.

I podała kamyk Jankowi. — On go wziął nerwowo, zamachnął ramieniem i puścił kamyk po powierzchni wody. Zawarczał, odbił się o falę raz — i utonął.

Ale po tej wymianie... metafor odechciało się obojgu szukać muszel.

— Niema tu nic osobliwego — chodźmy do domu.

Dowbutt skłonił się tragicznie i w drodze powrotnej do dworu zaczął ni stąd ni zowąd wykład o Bergsonie, którego „Ewolucję twórczą“ właśnie czytał. Choć referat nie bardzo kleił się studentowi, Renia słuchała uprzejmie i z uznaniem. Ale dwór był blisko jeziora, a przedmiot nie dawał się wyczerpać w kilku zdaniach — i młodzi, wchodząc do pokoju, pochłonięci zostali przez wcale inne wrażenie.

Od progu zamilkli i zbliżali się cicho do salonu, skąd doszedł ich wyraźnie gwałtowny, choć stłumiony głos Bronisława Dowbutta:

— Na całe życie, moja najdroższa! jedyna! —

Janek chrząknął, Renia przyspieszyła kroku i ujrzeni wkrótce Bronka siedzącego przy Marcelce na kanapie. Zdawało się nawet, że on zerwał się z kłęczków, gdy usłyszał kroki. Teraz znowu, na widok wchodzących, powstał szybko z kanapy i przeszedł się po pokoju.

Marcelka zaś siedziała nieruchoma, z przymkniętymi oczyma. Po chwili dopiero odezwała się:

— No więc, czy kończymy tę partycję szachów, czy nie?

I parsknęła nerwowym śmiechem.

— Kończymy... albo nie — — zdaję się na łaskę — jestem pobity... podbity — miotał się Bronisław w odpowiedziach bez sensu.

W pokoju było radośnie i dramatycznie zarazem. Nikt nie mówił głosem, zastosowanym do treści słów. Renia spoglądała zdziwiona po obecnych. Trwało to krótko, bo Marcelka chwyciła młodszą siostrę w pól i wyprowadziła do dalszych pokojów. Bracia zaś także mieli sobie coś pilnego do powiedzenia.

W pokoju, gdzie obie razem mieszkały, Renia przystąpiła niecierpliwie do indagacji siostry:

— Więc cóż? — co się stało? — powiedział papie?

— Jak to: papie?! Mnie samej powiedział.

— Ach, czy to się tak robi? — najprzód pannie?

— Ależ, Reniuś! przecie to o nas chodzi, nie o papę!

— Więc dobrze. Poprosił cię o rękę?

— O rękę? — tak, już dawno, na wszystkie tony. Ale dzisiaj nareszcie mnie przekonał.

— Więc jesteście zaręczeni?! — bo papa zgadza się, wiem napewno.

— Jeszczeby też! — parsknęła Marcelka — właśnie to mnie odsuwało od Bronka, że papa go sobie życzy za zięcia. Papa nas uważa za niewolnice, które może oddać komu chce...

Renia nie była tego zdania, ale ominęła dyskusję, aby się cała oddać radości. Tak, czy inaczej, wynik był upragniony i jeden z serdecznych zabiegów Reni zakończony szczęśliwie: Marcelka wychodzi dobrze za mąż!

— Marceleczo moja! jak się cieszę! —

Zaczęła całować siostrę raz po raz po twarzy, jak dziecko, które chce zaznaczyć swe mocne kochanie — aż prawie zmęczyła się i przestała.

— Jak ty się dzisiaj uperfumowałaś inaczej? — zauważyła naraz.

Marcelka zastrzygła rzęsami:

— Nie... zdaje ci się... a może zresztą? — tak długo siedziałam dzisiaj obok Bronka, że może to jego perfumy? — zaśmiała się zmysłowo.

Zamiast starszej, młodsza siostra mocno się zarumieniła, gdyż zrozumiała formę dzisiejszych oświadczeń. I Marcelka nie chciała się tłumaczyć, więc zmieniła rozmowę:

— Teraz na ciebie kolej, Reniu. Masz tu przy sobie chłopca, który się w tobie kocha. Że trochę młody — cóż to szkodzi? Ma 21 lat, zawsze trzy lata więcej od ciebie — taka sama różnica, jak moja z Bronkiem. Bardzo dzielny chłopiec ten Jaś — i przystojony.

Renia odsunęła się od siostry z przerażeniem:

— Jak to?! i ty, Marcelko?! — przecież ty wiesz! przecie z tobą tyle mówiłam!

— Tak nie można, Reniu. Nie można gonić za kimś, który od nas ucieka. Gdzież jest twój pan Edward? jaki ci dał znak życia od trzech miesięcy? Przecie i ja kochałam się, jak głupia — — na szczęście tamten wywie trzał mi z głowy. — — Powiem ci jeszcze jedno, co powinnaś wiedzieć, bo przecie wkrótce będziesz zmuszona wybrać sobie kogoś: trzeba wybrać takiego, żebyś miała pewność panowania nad nim... Poddawać się jakiemuś panu i władcy — to szaleństwo!

Renia słuchała z widoczną przykrością. Nie dziecięcy upór, raczej niezłomne, serdeczne przekonanie znać było na jej twarzy przybladłej. Rzekła dobitnie:

— Nie tak mi śpieszno do wyjścia za męż. Mogę gospodarzyć dla was wszystkich w Kureniczach jeszcze długo — — może i zawsze, jeżeli...

— Jeżeli *on* nie zechce? — podchwyciła Marcelka.

— Tak, jeżeli *on* nie zechce — potwierdziła Renia.

Błysk ciemny zagrał w jej pięknych oczach i trwał — nie buntowniczy, lecz słodko a przemożnie zniewalający. Starsza siostra skłoniła głowę przed niespodziewanym majestatem kobiecym, który się objawił w małej Reni.

— Ha, w takim razie mogę ci tylko życzyć, abys doczekała, czego pragniesz. — —

— Tak, Marceleczo! ty przecie życzysz mi najlepiej? Ty sobie tak, a ja po swojemu — prawda? Jak ja się cieszę, żeś ty szczęśliwa!

* * *

Antoni Olesza i Justyn Sas, jako wuj młodych Dowbuttów, prowadzili w zamkniętym pokoju trudne obrady. Nie były to bynajmniej targi; sąsiedzi, pewni jeden drugiego, jak siebie samych, wiedzieli, że Kurenicze przypadną kiedyś w równym dziale dwóm Oleszankom, Osowa zaś — braciom Dowbuttom. Małżeństwo Bronisława z Marcelką było w zasadzie uplanowane, młodzi jawnie już godzili się z sobą; ta kombinacja zapowiadała się dobrze. Ale wcale inaczej stała sprawa z „postanowieniem“ Reni. Ojciec Olesza nie był tyranem, żył i pracował dla córek; ale rozumiał ich szczęście po swojemu i przy niektórych na tę materję poglądach upierał się stanowczo. Gdy mu się udało, i to łatwo, odprowadzić Marcelkę od poprzednich, nedorzeczných zamiarów małżeńskich i urządzić nowy, pomyślny związek jej z Bronisławem, mniemał, że podobny system uda się z

Renią. Ale tutaj trudności zaczęły się piętrzyć. Renia nie dała po sobie żadnego pozoru zapomnienia Edwarda Kotowicza, a była ona może równie uparta, jak ojciec, choć tak słodko przekonywająca do swych uczciwych i gorących uporów! Renia była przytem „skarbem w skarbcu“ rodzinnym, osobą najcenniejszą, choć oddaną wszystkim na usługi. Renia musi być szczęśliwa, bo gdyby jej oczy przygasły, a głos przesłonił się niezadowolaniem z życia, jużby i życie ojca Oleszy straciło wszelki urok. — — Więc pan Antoni nie miałby nic przeciw Edwardowi Kotowiczowi — owszem, ten zięć w innych warunkach możeby mu dogadzał i pochlebiał — ale się go bał z powodu wielorakich niepewności, co do jego osoby i zamiarów. Zaprojektował zatem na męża dla Reni kogoś, jak mniemał, dużo pewniejszego, lepiej znajomego w każdym razie — Jasia Dowbutta. Kombinacje praktyczne były w tym projekcie doskonale zapewnione — jedna tylko wątpliwość: czy zgodzi się na to Renia? — A to, pomimo powagi i doświadczenia ojca, pomimo nawet jego uporu, było najważniejszym, choć zaledwie przyznanem zagadnieniem w jego sercu.

Justyn Sas, wtajemniczony w te plany — bo przecie na propozycje Oleszy sprowadził wszystkich zainteresowanych do Osowy — znalazł się w bardzo trudnej, niemal dramatycznej rozterce uczuć. Kochał idealnie Renię, czuł szczerą przyjaźń dla Edwarda, był też serdecznie przychylny młodszemu siostrzeńcowi. Ale wzięty obecnie na spytki przez Antoniego Oleszę, także szanownego przyjaciela, musiał wiele ze swych zdań i powiadomień tać, zwłaszcza wobec głębokiego przekonania, że Jaś, dobry, ale niedowarzony jeszcze chłopiec, nie byłby wcale odpowiedni dla Reni. Przeciw naleganiom Oleszy, aby wyjawiał swoje zdanie, znalazł jeden tylko dosyć silny argument:

— Jakaż tu pilna potrzeba, panie Antoni? Renia zaledwie ma lat ośmnaście, Jaś błazen jeszcze — niech myślą o sobie ile chcą i niech czekają!

— Miałbyś słuszość, drogi Justynie, gdybym nie widział, że Renia myśli ciągle o Kotowiczu. Zbladła mi, schudła...

— Kiedy myśli o innym, tak jakżeż chcesz ją gwałtem za mąż wydawać?

— Nie; ale można kierować ku temu; od tegośmy starsi i rozsądniejsi.

— Ej, panie Antoni! młodzi mają do swoich spraw lepszy instykt.

— Takby się zdawało, zwłaszcza kiedy mowa o Reni. Dziewczyna bystra... Ale jej nie poznaję w tym wypadku — Kotowicz pod wielu względami niebezpieczny. —

— Skąd znowu? — Człowiek nasz, z najlepszej gliny. Trochę się uwikłał w interesach zagranicą, ale wyrobił się. Turowicze wszak obaj znamy — Golkonda!

— Tak, las piękny i folwarki niezłe — odrzekł Olesza, czuły, pomimo wszystko, na dobro materialne — ale cóż po tem, kiedy on pięknego poranka może to wszystko sprzedać za bezcen, albo i w karty przegrać — bo gracz jest, jak słyszałem.

— Już nie gra i grać nie będzie; obrzydło mu to razem z całym trybem dawnego życia — zapewniał Sas gorąco. — Kręci się, zabiega, pracuje... Wszak wiesz, że francuzów tu sprowadza i fabrykę leśną zakłada?

— Toż i tym francuzom całe Turowicze pewno sprzeda, a sam gdzieś zagranicą zapadnie. —

— Nie sądę... nawet mógłbym założyć się, że nie... Pisał do mnie z Paryża — jest w zamiarze powrotu i dalszej pracy na swoim. — — Wszak odemnie, z Osowy,

wyjeżdżał do Paryża; stękał trochę, że go długi duszą, a interesy postępują nie tak szparko, ale był usposobiony energicznie i ani myślał o sprzedawaniu całych Turowicz. Owszem, polubił je — — gospodarzyliśmy tam z nim, planowali, urządzali...

Sas mówił bez zwykłej werwy, dobierając co tylko mógł, na korzyść Edwarda. Ale sam miał niektóre wątpliwości co do jego obecnych działań. Pamiętał, że Kotowicz wyjeżdżał za granicę wzburzony, zrozpaczony prawie matactwami pani Teo, krytyką hiszpana, — żądny zemsty raczej, niż normalnego wybrnięcia z zawikłań. W takim usposobieniu łatwo popełnić szaleństwo. Nie wiodła się obrona Kotowicza Sasowi wobec Oleszy, którego nurtowały, oprócz wątpliwości, wyraźne wstępy do sposobu życia turowickiego pana.

— Jego tam zagranicę ciągnie co innego, niż interesy. Już ja coś o tem słyszałem. — —

— Co słyszałeś? — nadstawił Sas ucha.

— Jakaś kobieta, mężatka... którą on podobno chciał rozwieść?

— Et, bajki, panie Antoni! Ani on ją rozwiedzie, ani nawet do niej powróci. Zwykle grzeszki młodości.

— Tem gorzej, panie Justynie, jeżeli to tylko romans.

— A dajże pokój, panie Antoni! — obruszył się Sas jowialnie. Dzieciom opowiadaj takie rzeczy, ale nie mnie, staremu przyjacielowi! Sam jeszcze grzeszyć nie przestałeś, ręczę — cóż dopiero on, lat trzydzieści i pełen zapału! A panie-ż mój! gdzież on to podzieje?!

Olesza nie śmiał się, ani się stropił. Pragnął zostać zrozumiany dokładnie:

— Tak, człowiek jest ułomny. Jednak tu awantura niesmaczna: romans z żoną przyjaciela, podobno — — i,

jak się od ciebie dowiaduję, bez zamiaru uświęcenia tego związku?

— Dzięki Bogu, że bez takich zamiarów! A tożby się ubrał! Baba z piekła rodem, kokietka tragiczna i w dodatku — wyznam ci, co mi się zdaje — ciągnie go, podnieca aż do szaleństwa — i trzyma go na dyecie.

— To ją znasz?

— Nie znam, ale według rozmów z Edwardem i z fotografii uprzytomniam sobie; spotykałem ten gatunek: zepsuta do szpiku i — uczciwa.

— Jakto? co to znaczy? — zachnął się Olesza — wszak to kontradycya bez sensu! — A zresztą niech ją tam!... tylko zrozumiesz, drogi Justynie, jak ciężko *przychodzi się* ojcu myśleć, że jego córka zajęta jegomością, który ugania się za podobnymi kobietami.

— Nie ugania się już wcale. Dawał mi słowo, że nie do niej pojechał, lecz dla interesów — ma tam długi do płacenia, przysłał wreszcie francuzów tutaj do lasu...

— Tak, tak — ale ona wszak miała przyjechać do Turowicz?

— A ty skąd to wiesz, panie Antoni?

— Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi, a prawie i co myśli. — Dom urządza, siodło damskie kupił...

Wykręcał się trochę Olesza, nie chcąc zdradzić zaufania Reni, od której pierwszej dowiedział się o przyjeździe tej podejrzanej „narzeczonej“. Potem zbierał sam wiadomości, zaniepokojony o przyszłość córki.

— Kiedy tak już wszystko wiesz, panie Antoni, to ci jeszcze powiem: puścił najwidoczniej w trąbę tę panią Teo...

— Teo? — cóż to za imię? — Teodora, Teofila — niechby wreszcie Teopompa, jak ta powieść naszego Kurebieszka... ale Teo? — — Wszystko razem wstrętne. —

Mów, co wiesz, panie Justynie. Wszak nie dla plotek, ale dla naszego dobra.

— No więc też. Zamówił u mojego stolarza różne meble i mebelki — teraz cofnął zamówienie. Byłem i w Turowiczach temu parę tygodni, bo mnie prosił, abym dojeżdżał. Napisał do Juchniewicza z poleceniem przerwania robót w domu — a były tam w projekcie damskie wymysły. Dowody oczywiste, że nie myśli już o przyjeździe tej tam pani.

— Lecz może z nią siedzi gdzieś zagranicą, bo dlaczegożby nie wracał tak długo?

— Interesy, mój drogi. Ale żeby przy niej był — nie sądzę — mówił Sas zupełnie szczerze, jednak nie stanowczo.

— Kiedyż miałaś list od niego?

— Dosyć dawno, z Paryża. Ja sam nie dobrze rozumiem — — może niezdrów.

Olesza rozważył nowy argument i wysnuł z niego nowy zarzut przeciw Edwardowi:

— I to jeszcze: chyrlak!

— Nie gadaj źle o chyrlakach, panie Antoni! Chyrlak pobije niejednego atlete, nie na pięści, ale w grach subtelniejszych — bronił Sas Kotowicza, a ubocznie i siebie. — Konno, to konno, piechotą — to piechotą. Człowiek dzielny, tylko przymęczony chwilowo. — — Zobaczysz, jak on się jeszcze na naszym gruncie rozwinie. — —

Olesza zamyślił się — cmoknął potem niecierpliwie i rzekł, podnosząc głowę dumnie:

— Namysłamy się nad panem Kotowiczem, jakby kwestya tak była postawiona: przyjąć go, czy nie przyjąć? — Ależ on nietylko się nie oświadczył, lecz nie dał do zrozumienia, że się stara o Renię. Tymczasem za-

wrócił jej w głowie, poczynił jej jakieś zwierzenia, niewłaściwe i bezcelowe. — Tak się nie robi, panie Justynie!

— Cóż ja tu winien, panie Antoni? — odrzekł Sas, dotknięty tonem wyzywającym Oleszy.

— Toż ja nie do ciebie, zmiłuj się!

Tymczasem weszła żwawo do pokoju młodzież. Bronisław i Marcelka szli, trzymając się za ręce, uroczyście. Nie trudno było zgadnąć, co powiedzą ojcu i wujowi. Za nimi szła Renia rozpromieniona, jak za dawnych, dobrych czasów.

Brakowało Janka. Ten, po krótkiej rozmowie z bratem, poszedł do swego pokoju i otworzył książkę Bergsona. Ale filozofia nie pociesza tak doraźnie zranionego serca, jak naprzykład przychylnie spojrzenie lub uścisk ręki ukochanej. Jaś oderwał się zaraz od czytania i patrzył w okno, przez którego szyby przeciągały brudne plamy zachmurzonego zierzchu. Myślał, że Renia, ta cudowna Renia, jest jednak... pospolitą kobietą. Bo gdyby nią nie była, przeczułaby, że Jaś ją kocha pierwszą, gorącą miłością — i toby ją rozrzewniło najprzód, potem przekonało, nareszcie pociągnęło. — Ale ona nie może zapomnieć tego zagranicznego fanfarona, dlatego że co? — że on dobrze gada po francusku, że bogaty i że udaje arystokratę. — Ach, ta kasta strupieszala, kiedyż świat wyzwoli się z pod jej węzowego magnetyzmu? — Trwa od początku dziejów ludzkich, ale jutro tego nie będzie! — my, ludzie nowi, jesteśmy inni. My śmiało spoglądamy w błękity i w truny, burzyciele przesądów i... (czegoś tam) zwiastuny. — —

Janek chwycił ołówek i zaczął pisać wiersze na cały stary porządek świata oburzone. Pisał długo, przy doga-

sającym dniu i przy lampie, a gdy galop jego myśli obleciał wszechświat i wrócił do punktu wyjścia, do „Tej, która z formą grecką łączyła duszę drobną, martwą, staroświecką“ — zadzwoniono właśnie na wieczerzę.

Student przetarł zmęczone oczy mokrym ręcznikiem, aby nie dać po sobie pozorów, że płakał.

XXI.

Głos dzwonka rozwlekał się jednostajnie po zaśnieżonej powszechnie ziemi — i tak już dawno, że stał się w uszach Kotowicza jakoby głosem przyrodzonym kraju, do którego powracał. Wązkie sanki, zaprzężone koń — przed — koń, sunęły głęboką bruzdą przez śnieg nieurtarty. Druga podwoda, wioząca kufer z paryskimi nalepkami na białoruskich „rozwalinach“, poprzedzała pański wehikuł i torowała mu drogę. Mróz bez wiatru niezbyt dawał się we znaki nawet w polu, bo świat był ze wszech stron strzeżony przez puszcze i rzadko droga z nich się wywijała; gdy zaś wysoki las ją ogarniał, droga mniej zaśnieżona i miliony ciemnych konarów otułały podróżnego cichą opieką, że bez futra mógł się wtedy obyć. Zawsze jednak rad był Kotowicz, że do stacyi kolei przysłano mu z Turowicz niedźwiedzią, ojcowską szubę na plecy i wilczurę pod nogi. Siedział więc w sankach nieczuły na zimno, znieczulony nawet na utrudzenie podróże, bo go rzeźwe powietrze owiewało szerokim dobrobytem, karmiło pożywną ciszą: dzwonek tylko gadał równo, jak zegar, mierzył coraz bliższą odległość od rodzinnego domu, nabrzmiał radością, gdy wjechał już w granice turowickiego państwa. Jak daleko zapadł się czas, gdy Edward odbywał tę samą drogę, w tym samym przecie roku, na wiosnę! — — Czyścem smutku i pokuty wydał mu się wówczas ten kraj, przeciw którego spokojnej harmonii buntowała się jego dusza, pełna

pożądliwych dysonansów. Dzisiaj, choć przepojony nową seryą wrażeń zagranicznych, dążył niecierpliwie i miłośnicie do swojej puszczy, jako do miejsca lubej nagrody za wytrwałą walkę. Upragnienia jego na wspak się odwróciły: tam teraz była choroba i śmierć, którym się wyrwał: tutaj — kochane życie.

Już zarysy lasu przy trakcie uśmiechały mu się, znajome i własne, choć wychudzone i poblądłe na tłach śniegowych i na mlecznym niebie. Puszcza, mniej pyszna, pozwalała wglądać głębiej w swe częstokoły pienne i zawikłania chruściane, jednak wzrok gubił się w nich i opierał wszędzie o masy cieniu zamglone, szarofioletowe. Cieszył się Kotowicz, gdy mu jakiś szczegół przypominał letnie wrażenia: to sosna rosochata przy trakcie, niezmienna w swym kształcie olbrzymiej sterty igliwia, to znów dymek żywiczny, ciągnący od osady smolarzy. Na świeżym śniegu nie widać było wcale tropów zwierza, tu i ówdzie tylko głębokie ślady kroków ludzkich. — Ach! to przecie las przeznaczony na wyrąb! — przy tym trakcie stanie wkrótce fabryka. — Przez jęk dzwonka od sank, który napęlniał, jakby marzeniem dźwięcznym, atmosferę, Kotowicz starał się dosłyszeć, czy tam rąbią w lesie? — Odzywało się coś w oddali, niby zaciekle szczekanie siekier. — Ale mogło to być także kucie paru dzieciółów w pobliżu drogi. — Nagle dźwięk wyraźny rozdarł ciszę: zrazu trask, szum wzmagający się, potem grzmot niski i krótki, aż drgnęła ziemia i spłoszyły się konie. — Tak, niewątpliwie: rąbią, walą las!

Kotowicz poczuł niespodziany odruch żalu, który przytłumił natychmiast rozumowaniem. Nie będzie wkrótce lasu przy trakcie, to prawda, ale zakwitnie wielka kultura. Powstanie folwark i osada fabryczna; jest nawet w projekcie droga żelazna własna, która poprzeczyna lasy, nałoży na nie normalny podatek, wywiezie w dal

ich daninę w postaci posadzek, fornierów i pudełek, z czego większy będzie dla kraju pożytek, niż z naturalnego umierania starych pni na mszystej pościeli, z owych „zawałów“, ukochanych przez poetów, malarzy, myślicieli i innych darmozjadów. A puszczy zostanie jeszcze przy Turowiczach moc wielka, nieprzejrzana. I królewska zwierzyna powróci do zagospodarowanego lasu, pogodzi się z nowym porządkiem — Nie widziano to w lasach Kieniewiczowskich, posiatkowanych przez drogi żelazne wążkotorowe, głuszca grającego na słupie telegraficznym?

Sanki wsunęły się już w poczworną aleję brzożową, tę, w której Edward umieszczał najczęściej swe rozmyślenia o gnieździe poleskiem. Strzeliste brzozy piękne były i w zimie, potężne w pniach a lekkie i misterne w koronkowych przezroczach gałęzi. Stąd już Ptycz przebłyskiwała w lecie — teraz tylko jej brzegi, tu i ówdzie równo odcięte od krzewów, dawały poznać kierunek rzeki zasniezonej, jak reszta świata, nieco tylko odbijającej od okolicy niepokalanością swej bieli. Zato poznać było można z dalszej odległości dwór, leżący poważnie na płaszczyźnie, przekreślony miotłami sadu, ale zalotny wszystkim, co tylko miał barwnego na sobie: tu srebrem szyb, tam czerwonymi daszkami ogrodzenia, wreszcie dymem stalowo-szarym, snującym się z kominów. Oczekiwano, widać, dziedzica, palono na gwałt w piecach. Edward spodziewał się też zastać tutaj Justyna Sasa, którego przez depezę zaprosił do Turowicz na dzień swego przyjazdu.

Nie zawiódł się: Sas i Moroz oczekiwali u podjazdu. Nikt nie podniósł głosu, nie wyraził powitania bardzo okazałym gestem. Edward po wydobyciu się z futer uściśnął obu przyjaciół. Pan Justyn ledwie panował nad wzruszeniem, ręka mu drżała, a słowa więzły w gardle. Obejrzał rozrzewnionemi oczyma całą postać Edwarda,

która jasno wyrażała tryumf, i zdobył się dopiero na pierwsze wyrazy:

— No, chwała Bogu! —

Zanim się podzielili nowinami, wiedzieli już, że są na ogół pomyślne, i poszli do jadalni, aby się napić rodzinnej starki.

— Tak więc cóż? — zapytał wreszcie Sas — skończone?

— Spokój jest — odpowiedział Kotowicz, przeciągając z lubością utrudzone ramiona — zapłaciłem hiszpana i wszystkich żydów; inne długi tak skonwertowałem, że będzie je płacił *Crédit Lyonnais* z rat umówionych z kupcami za eksploatacyę lasu. Dali grubą zaliczkę. — Fabrykę postawią swoim kosztem, prowadzić ją będą dla siebie przez lat dwanaście, biorąc drzewo po umówionych cenach, aż do amortyzacyi zaliczki; potem fabryka zostaje moją własnością. Umowa krótka, ale jasna...

Opowiadał dokładnie i treściwie, jakby przesiąkniętą praktycznością ludzi z nad Sekwany.

— I co najważniejsza! — dodał z radosnem ożywieniem — że oni nie potrzebują wyborowego starodrzewiu na swoje wyroby. Pójdzie najprzód pod wyrąb las przy trakcie, ten — wiesz? — przy smolarzach. Tam założymy nowy folwark. A wszystko, cośmy wycechowali na Dzierczy, na Ciecieniukach, najpiękniejsze okręgi — zostają przy mnie. Mogę ich nie tykać, albo sprzedać tylko wybór z wyboru — nie potrzebuję śpieszyć się. Uważasz, Justynie?

Wychylił drugi kieliszek ojcowskiej starki, jakby za pomyślną przyszłość tej puszczy, która urządził, obronił i otoczył nareszcie męską opieką.

A Sas sięgnął też drżącą ręką po kieliszek i odezwał się z uznaniem:

— Ot, zuch z ciebie, Edwardzie! wiedziałem ja, mówiłem...

— Co?— rzekł Kotowicz bez fanfaronady, ale z młodą, dzielną energią.

— Zuch!— powtórzył Sas z przekonaniem— i nie myślałem nawet z początku. Niech teraz Czarny Demian przyjedzie do nas prosić, zamiast coby my do niego Dawaj za trochę drzewek tyle, ile dawałeś za całe Turowicze! A nie— tak jedź sobie na złamanie karku! Teraz pan z ciebie, Edwardzie. Pojechał, przepadł, ale powrócił z inną miną. — Cóż jednak tak długo robiłeś zagranicą?

— Musiałem przecie najprzód wynaleźć tę kombinację, potem wysłałem francuzów na oględziny, czekałem na ich powrót; pisałem kontrakt, płaciłem, układałem się — to wszystko nie jak z bicza trzasnąć. —

— Słusznie. — A jakże Paryż? na miejscu? — Nie pytam o ministerya, ale o plac Pigalle. —

— Et, nie bawiłem się wcale.

— I nie przyswoiłeś żadnej pikantnej osóбки? — Może wyjeżdżałeś gdzie dalej?

Sas zbliżał się ostrożnie w swych zapytaniach do pani Teo; bał się tego przedmiotu rozmowy zarówno, jak był go ciekaw.

— Nie; cały czas siedziałem w Paryżu — odrzekł Kotowicz.

— Miałeś tam jakie towarzystwo? dawnych znajomych?

Edward zmiarkował po wyrazie twarzy Justyna, do czego zmierza. Przyszło mu do głowy trochę podrażnić przyjaciela.

— Przejeżdżała parę razy...

— Kto taki?! — zawołał Sas rozpaczliwie.

— No, ta, o której myślisz.

— Pani Teo?!...

— Któżby inny? Jedna jest tylko ciągle obecna w mej pamięci...

Uśmiechał się zagadkowo. Sas spochmurniał i badał ten uśmiech z niepokojem.

— A ja sądziłem, że już zupełnie zmadrzałeś, panie Edwardzie. —

— Cóż chcesz? rozum doradza jedno, a uczucie co innego...

Ale widząc, że sprawia przyjacielowi prawdziwą przykrość, przerwał nagle żarty:

— Nie, mój drogi, nie widziałem jej wcale. Może nawet nie wie, że wyjechał z Turowicz i był w jej ukochanym Paryżu. A ona jest sobie — w Egipcie — ktoś mi powiedział. Nie brak tam ani Sanchez Toleda, ani szlachetnego Kamila. Może sobie zresztą mieć jeszcze tuzin wielbicieli: arabów, etyopów, murzynów — nic mnie to nie obchodzi.

— Nie? doprawdy?

— Nic. Przecie, kiedy się jej przyglądam z oddalenia i uzdrowionemi oczyma, ona jest poprostu śmieszna — a raczej śmieszni ci, którzy jej wierzą. Chora niby, tęskni do mnie! — tymczasem wędruje po różnych częściach świata włączając za sobą tych nicponiów!

— A jednak gniewasz się na nich — zauważył Justyn.

— Jakże? mam ich kochać? tego figuranta z Madyrytu, który korzystał z przewagi zyskanej nademną przez wygranie moich pieniędzy, albo Kamila, poprostu zdrajcę? —

— No, zawsze wolisz, żeby któryś z tych dwóch zastąpił cię w sercu pani Teo, niż arab lub murzyn, jak mówiłeś? — próbował Sas obojętność Kotowicza.

— Nie; wołałbym murzyna. Podłość ludzi znajomych jest dotkliwsza, niż nieznanym. Ale po co my o niej

mówimy? — dodał Edward z pewnem rozdrażnieniem — nie dla tego tu powróciłem. — —

— Masz świętą rację, Edwardzie! I wieszuję ci postępowania na całej linii! Teraz dopiero pognębię oczywistymi dowodami tych, którzy mieli o tobie jakieś wątpliwości.

Nie bez kozery zwrócił tak rozmowę Justyn.

— Wątpliwości? — podchwycił zaraz Kotowicz.

— Et, nic... sąsiedzkie gadania, nie złośliwe... — bagatelizował Sas.

— Jeżeli sąsiedzkie, to chyba tylko z Kurenicz? bo oprócz ciebie i Oleszów, nie znam sąsiadów. — — Ale nic mi nie mówisz o Oleszach — coż tam się dzieje?

— Dużo nowego, kochany. Marcelka zaręczona z moim siostrzeńcem, Bronisławem.

— Co mówisz?! to bardzo dobrze... Czy to dobrze, powiedz — bo masz jakąś taką minę?...

— Pięknie. Projekt przez wszystkich pożądanym.

— No... a Renia? — zagadnął Kotowicz z pewnym niepokojem.

— Renia — nic. Ojciec ją chce wydać za młodszego mego siostrzeńca, Jasia.

Edward zamilkł, zeszywniał i przez chwilę patrzył badawczo na Sasa, który odwracał oczy i bębnił po stole. Wreszcie Edward odezwał się sucho:

— A ty jak się zapatrujesz na ten projekt?

Sas pomarudził trochę, wruszał ramionami, aż oczy podniósł na przyjaciela, pełne żarliwego przekonania i zawołał niemal porywczo:

— Ja sędzę, że to kapitalne głupstwo!

— No tak! no przecież! — taką cudowną, jedyną w swoim rodzaju pannę wydawać za niedorostka! — może dobry chłopiec, ale nie dla niej! Powiedz sam, mój drogi Justynie?

— Uspokój się, Edwardzie — to nie zrobione, Renia... ty jeszcze jej mi znasz! Ona już nie ta dziewczynka, co to ją wozić po jeziorze, obejrzyć, cmoknąć w łapkę, wyjechać i zapomnieć. To już kobieta — i najprzedniejszego gatunku: uparta w dobre, a złu niepodległa.

— Ależ ja jej wcale nie zapomniałem, Justynie! Mówię z tobą, jak z bratem. Cóżby mnie wypędziło ztąd zagranicę? cóżby mnie trzymało w Paryżu, gdzie żyłem, jak mnich i sknera, jak nigdy w życiu — jeżeli nie mocna chęć pograżenia w przepaść całej mojej przeszłości i powrotu tutaj do kochanego kraju i do kochanych serc?... Upewniam cię, daję ci słowo...

— Wierzę ci bez wahania — odrzekł Sas mocno wruszony — ale bieda narobiła ta twoja... przeszłość. Zaczął się Antoni Olesza przepytować — coś zwietrzył — jakiś romans z mężatką — jakiś spodziewany tu przyjazd — i nie tylko się namurmuszył, ale i wściekł. Trzeba go znać: dla niego naprzykład romans z mężatką, to jak dla nas... okradzenie cudzej kasy. Zasiał się na wsi i taki już jest. Dumny szlachcic przytem; „jakże to — mówi — będziemy marzyli o panu Kotowiczu, który nie raczył nam nawet zaznaczyć swoich zamiarów, asystował trochę mojej córce i wyjechał zapewne do tamtej swojej damy?“ —

— Toś gadał z nim tak otwarcie?

— Jaby nie zaczynał, ale on zaczął. Broniełem cię, jak umiałem, ale przecie nie mogłem mu zagwarantować, co zamierzasz. Teraz wiem, tylko sytuacja gorsza — — nie gorsza, ale pilna. Trzeba działać natychmiast, jeżeli masz stanowcze zamiary. Renia tobą zajęta — to wiem...

— Więc czegoż więcej potrzeba?! — zawołał Edward zapalczywie — Ojciec nie pozwala? A, to się urządź. Wykradniemy ją we dwóch, z tobą, Justynie — chcesz?

wezmę ślub z Renią, a potem ojciec chyba się zgodzi, jako moralista? co? —

— Dobrze, dobrze — śmiał się Sas radośnie, bo zupełnie zapewniony o uczuciu Kotowicza — mam nadzieję, że się bez rozboju obejdzie. Trzeba pierwiej zapytać jej samej.

— Przecie mówiłeś!

— Bo pewny jestem jej uczucia, ale nie postanowienia. Ot widzisz! ty jeszcze jej nie znasz. Że ona dała gładkiego kosza Jasiowi, którzy w niej się durzył — to wiem. Że może odpalić i królewicza — to jeszcze przypuszczam. Ale czy ona wyjdzie za mąż przeciwko wyraźnej woli ojca? — za to ja nie ręczę.

— Więc jakże? —

— Wcale za mąż nie pójdzie. Są takie na świecie. Antoni, choć uparty mantyka, człowiek sumienny: zmuszać córki nie zechce, ale gdy jej kogoś zabroni, nie wiem, czy ona tego kogoś przyjmie? I jeszcze jedno: jej mogli o tobie nagadać dużo bajek zatrwających. — Czy przestraszyła się? nie wiem; dosyć dawno jej nie widziałem...

Kotowicz zerwał się aż od stołu, tak go zabolowały te nowiny niespodziewane. Pracował długo i gorąco na to, aby umyły ze wszystkich śladów przeszłości stanąć u celu. Celem były mu ocalone Turowicze, odmiana życia, ale przede wszystkim — Renia. Jej był pewien, jako uwieńczenia i nagrody. Gdyby zaś ona okazała się niedostępną, znikłaby cała słodycz dokonania dzieła.

— To niesłychane! — zawołał gniewnie — jakieś obyczaje średniowieczne! Więc stary Olesza uważa córki za swój żywy inwentarz, który może krzyżować według swych kombinacji?!

— Tak źle nie jest — uspokajał Sas — trzeba tylko ich przekonać — i zaraz.

— Naturalnie! ale jak? — ojcu spowiadać się nie myślę. Jej — z prawdziwą rozkoszą. Tylko gdzie ją spotkać? co tu robić? — poradź, drogi Justynie! Ty znasz te wszystkie tutejsze moralności, te głupie przesady... Dziwne doprawdy, że taka piękna i dobra istota nie spleśniała w tej atmosferze!

— Przeciwnie — tłumaczył Sas — w tej atmosferze urodziła się i w niej się pysznie udała; myślę nawet, że byłaby inna, gdyby gdzieindziej wyrosła — zawsze kochana, ale nie ta już Renia rozrzewniająca. Te „głupie przesady“ często nam, mężczyznom, zawadzają; sam nieraz na nie narzekałem. Ale gdybym, po długich moich studyach, miał dzisiaj wybierać żonę, wybrałbym z przesadami. Dalibóg, że to pewniejsze.

— Zależy od tego, co nazywasz przesadami — cofał się nieco Kotowicz. Ja sam nie chciałbym, aby Renia była inna... aby nawet była podobna do Marcelki. — O, masz najlepszy dowód, że nic tu nie znaczy atmosfera, a wszystko natura: siostry są zupełnie różne.

— Przepraszam. Marcelka jest dobrą i porządną dziewczyną, ale gdy wyszła z atmosfery rodzinnej, nasiała trochę obcą. Teraz powróciła znowu do swojej — do przesądów — pod wpływem naszej puszczy i na szczęście mego siostrzeńca, Bronisława. Kobiety są jak wosk, mój drogi.

— Wcalebym tego nie powiedział o Reni. Jest sama sobą, wie, czego chce, nie chwieje się w zdaniach, ani postanowieniach.

— Prawda — bo też to perła. Ale zobacz, czego ona chce — zawsze dobrego.

— Nie przeczę.

— Inna rzecz popędy naturalne, inna — postęпки. Zwyczajna kobieta mówi zawsze o sobie: taka już jestem

— i idzie za każdą zachcianką. A Renia, gdy co ma postanowić, zapytuje sama siebie: jaka być powinnam? — i idzie za obowiązkiem. To się czasem wydaje nie nowożytnie, nie poetyczne... a jednak w tem leży wartość kobiety dla mężczyzny, dla społeczeństwa... — wogóle wartość człowieka. Ot, wyszedłem na moralistę! — aż sam się sobie dziwię.

— Nie... owszem... masz poniekąd słusność. — Ale dlaczegoż jej obowiązki mają być sprzeczne z moimi uczciwymi zamiarami?

— Tymczasem sprzeczne są, mój drogi. Jej terazniejsze obowiązki, to ojciec, którego kocha, i różne tam pryncypia, które musimy uszanować. Ale ojciec kręci na ciebie nosem, a Renia drży z obawy, czyś ty nie sam dyabeł przebrany. Wszystkiego narobiła twoja historia, dla nich zbyt czarna... powiedzmy: ciemna.

— Ależ niema już tamtej historii! Przepadła, zapomniałem o niej, naprawiłem...

— To właśnie trzeba im wytłómaczyć: ojcu i córce. A jeżeli się uda, jeżeli Renia będzie twoją żoną, wtedy już ty sam staniesz się jej obowiązkiem, na zawsze. Ot, wtedy — satysfakcja!

Zamyślił się Kotowicz, pomyślał chwilę, potem rzekł:

— Dobrze. Ale gdzie ją spotkam? Pojadę do Kurenicz, obejrzę tam nadętego papę, a z nią nie będę mógł porozumieć się swobodnie. — Żeby gdzie na gruncie neutralnym? — tak, jak wówczas, w twojej ślicznej Osowie, gdzie nie gnębisz ludzi zasadami...?

— Radbym z duszy — odpowiedział Sas — tylko w zimie zapraszać ich? — nie wiem, czy przyjadą. — Byli u mnie późną jesienią; u mnie nawet oświadczył się Broniek Marcelce. — Ale poczekaj-że, kochany!

Wszak Renia pisała do ciebie, prosząc pozwolenia na łosie! Przysłała list do Osowy. — —

— Gdzież ten list?! — zawołał Edward gorączkowo — masz go pewnie przy sobie?

— W tem bieda, że posłaniec nie oddał listu, bo mnie w Osowie nie zastał, ani ciebie, naturalnie. I to było kiedy już! podczas rykowiska łosi. Później tylko dowiedziałem się — Moroz tak zaintrygował.

— Poczciwy Moroz! — — To trzeba dać choć spóźnioną odpowiedź. Przecie i teraz łosie strzelać można z podjazdu, jak mi to Moroz opowiadał.

— Właśnie! — Podeslij Moroza z listem do Reni. — — No, ale trzeba zaprosić i ojca. — Poczekaj: ja napiszę do Antoniego, ty do córeczki.

Projekt tak się podobał Edwardowi, że zerwał się od obiadu i poszedł do swego gabinetu po papier i atrament. Powrócił wkrótce, niosąc zarazem paczkę listów, które nagromadziły się podczas jego nieobecności w domu. Przejrzał śpiesznie adresy, dwie koperty odłożył na bok i rzekł, pokazując je Sasowi:

— To listy Teo — jeden z marką francuską, drugi z egipską. — —

— Marka z piramidą — uśmiechnął się bardzo blado pan Justyn.

Edward zaś nie otwierał listów; spozierał na nie ponuro; wreszcie zawołał:

— Wiesz co, Justynie? każde dotknięcie tej kobiety jest zatrute — wolę jej listów nie czytać.

Chwycił zaperfumowane koperty, poszedł do pieca, otworzył drzwiczki od wielkiego, starożytnego paleniska, gdzie błyskał ogień, i cisnął weń listy.

— I spokój! — ucieszył się Sas — piszmy teraz do sąsiadów.

Zaraz po napisaniu zawołano Moroza i powierzono mu poselstwo, dodając ustną instrukcję, że chodzi tu o zaproszenie na łosie.

Stary ciskał z przymrużonych oczu błyski porozumienia i niecierpliwie przestąpywał z nogi na nogę.

— Jaż wiem. Powiedz mnie tylko wielmożny panoczek, które pismo do Kurenickiego pana, które do panny Hreni, a to ja bez okularów i w pokoju nie bardzo...

Nikt nie widział Moroza w okularach, ani też zdybał go przy czytaniu, choć strzelec dawał czasem do zrozumienia, że pismo nie jest mu obce.

— O, masz ten list do starszego pana. — —

— Tak ja jego w prawą kieszeń.

— A ten do panienci. — —

— Tak w lewą.

— Dodaj tam, Moroz, od siebie, że mamy mnóstwo łosi — i pewnych.

— Bo i prawda będzie; same aż proszą się. Ja pierwiej panu pismo dam, ochotę u jego rozbudzę, a kiedy już *stanę* w kredensie czekać odpowiedzi, panna Hrenia do mnie przybieży, jak ten jarząbek na wab'. Ja jej tedy pismo w rączkę *sunę*.

Rozśmiali się obaj panowie z Moroza, który podejmował się misji nie w charakterze posłańca, lecz pełnomocnego ministra. Z zaufaniem do jego sprytu i zrozumienia celu poselstwa, oczekiwali wieści z Kurenicz.

Moroz powrócił późną nocą i stawił się odrazu przed panami, którzy nie spali, pomimo, że Kotowicz miał kilka dni podróży w kościach. Dobył z kieszeni jeden tylko list — Oleszy do Sasa.

— A mój list oddałeś paniencie? — Nie odpowiedziała?! — pytał Edward gwałtownie.

Moroz pokiwał drobno palcami wzniesionej ręki, jak się uspokaja dzieci i waryatów:

— Nie bój się, nie bój się, panoczek! — przyjedzie ona — tak i pokraśniała, jak wisznia, kiedy pismo przeczytała — *ciapier* ona nie ta, która latem była: *ciapier ona bledniénka*, oczy u jej strach kiedy wielkie, — a wszystko taki piękna, że piękniejszej nie najdziesz.

Uspokoił się Kotowicz, nawet rozrzewnił.

— List oddałeś na osobności, nie przy panu Oleszy? — zapytał.

— Wiadomo — *jaż nie dureń!*

— Więc ci coś powiedziała?

— A ot tylko: przyjadę. I lepiej nie trzeba.

List Oleszy do Sasa był grzeczny, nieco powściągliwy; pan Antoni oświadczał, że ma łosie i w swoim lesie, więc oczekiwać będzie pana Kotowicza na swojej granicy, nie jutro, lecz pojutrze, ze względu na to, że pan Kotowicz musi wypocząć po podróży. Wreszcie obietnica przyjazdu wyrażona była w liczbie mnogiej — zatem z Renią.

— Czegóż chcesz? — wszystko dobrze — rzekł Justyn do Edwarda, po przeczytaniu listu na głos w obecności Moroza, którego już bez namysłu przypuszczano do konfidencji.

— No... niezłe — odrzekł Kotowicz. — To się spotkamy znowu, przy tym kureniu pogranicznym, jak na głuszce. — — I znowu pewno zechce Olesza, abym jego łosie strzelał, nie moje? —

— Da pluń panoczek na jego łosie! — odezwał się Moroz — wszystkie łosie i głuszce nasze, choć i przejdą jego granicę. U nas ich prawy dom, a u niego cóż? tylko naszym spacer.

Właściwie pytanie, gdzie tam będą pojutrze łosie zajmowało wszystkich ubocznie tym razem, nawet Mo-

roza. Po jego odejściu sąsiedzi spoglądali sobie nawzajem w oczy z przedbojowem podnieceniem.

— No, pojutrze wielka batalia, Edwardzie!

— Żeby tylko ten Katon pozwolił Reni jeździć ze mną! — wzdychał Kotowicz.

— Moroz już tak pokręci -- spodziewał się Sas — tylko ty, kochany, nie lekceważ starszego Katona... ze względu na Katonównę.

— Postaram się być zgrabny — rzekł Edward.

— Poprostu szczerzy; to najlepsza do nich droga.



XXII.

Nazajutrz był dzień w Turowiczach pośredni między trwaniem na miejscu, a pędem w dal, jak ten stan samochodu w zupełnym pogotowiu do jazdy — podróżny sadowi się i otula, dymek benzynowy go oczadza, maszyna szumi i drży, rwąc się do hasła, które jej pozwole pożerać przestrzeń. Mało tylko powierzchownych podobieństw było w przygotowaniach polskiego dworu z nowożytnym „garażem“. Z wozowni wysunięto saneczki „podjazdowe“, wysokie, a tak wąskie, że dwie osoby nieodzowne przy podjeździe — woźnica i strzelec — mieściły się na siedzeniu tylko połowicznie, każda mając jedną nogę poza pudłem sanek wolną i przeznaczoną do pomocniczego użytku. Póki się jedzie równym polem, zewnętrzne nogi tego myśliwskiego przyrządu, zrosniętego z konia, pudła i dwóch ludzi, spoczywają na hołblach; na wybojach śnieżnej drogi, gdy wysokie sanki co krok grożą upadkiem, przemyślnie nogi ludzkie służą ciągle za podpory, to na prawo, to na lewo. A dopiero gdy sanki w las zabrną, gdzie gąszczem i na przełaj, przez doły i zawały, zdradliwymi kręgami mają objechać łosia, „obcinać trop“, oddalać się niby od ogłupionego zwierza, a rzeczywiście osaczać go coraz bliżej, wtedy nogi zewnętrzne mają nieustanną robotę podpór, wiosel i skrzydeł, trzymając równowagę, odpychając się od przeszkód bocznych, układając się jak najpotulniej w wązkich przejazdach między dwoma zbliżonymi pniami.

Tak jechać przez puszcę nie potrafi byle stangret lub samochodowy mechanik — tu trzeba intuicyjnej, błyskawicznej orientacji w tłumie przeszkód, w możliwości przejazdu, w topografii, znaczony alfabetem tylko dla twórców leśnych zrozumiałym, w psychologii zwierza — potrzeba Morozowego talentu. Bez talentu nikt nie dojdzie do wyniku, a nawet do smaku wielkich łowów.

Edward miał się stawić jutro, bardzo wcześnie na pogranicznym kureniu, w takich saneczkach i oczywiście z Morozem. Dzisiaj wprawiał się już z nim przez parę godzin, jeżdżąc po lesie, w pobliżu domu. Pełen rzeźwej otuchy, zdrowo przemarznięty na twarzy, ale prawie rozgrzany wewnątrz ciała, powracał do dworu na obiad.

Skoro tylko próg przestąpił, poczuł instynktowy niepokój. Przywykł, że Sas wychodził na jego spotkanie do przedpokoju, albo był w pobliżu, stukając charakterystycznie swą laską. Głucho — Nie zrzuciwszy nawet futra, Edward zajrzał do salonu — nie było w nim Justyna. Przebiegł wszystkie inne pokoje. W jadalnym, za nakrytym stołem, przy nietkniętej wódce, siedział Sas nieruchomy i tragiczny.

— Co się stało? zawołał Kotowicz, chwytając przyjaciela za bezwładną rękę.

— A ot masz... depesza — jaka płachta! Przebac, że otworzyłem.

Edward szukał podpisu pod niezwykle długą depeszą, spisaną aż na dwóch blankietach — Teo! — Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z treści, bo tekst francuski srodze był poprzekręcany — więc rzucił okiem na Justyna:

— Czegóż ona chce? — czytałeś?

— A dyabeł ją tam wie! Ależ nie uważasz, skąd depesza. Z Mińska!

Edward stwierdził wyraźny nagłówek z Mińska i datę ubiegłej nocy — oniemiał — zacisnął pięści — przeszedł się po pokoju, wreszcie chwycił za wódkę i wychylił duży kieliszek.

Sas wykonał zaraz to samo i rozchmurzył się:

— Ot tak! nie damy się. Zdrowie twoje i Reni!

Odruch był waleczny, lecz jeszcze niepoznane prawie niebezpieczeństwo. Przyjaciele zasiedli do odczytania depeszy. — Pierwsze wyrazy składały się dość łatwo:

— *Suis seule au monde...*

— Sama na świecie? — znaczy: ktoś umarł, kogoś zabili? — domyślał się Sas.

— Zapewne jednego z jej... mężów? — dodał Edward nienawistnie. Ale nie ślubnego — o niego się nie boję.

Rzeczywiście w poprzekręcanym tekście nie widać było wyrazu „mąż“. Zato wracało parę razy imię „Kamil“ i „zabójca“ (*assassin*). Nareszcie odczytano jaśniejsze urywki:

...pojedynek Kamila, o którym pisałam w liście — a dalej: „śmierć Kamila“.

— Ha! zabito go w pojedynku. — Edward zasepił się i ochłonął z gniewu, wobec tej wieści, która zarzucała kir niepamięci na sprawki i winy ex-przyjaciela. — Lepszy koniec, niż gdyby był sobie w łeb strzelił...

— Czy to był twój... przyjaciel? — zapytał Sas jakoś nieśmiało.

— Kamil Werda? — tak... raczej kompan — wesoły chłopiec i, gdyby miał pieniądze... no, kiedy zginął, nie mówmy już o nim. — Ale czego ona chce? — Listy spaliłem wczoraj — pamiętasz? możnaby łatwiej złożyć tę historię.

Z dalszych badań tekstu wynikało, że Teo nie chce znać zabójcy i zakazała mu pokazywać się jej na oczy.

— Szlachetna! — ironizował gorzko Edward — ręczę, że ona sama jest przyczyną katastrofy.

— Toż jasne! — zawołał Sas — dwóch się o nią pogryzło i jeden drugiego zabił.

— Sądziś? — bardzo być może. Ten łotr Sanchez mógł zabić Kamila. — Ależ naturalnie, — patrz — ten wyraz nieczytelny, połączony, to: *marquis assassin*. Sanchez jest markizem! — Dobrze przynajmniej, że tego zbója wyrzuciła za drzwi.

— Dobrze? — zadziwił się Justyn — cóż to nas już obchodzi?

— Mówię: dobrze, bo w takim błocie coś przecie czystego — et, masz rację, wszystko razem błoto! Główna rzecz — dlaczego ona do Mińska przyjechała?

— Tego już nawet odczytywać nie trzeba, aby zrozumieć — rzekł Sas — straciła swoich tam kawalerów, może ją i mąż wreszcie w trąbę puścił — wszak pisze: „*swis seule au monde*“ — i przyjeżdża tu, aby ci się rzucić w objęcia. — Chyba... że miałyby jakich krewnych lub przyjaciół w naszych stronach?

— Nigdy nie słyszałem. — Poczekaj, czytamy jeszcze. —

Powoli złożyli cały prawie tekst zrozumiale. Na końcu były słowa:

„Przybywam do pana, jedyny przyjacielu! Przyjedź na spotkanie, weź mnie lub zatelegrafuj zaraz, gdzie i kiedy mam dojechać.“

— To jest najgroźniejsze! — zawołał Kotowicz — przecie na upartego ona mogłaby być jutro rano w Turowiczach, podczas kiedy ja będę w lesie z Renią! — Jest wyraźnie w usposobieniu desperackim. Kto ją zna,

nie uwierzyłby, że ona we środku zimy wybrała się na Polesie!

— A no, kocha ciebie — rzekł Sas ironicznie, prawie pogardliwie.

— Niech ją dyabli razem z jej kochaniem! — zawołał twardo Kotowicz. — Co pocznę, jeżeli mi się tu zwali? Bo kiedy taka się zdecyduje, nie zawróci z pół drogi. — Dobrze to mówić: wyrzucę ją za drzwi — ale jak się to robi z kobietą, która uda miłość, rozpacz i tym podobne komedye?

— Nie, noga jej tutaj postać nie powinna, choćby nawet ciebie nie było w domu — rzekł stanowczo Justyn. Po tem, co już wiedzą o was, jej przyjazd stałby się skandalem i postrachem dla wszystkich naszych purystów przynajmniej na lat dziesięć. — Ją trzeba powstrzymać, zwieść, zmylić, byleby jej tu nie było.

— Ale ona może już tu jedzie?!

— Ej, nie. Zatelegrafowała przecie i czeka na odpowiedź. Rznijmy do niej zaraz depeszę!

— Dobrze; jaką?

— Jaką... jaką? — to nie tak łatwo odrazu... — namyślał się Sas, przygryzając wąsy. — Najprzód niema ciebie w domu, jesteś w Paryżu.

— W Paryżu... — ważył ten projekt Edward — ona z pewnością jedzie z Paryża — wszystkie jej drogi prowadzą przez Paryż — tam mogła dowiedzieć się łatwo, gdzie mieszkałem i kiedy wyjechałem do Warszawy, bom się przecie z tem nie krył, podałem nawet swoje adresy. W Warszawie również powiedziałem w hotelu Europejskim dokąd jadę. Ona z pewnością goni za mną po tropie.

Sasowi błysnął jakiś pomysł przez głowę, bo w oczach mu zaigrał odzyskany humor.

— Ot, panie, w jaką zmorę może się zmienić niefortunna miłosna awanturka! Ale na wszystko jest sposób. Najprzód — ja jestem wobec tej pani twoim generalnym plenipotentem w sprawach sercowych — zgoda?

— Naturalnie, mój drogi. Cóż dalej?

— Jako taki telegrafuję zaraz do Mińska: „Pan Kotowicz nieobecny. Jutro będę w Mińsku, objaśnię. — Justyn Sas, plenipotent Kotowicza“.

— I pojedziesz?!

— Pojadę. Stawię się przed damą w najpiękniejszej swej postaci. Jeżeli się we mnie zakocha piorunem, no, to sprawa załatwiona: dam jej *rendez-vous* w Nizy. Ale jeżeli nie — co także trzeba przewidzieć — już ja jej tam opowiem! — co? — obmyślę podczas podróży; przygotuję się na wszelkie ewentualności. Gdy zmiarkuję, że ona nie wie o twoich obrotach, dam jej twój adres w Paryżu. Jeżeli idzie za tobą tropem, jak mówisz — powiem, żeś tylko wstąpił do domu po papiery i pojechał do Petrogradu, a stamtąd koleją syberyjską do Chin. — Kłamać będę, jak z nut, ani się zachłysnę. To są pobożne kłamstwa.

— Zrobisz to jeszcze dla mnie?! — Moj drogi Justynie!

— A cóż to wielkiego? I tak miałem jechać do Mińska za interesami. Po obiedzie ruszę — sanna lekka i ja nie ciężki. Tak teraz piszmy depesze.

Depesza została wysłana jaknajśpieszniej do stacyi pocztowej, bliższej, niż kolejowa. Przyjaciele jedli tymczasem obiad bez apetytu, zafrasowani, pomimo, że Sas nadrabiał humorem. Zwłaszcza Kotowicza trapiły złe przeczucia.

— A jeżeli ona, choć się dowie, że mnie tu niema, zechce zobaczyć Turowicze? — Ona czasami bywa lirycz-

na; należy do rodzaju kobiet, które gdy je los przechłószcze, stoją się niby, lepszymi — i to na krótko.

— Gdyby jej to strzeliło do głowy, powiem, że dom tutaj rozwalony, bo nowy się buduje, — a ja mieszkam w Osowie, o sto wiorst od kolei — Już ja ci ręczę, że babę w pole wywiode.

— Wierzę, jeżeli ją zastaniesz w Mińsku. Ale mnie się ciągle zdaje, że ona już tu jedzie.

— Liczmy się z prawdopodobieństwem — uspokajaj Sas — czeka przecie na odpowiedź.

— Co z taką można wiedzieć?

Justyn wpatrzył się w twarz Edwarda niespokojną, znerwowaną; zdawało się, że schudł od czasu otrzymania tej nieszczęsnej depeszy.

— Nie rób mi tej miny, Edwardzie. Masz jutro piękny dzień przed sobą.

— Właśnie o jutro mi chodzi — odrzekł Kotowicz. Dzisiejsza troska byłaby niczem, gdyby nie groziła jutru. Ta osoba, która mi spada na kark, złamana, czy nie złamana, obłudna, czy szczerą — przestała istnieć dla mnie. Nie chcę jej znać, ani nienawidzić, ani wiedzieć o niej cokolwiek. Na szczęście, nie mam względem niej długu wdzięczności! Ale gdyby ona miała popsuć to jutro, no, wtedy!...

Zakończył groźnym wzniesieniem ręki,

— Dobrze, Edwardzie. Chciałbym, aby Oleszowie, ojciec i córka, widzieli cię tutaj, dzisiaj. Rzeczywiście inny z ciebie człowiek, niż byłeś jeszcze tej wiosny.

— Zupełnie inny — wiem. I przekonam o tem Renię, bo czuję, że ona mnie zrozumie. Ale jak przekonam jej ojca, od którego, według ciebie, ręka córki zależy? Jakże mu wytłumaczę, że wszystko zerwane między mną, a Teo, kiedy ona jest blisko, może zrobić jakiś skandal,

przyjechać do Turowicz?... Jemu się to w głowie nie pomieści. I to jest właśnie przekleństwo grubych w życiu pomyłek: można wszystko w sobie zmienić, ale niepodobna przeciąć zewnętrznej konsekwencji swych dawnych postępków. Cokolwiek zrobisz w życiu, jest już częścią twego przyszłego losu i nie pozbędziesz tego, choćbyś niewiem jak pragnął!

— Przesadzasz Edwardzie — mitygował Sas — leziesz w pesymizm wcale niepotrzebny komuś, kto się kocha i żeni. Zapewne, że sami sobie stworzymy porządek swojej dolę — ale ty i sam wybrnąłeś z omyłek, sam je naprawiłeś. Człowiek porządny, chrześcijanin, jak Olesza, zrozumie to i oceni.

— A ja wątpię, Justynie. Znam ja tych wielkich chrześcijan! Gdy złapią bliźniego na jakim uczynku, według nich grzesznym, nie przyjrzą się człowiekowi, nie przypuszczają nieszczęścia, nie uwzględnią ludzkiej słabości, nie uwierzą nawet w poprawę, — cieszą się, że złowili grzech śmiertelny i mogą wydać kanoniczny wyrok potępienia. Cofnąć ten wyrok — to im prawie krzywda, jakby mieli oddawać coś, co już prawnie posiadli.

— Daruj szczerą, Edwardzie, ale kulą w pięt trafiaasz. Toć Olesza nie ten tam hiszpan, który krytykował ciebie dla swoich interesów. Olesza kocha córkę, a ciebie nie potępia, tylko się boi dla córki. — Stawiasz kwestyę na opak.

— Mówiłeś przecie, że Renia dobrze jest dla mnie usposobiona? — Więc ojciec ją kocha, a zarazem sprzeciwia się jej uczuciom? Jakże to wytłumaczysz?

— A po prostu. Antoni słyszał o tobie dotąd same rzeczy przeciwne jego naturze i zasadom — i myśli, że córka niewłaściwie skierowała swe sentymenty, więc przeciwdziała. Cóż w tem dziwnego? — Przekonaj go, że jest inaczej — i wszystko dobrze będzie.

— Ja z nim wogóle rozmawiać nie umiem. Figura dogmatyczna i nie znająca życia.

— Figura bardzo podobna do Reni, chociaż z wąsami i o trzydzieści lat starsza — uśmiechnął się Sas.

— Co też gadasz, Justynie?!

— Gadam, bo ich znam, mój drogi. Oboje ludzie pewni w swoim gatunku, bez niespodzianek; oboje sumienni, obowiązkowi, nawet trochę uparci; oboje wielkiego serca i raczej dla kochanych istot żyjący, niż dla siebie samych. No, Renia ma więcej wdzięku, niż ojciec, przez co jej wartość jest dla nas, kobieciarzy, łatwiej zrozumiała. Ale obaczysz — pokochasz jeszcze i ojca.

— Może?... — odrzekł Kotowicz spokojniej — ale jeżeli się nie będzie upierał.

— Twoja w tem głowa, Edwardzie. A tymczasem nie przeklinaj swego losu, tylko go mocno weź w garść, jak już dowiodłeś, że umiesz. Ja zaś zabiorę się do pani Teo. — —

— Ach, Teo! — jęknął Kotowicz — gdybym jej nigdy nie był spotkał!

— Przepraszam! — rzekł Sas wesóło — niewiasta opatrnościowa! Żebyś jej nie poznał, nie siedziałbyś na Rivierze; żebyś tam nie siedział i nie miał gorączki, nie zgrałbyś się, jak skrzypce, nie przyjechałbyś do Turowicz dla robienia pieniędzy, nie poznałbyś Reni — — a może właśnie byłbyś w Egipcie i tamby kula Hiszpana trafiła ciebie, zamiast owego Kamila... Toż wszystkiego można dowieść na wywrót! At, filozofia! — machnął ręką. — Każ konie zaprzęgać, bo pora mnie już jechać.

XXIII.

Śpieszył Kotowicz z Morozem, aby stanąć pierwszy na pogranicznym kureniu. Jakoż, wyjechawszy z Turawicz pod schyłek nocy, nieprzespanej całkowicie, dotarł do umówionego miejsca przed przyjazdem Oleszów. Po drodze zimowej, rozjaśnionej świeżym śniegiem, ściętej przez mróz, łatwiej się jechało, niż w lecie. Raz tylko przewróciły się saneczki na stronę Kotowicza, który zapomniał o przeznaczeniu swej lewej nogi i nie podparł ich w porę. Nie drzemał jednak, ani się oddawał marzeniom myśliwskim. Zapomniał nawet, że jedzie na łosie — jechał do Reni — przez ciemne gąszcze wąpień do upragnionego świtu.

Gdy stanęli na pustym kureniu, dzień już był na niebie perłowy. Edward rozejrzał się po małej polance i poznał niektóre szczegóły wiosennego obozowiska. Ochocza fala krwi przepłynęła mu przez serce.

— To samo miejsce, gdzie przyjechaliśmy pierwszy raz na głąszce? — zapytał dla pewności Moroz.

— To samo ono i jest — odrzekł Moroz i ogień my dzisiaj założym, nie oni. Kto pierwszy ogień na kureniu zakłada, temu *szancuje*. Ot dzisiaj jeżeli panoczku nie *poszancuje*, tak już nigdy. —

Stary strzelec mrugał dowcipnie i gadał do wtóru myślom Kotowicza, jak echo leśne. Butami śnieg odgarnął, nałamał wyższych, nieośnieżonych gałęzi, zniósł je na kupę, podsadził trochę słomy, dobytej z sanek i za-

palil. Sine, coraz czerwien sze płomienie, zaczęły wic się i syczeć i wkrótce spięły rubinami tryumfalną kitę dymu, strzelającą aż do nieba, gdzie już także rozszerzały się pożary, wschodząc przez piętra drzew w najwyższą próżnię.

Zaledwie rozbujało się ognisko, Moroz wyprostował się i zwrócił baczne spojrzenie w stronę Kurenicz:

— Jada, panoczek! — rzekł po chwili:

A potem znowu:

— Panienska z Jeusiejem na jednych sankach... drugich i nie widać *sousim*...

Bez dzwonka, bez żadnego dźwięku, zbliżało się do kurenia coś wędrownego, szarego.. niby cień idący po śniegu od lotu wielkiego ptaka nad wierzchołkami lasu. Już zupełnie blisko ognia były saneczki, gdy zachrupiał po miękkim śniegu trucht konia, jakby jeszcze daleki. Edward stanął na miejscu, gdzie przypuszczalnie wysiąść miała Renia, ale zanim Jeusiej zatrzymał konia, Renia zsunęła się z sanek doskonałym, podjazdowym ruchem i poskoczyła naprzód, w stroiku myśliwskim, w długich butach, ze sztucерem przez ramię.

Edward schylił się do jej dłoni wyciągniętych, które ujął obie.

— Ach, paniel.. brudne rękawiczki —

— Nareszcie zjechaliśmy się na te łosie, o których tak dawno była między nami mowa — zaczął Edward.

— Tak, długo... długo pana nie było. —

Patrzyła prosto i głęboko w oczy Edwarda, który też oczu z niej nie spuszczał; krzyżowały się błyskami wzajemne ciekawości, zapytania, pragnienia — i skonały tymczasem w uśmiechach obojga, trochę zakłopotanych.

— Zbladła.. biedne dziecko... chociaż oczy ma jeszcze wspanialsze, bardziej kobiece — zanotował w myśli Kotowicz.

— Nie wyzwolił się jeszcze... nie ma czystego sumienia — myślała sobie Oleszanka.

Te nieme, sumaryczne badania przerwał Edward, odzywając się głośno:

— Ojciec pani zaraz nadjedzie?

— Nie; wypadło mu pilne zajęcie. Pozwolił mnie samej przyjechać do lasu z Jeusiejem... Widzi pan, jaki on dobry. —

Kotowicz nie potrafił ukryć radości, którą go napełniała ta nowina. Ukłonił się, rozśmiał i powiedział tylko:

— Dziękuję że pani zechciała...

Moroza, który to słyszał, rzuciło z miejsca nagle postanowienie. Żwawo zwrócił się do Jeusieja.

— Obacz, Jeusiej — podjedziem my z tobą pierwiej i *pobaczym*, na którą stronę losie wagę mają. Póki co, pan i panienska tutaj mogą na nas poczekać.

Jeusiej, także nie fryc, zgodził się odrazu, a ponieważ siedział jeszcze na podjazdowych saneczkach z Kurnicz i konia miał wcale nie zdrożonego, zaprosił ochotczo Moroza:

— Siadaj — pojedziem.

Edward i Renia spoglądali za dwoma kmotrami, których fauniczne głowy dotykały prawie jedna do drugiej w przyjaznem porozumieniu, a nogi po bokach sanek wiosłowały coraz głębiej w gęstwinę.

Wkrótce młodzi zostali sami w puszczy.

Renia usiadła bokiem na saneczkach turowickich, Edward stał przed nią.

— Proszę pana, tak rzadko się spotykamy, że dzisiaj, przy takiej sposobności, muszę powiedzieć panu wszystko...

— Ja w tym samym celu prosiłem o spotkanie — mam także do powiedzenia pani bardzo dużo... i nie

wiem od czego zacząć, bo pani sądzi mnie błędnie — widzę to w jej oczach.

— Błędnie? — zadziwiła się Renia. — Zaraz pan się przekona — bo ja, kiedy się już decyduję coś powiedzieć — nawet coś trudnego — mówię zupełną prawdę — zakończyła ze wzruszeniem i głosem stanowczym.

— Nie wątpiłem o tem nigdy — odpał Edward przecuciowo zaniepokojony jakimś wyrzutem, brzmiącym w głosie Reni.

— Więc... ja myślę o panu codziennie — rzekła, spuszczać oczy — a mówiłam o nim rzadko, tylko z zaufanymi ludźmi... i dowiedziałam się, że nie jest zupełnie taki, jak mi o sobie opowiadał... że jest wielki grzesznik. —

Mówiła, nie wdzięcząc się bynajmniej, bardzo poważnie, z głębi serca. Edward dostroił się zaraz do tego tonu, bez buntu, ani ironii.

— Proszę mi powiedzieć wszystko, co pani o mnie słyszała. Co tylko w tem jest prawdą — przyznam bez wykrętu — daję na to słowo. Pani mi się wydaje zmienioną od ostatniej naszej rozmowy... doświadczeńszą...

— Tak, dowiedziałam się od tego czasu o wielu rzeczach... smutnych, które są na świecie. — Wiem, co to znaczy być *zareczonym* z mężatką i żoną przyjaciela. —

— Może pani wiedzieć — odrzekł Edward nieprzyjemnie dotknięty — ale i wyprowadzać z tego nietrafne wnioski. Jeżeli tak mówiłem, to nie żeby panią zwięść, lecz, aby jej nie objaśniać... właśnie tych rzeczy, o których pani wtedy nie wiedziała.

— Tak? — więc mówił pan tak przez wzgląd na moją naiwność?

— Przez wzgląd na pani świętość.

Słowa te zadziwaczały mocno i szczerze. Uwierzyła im Renia. Ale nie o to, widać, głównie jej chodziło.

— Dobrze — jednak miał pan ten jakiś... projekt zabrania żony swemu przyjacielowi?

— Nie był to przyjaciel, tylko znajomy. A co do projektu — tak, miałem go.

— Przecie to grzech wielki!

W zwykłych warunkach Edward dopraszałby się żartobliwie rozgrzeszenia, ale tu pomyślał błyskawicznie: „taka być powinna moja żona“ — i skłonił głowę poważnie, jak przed wyrokiem.

— No, ale... nie mam prawa wtrącać się w pana życie... — spuszczała Renia z tonu i przechodziła w minor — tylko mi było bardzo przykro, że mówili o panu takie rzeczy, a ja nie mogłam go obronić...

Edward odnalazł, poczuł tę dawną Renię, oddającą mu swą „przyjaźń“ bez żadnych zastrzeżeń, i zaczął mówić dumniej, a goręcej:

— Teraz pozwoli pani, że ja jej opowiem, co się we mnie dzieje od kilku miesięcy. Będzie to już spowiedź dokładna, bez żadnych osłon, skoro pani tak każe. — Jak się poznaliśmy, jak zawarliśmy przymierze — tego nie będę przypominał — pani to pamięta. Naturalnie, ujęła mnie najprzód pani piękność tak jedyna, że ja, który znam i sztukę i dużo kobiet żyjących...

— Ach, panie! proszę tak nie mówić, bo znowu zacznę wątpić! Ładna jestem, można mnie lubić, ale nie piękna.

— Więc pani o tem jeszcze się dowie — a teraz mówię o czem innym. Odrazu przeczulem w pani istotę najwyższej wartości moralnej, jaką spotkałem między kobietami pięknymi. Bo cnota kobiet brzydkich, to co innego — to niższy gatunek...

— Jak to? nigdy nic podobnego nie słyszałam!

— Niech już najdroższa pani słucha cierpliwie! później wytłomaczę. — Zatem stała się pani dla mnie

objawieniem kobiety, którą można kochać najmocniej — szanować najsumienniejszy — poprostu: uwielbiać.

Renia zapłoniona, zamagnetyzowana, słuchała już tylko.

— Sprawiała pani odrazu przewrót w mojem życiu i rewolucję zupełną w moich pojęciach o szczęściu. Przedtem kochałem... Boże! czy to się godzi tak nazywać!? — podziwiałem kobiety, jak tamta, o której dopiero co mówiliśmy — przekłeta!

Renia drgnęła.

— Pani pokazałaś mi jej przeciwieństwo — błogosławione. I zapragnąłem zaraz tego błogosławieństwa dla siebie, na całe życie. —

Renia, cała drżąca, ściagnęła rękawiczkę z prawej ręki i, nie patrząc w oczy Edwarda, których moc czuła przez powieki, posunęła ku niemu rękę. On ją chwycił, ucałował, lecz mówił dalej:

— Zaraz! niech pani mnie wysłucha, aby nie miała już o mnie żadnych wątpliwości. Bo myślała zapewne i dawniej, dlaczego odjechałem, nie wyznawszy jej mych uczuć? Posądziła mnie może o powrót do tej, do tamtej... do grzechu? Nie, pani moja jedyna! Byłem związany jeszcze kajdanami mej nienawistnej przeszłości, nie oczyszczony, nie gotów stanąć przed panią, jak dzisiaj. Przez trzy miesiące pracowałem zawzięcie, dążąc ciągle ku tobie, pani. Nie widziałem ani razu tamtej... istoty, nie pisałem do niej, wykupiłem się od uprzejmości jej przyjaciół, odzyskałem Turowicze, które kiedyś gotów byłem rzucić na marne, byle dogodzić mym szaleństwu. Wszystko to winienem tobie, panno Reniu najdroższa, któraś mnie uzdrowiła swemi oczyma, sercem złotem, przedziwną mocą swej świętości...

— Panie Edwardzie! mój... panie! — wypraszała się

Renia, jakby od rozkosznej tortury — więc niech mi powie poprostu: prosi pan o moją rękę?

— Tak, błagam na kolanach. —

Ukląkł przed siedzącą na sankach panienką, objął ją za suknię i przywarł usta do jej kolan. Ona dotknęła obu rękami jego twarzy, prawie ją odpychając — i skoczyła na równe nogi. — Przemknęły jej przez głowę oświadczyzny Bronisława Marcelce.

— Ja tak nie umiem, drogi mój! Oto moja ręka — rzekła wyciągając ją na przyzwoite oddalenie — pan wie, pan wiedział odrazu, że jak tylko poprosi... Ja nie jestem święta. — Ale trzeba naprzód poprosić papy, wytłómaczyć mu wszystko, bo on pana nie może tak kochać jak... ja — zakończyła wyrażnie.

Edward byłby u szczytu pragnień, gdyby nie miał jeszcze do wyzwania ostatniej awantury Teo, do czego i ze względu na przyobiecana szczerość i ze względów praktycznych był obowiązany. Ochłonał, twarz mu zamierzchła; rzekł, puszczając rękę Reni:

— Stawię się przed ojcem pani, chociażby dzisiaj, ale naprzód jej samej muszę coś oznajmić, co odemnie już nie zależy, a jest jednak dosyć... nieprzyjemne.

Szukał wyrazów obojętnych, aby osłabić wrażenie:

— Proszę sobie wyobrazić, że owej pani, o której mówiliśmy, zdarzyło się jakieś nieszczęście, którego dobrze nie rozumiem, bo spaliłem dwa ostatnie jej listy, nie czytając — i że strzeliło jej do głowy przyjechać tutaj...

— Jako?! tutaj? teraz?!

— Kazała mi pani być zupełnie szczerym — jestem do ostatnich granic, aż do wstępu, który mi sprawiają własne wyznania. Ta osoba przyjechała nagle do Mińska! — z Egiptu do Mińska! — i telegrafowała, że chce przyjechać do Turowicz...

— Ależ to nieszczęście! — zawołała Renia, załamując ręce.

— Doprawdy? — pytał Edward, zaglądając głęboko w jej oczy. — Ja tej osoby nie zobaczę, nie przyjmę, choćbym miał uciec z domu.

— Ale mój ojciec, gdy się dowie! On tej pani tak niecierpi!

Edward opowiedział o przybyciu depeszy i o gwałtownej akcji ratunkowej z pomocą Justyna Sasa. Opowiadał trudno i z pewnem okrucieństwem wyliczał uplanowane wybiegi. Renia posmutniała bardzo i słuchała z bolesną ciekawością. Kwasy i męty tego poobiedzia niezdrowej miłości, której nie pojmowała nawet przez intuicyę, przejmowały ją wstrętem. Gdy Edward uznał wkrótce, że powiedział dosyć, i przerwał, Renia odezwała się:

— Ile tu trzeba kłamać i jak poniewierać taką kobietą, którą się niedawno jeszcze lubiło!

— Ja jej nigdy nie lubiłem, pani moja najdroższa! To było szaleństwo, szal... wyobraźni.

Edward cofnął się przed określeniem właściwem: szal zmysłów — z obawy, aby jeszcze tego nie był zmuszony tłumaczyć. Powrócił do ostatniego zdania Reni, które go uderzyło swą trafnością i dobrocią:

— Pani znajduje w swem szlachetnem i najukochańszem sercu jeszcze litość dla tamtej! Ale ja daleki od pani doskonałości. Ja nienawidzę tamtej istoty, nie za jej matactwa i zawieruchy, które puściłem w niepamięć z nią razem — ale za to, że oddała mnie od prawdy, od szczęścia, od pani! Jednak od czasu poznania pani jużem ja nie winien; zrobiłem, co mogłem, aby się wyzwolić i oczyścić, aby utorować drogę naszej wspólnej przyszłości. Pozostaje mi tylko przebłagać panią za przeszłość...

Ukląkł znowu na śniegu, lecz tym razem ujął tylko rękę Reni i ucałował niby rękę królowej. Ubocznie

przemknęła mu nawet uwaga, skąd mu się wzięła ta pokora, pierwszy raz w życiu?

Renia podniosła go z klęczek silnem pociągnięciem:

— Panie... panie mój! niech tak nie prosi, bo już wie... Jakikolwiek pan był, wierzę już, że teraz dobry — i mój na zawsze.

Edward wyciągnął ramiona odruchowo — niechby choć chwilkę poczuł bliżej przy sobie ten skarb, który tak słodko i bezwzględnie mu się ofiarował. Ale Renia cofnęła się.

— Tylko ja jestem zwyczajna, wiejska panna — nie jedna z tych, które pan znał, bardzo mądrych, ale myślących tylko o chwili i o sobie. Ja kocham także ojca i życie nasze, porządne... Mnie się zdaje, że i panu ono lepiej posłuży do szczęścia? Więc najprzód trzeba, aby pan poprosił o mnie mego ojca i przekonał go, że wszystko zmienione na dobre — Prawda, że tak będzie najlepiej? — A póki niewiadomo, co tamta osoba zamyśla, czy nie przyjedzie do Turowicz — to jakoś nie dobrze. Mnie można wytłómaczyć, ja już wierzę panu zupełnie — ale trudniej z papą.

— Więc pani przypuszcza, że ojciec mógłby...?

— Myśle, że nie. On pana lubił dawniej, ale kiedy się podowiadywał tych wszystkich rzeczy, zaczął mi odradzać, abym myślała o panu.

— To pani można zakazać myśleć? — zapytał Edward dosyć dumnie.

— Nie — bo to nawet niemożliwe; nikt nikomu nie może zakazać myśleć, ani czuć. I powiedziałam już, że moich uczuć dla pana nie zmienię nigdy. Ale na najważniejszą zmianę w mojem życiu muszę mieć pozwolenie ojca.

— Rozumiem — i postaram się o nie — odrzekł Edward zimniej, niż dotychczas.

Nie znajdując na razie nici rozmowy głównej, przeszedł do ubocznej:

— Zimno tak stać na śniegu; może ruszylibyśmy z miejsca? — Gdzież to nasi przewodnicy tak długo pozostają?

— Ach, mnie tak gorąco! — Ale prawda — gdzie Moroz?

Moroz rozpoznawał jakoś długo „na którą stronę losie mają wagę“. Kotowicz huknął, by go zawołać.

— Jeżeli pan chce podjechać losia dzisiaj, nie trzeba huknąć po lesie — zauważyła Renia.

— Czy my naprawdę mamy podjeżdżać losie? — uśmiechnął się Edward.

Renia uradowała się temu uśmiechowi z gwałtownością dziecka:

— Nie! po co nam losie? — rozmawiajmy. Tylko niech już pan nie mówi tak jakoś... twardo, jakby mego ojca nie lubił. — Rozmawiajmy, jak to będzie... jakby to było, gdybyśmy już byli zaręczeni... —

Zapalonymi nagle oczyma, niewinnymi ustami prosiła tak ślicznie, że się Kotowicz zrazu zapatrzył, potem wybuchnął:

— Więc dobrze, dziecino moja cudowna, pani moja najukochańsza! mówmy, jak to będzie! Bo to być musi, skoro oboje chcemy... Zrobię, co tylko każesz, pani — upadnę do nóg ojcu — przecie on pozwoli, skoro się przekona o mojej szczerzej poprawie — pani mi pomoże przekonać go — on przecie kocha panią — nie tak, jak ja, bo to niepodobieństwo! ale przecież kocha...

Składał dłonie, jak do modlitwy, ocierał się o kózuszek Reni, postępując przy niej blisko chwytając nozdrzami zapach jej twarzy i włosów — nie śmiał jednak objąć jej niebronnej kibici. Dziewczyna przymrużała oczy od lubości, czuła przez skórę, że jedno nieostrożne spoj-

zenie w stronę Edwarda sprowadziłoby to, co nazywała grzechem — pocałunek. Chwiała się w pomysłach obrony — gdy zawołała nagle:

— Rozniećmy ognisko, bo rzeczywiście trochę zimno.

Z dziecinną ochotą zaczęli oboje łamać i znosić suche gałęzie, rzucać je na dogasający ogień, aż buchnął znowu wesołym snopem iskier i dymu. Patrzyli sobie teraz w oczy radośnie, zapomniawszy nagle o wszystkich przeszkodach.

— Tak, Reniu moja błogosławiona...

— Panie Edwardzie! — poprawiła, wznosząc palec strofujący.

— Zatem... pani najmiłościwsza! niech powie, niech rozkaże, co będzie chciała robić: to jest: co by robiła, gdyby już wszystko było po naszej myśli? Mieszkalibyśmy w Turowiczach — co?

Renia skinęła tylko rozkosznie powiekami.

— A może wyjechalibyśmy trochę zagranicę?

Nie do Paryża — do Włoch! Włochy cudowne są na wiosnę.

Renia brwi podniosła, chwiała głową niewyraźnie, wreszcie rzekła cicho:

— Może kiedyś... potem —

— Potem, potem! — powtórzył Edward z entuzjazmem.

Pomilczeli oboje, patrząc w płomienie.

— Ależ, panie Edwardzie! — odezwała się Renia głośno, nagle otrzeźwiona — o czym my mówimy?

— O sprawie naszej, jedynej; inne — to drobiazgi.

— Jednak rozmowa z moim ojcem, to nie drobiazg — i trzeba najpierw jakoś odwrócić... tę panią od przyjazdu.

— Prawda. Bo jeżeli Sas nie zdąży — ona może tymczasem przyjechać do Turowicz...

— A widzi pan!

Zasepili się znowu, ale już jako ściśli sprzymierzeńcy, wyteżali swe dowcipy, aby usunąć zmoreę, stającą, jeszcze raz wpoprzek ich drogi do szczęścia.

— Wie pan co?! — zawołała Renia — jedźmy do Turowicz;

— Jakto? dzisiaj? — zadziwił się Edward radośnie.

— Dzisiaj. — Jeżeli ona tam jest, pan mnie przedstawi, jako swoją żonę. — Kiedy się o tem dowie, zaraz chyba wyjedzie? — A jeżeliby chciała zostać, to powiemy, że musimy zaraz wyjeżdżać — i wyjedziemy do Kurenicz.

Edward spojrział zdumiony na Renię, której twarz wyrażała nie żartem zapal do pomysłu. Mężkiem doświadczeniem skrytykował zaraz pomysł jako niemożliwy, ale chciał się nim przez chwilę popieścić:

— Dobrze. Więc ja będę mówił do pani: Reniu, a pani do mnie przynajmniej: „mój drogi“?

Reniu, spojrzała na Edwarda z komicznym rozczarowaniem i rzekła, po krótkim namyśle:

— Nie; to głupstwo. — —

— Nie głupstwo, najukochańsza moja pani. To tylko w danym wypadku niepraktyczne, bo jakże ze służbą? ze wszystkim? I przez wzgląd na ojca pani, którego zezwolenia jeszcze nie mamy? — Ale to dowodzi, że pani wszystkie nasze sprawy uważa za wspólne: te najdroższe i te nienawistne. — Za to jestem wdzięczny do głębi serca, za to jesteś błogosławiona, moja najmilsza, najłaskawsza...

Wtem z pomiędzy dwóch pni, na które patrzył podświadomie, choć oczy miał utkwione w Renię, ujrzał

Edward podjazdowe saneczki, wiosłujące butami napowrót do ogniska.

— Licho przyniosło tych starych capów! — burknął niecierpliwie.

— A no, wołał ich pan — dodała Renia ze ślicznym, różowym dąsem.

Przygoda zamieniła się z konieczności na myśliwską. Moroz wysiadł, zbliżył się do ogniska, wziął się pod boki, przykucnął, znowu się wyprostował sprężyć się i wydał z siebie krótki pokrzyk, pośredni pomiędzy tańcem huczkiem od „kozaka“, a zapytaniem:

— Aa? — —

Ktoby go nie znał, pomyślałby, że niespełna rozum. Ale kto go znał, dostrzegł, że Moroz podczas tej gimnastyki wybadał drobnymi błyskami świdrujących oczu całe usposobienie młodych, że zgadł i wyprowadził błyskawiczne, a trafne wnioski. —

— Ot sztuka! — rzekł wreszcie — łosi niema.

— Niema? — powtórzyli Edward i Renia obojętnym echem.

— Niema. Wczoraj byli, świeżych tropów nadeptali, jak obora — *a ciapier Boh wiedaje kudy ich paniesło?*

Widząc jednak, że państwo przyjmowali tę wiadomość niewyraźnie, dodał:

— Przykażesz, panoczek, tak my z Jeusiejem jeszcze w drugą stronę *pobaczym?*

— Poczekaj, Moroz — odrzekł Kotowicz i odprowadził Renię trochę na bok.

— Jak pani każe? — polować, czy rozjechać się? — co lepsze dla naszej sprawy największej?

— Myślę. — — — Może lepiej, żeby pan zajrzał, co się dzieje w Turowiczach? — A ja pojeżdżę sobie trochę po lesie — i powrócę do domu.

— Zostawię pani Moroza.

— O, nie! Moroz niech jedzie z panem, może być tam potrzebny. Bardzo, bardzo lubię Moroza i wierzę jego radom. A wie pan, że on nas swata? — Przyjechał jesienią do Kurenicz i rozgadaliśmy się; tak mi doradził, że kiedy pana zobaczę, mam powiedzieć...

Urwała, śmiejąc się zalotnie, dużo śmielsza teraz, w obecności dwóch duchów leśnych, opiekuńczych, niż przed chwilą, gdy we dwoje była z ukochanym.

— No, co powiedział? jak? — dopraszał się Edward.

— Radził, abym tak się odezwała do pana: *chosz mienia za żonku — bieri.*

Kotowicz drgnął, wyciągnął ramiona — i znów je cofnął kurczowo, wobec oczywistego już teraz niepodobieństwa. Tylko błyszczące lubą wdzięcznością oczy oderwał na chwilę od Reni, aby spojrzeć na Moroza.

— Genialny człowiek! — — Niech pani to jeszcze powtórzy, ale od siebie!

— Powtórzę... za dziesięć dni.

— Dlaczego za dziesięć? Tak długo czekać!

— A ja ile czekałam? — odparła Renia i uśmiech jej figlarny rozpląnął się w wyrazie twarzy, który, aby opisać, trzeba by powtórzyć dzieje mocnego jej, szlachetnego kochania.

— Prawda! — mówił Edward do głębi wzruszony. — Ale co znaczy ten termin dziesięciodniowy?

— Za dziesięć dni wigilia Bożego Narodzenia — pan nie pamięta? — — Będzie u nas pan Justyn Sas i Bronisław Dowbutt, oprócz domowych. Do tego czasu może Bóg pozwoli panu wszystko urządzić i przyjechać do nas... Bo jakżeby pan ten wieczór spędził sam w Turowiczach?

— Dziękuję najdroższej pani — przyjadę.

— I wtedy, jeżeli już wszystko będzie szczęśliwie dla nas zakończone, rozmówi się pan z moim ojcem. A

gdyby nie było zupełnie skończone... to może lepiej jeszcze później? — —

— Nie, pani! To jest skończone już dzisiaj. Takie rzeczy kończą się w sercu, w duszy, nie zewnątrz nas. Zewnątrz pozostają tylko przekleństwa skutków mechaniczne, czasami nieszczęścia niepowetowane. Ale tutaj ich niema. Tamten cały świat daleki od pani — zapadł się — bo nic mnie już nie obchodzi w życiu oprócz ciebie, pani moja! To nowe życie, w zupełnie odmiennym stanie duszy. Pani to stworzyłaś, dałaś mi... Ojciec pani musi to również zrozumieć.

— Oby tak się stało; pan jest mądrzejszy odemnie, to mu wytłómaczy.

— Gdzież tam mądrzejszy! Pani jednym słowem przemienia serca ludzi! — I dopomoże mi przecie w ciągu tych dni dziesięciu?

— Niech pan będzie spokojny. — —

— A więc i szczęśliwy — prawda? Bo szczęście jest w spokoju.

— Ach, panie! te same słowa powiedział mi mój ojciec!

— Jeżeli zgodziliśmy się już raz, to dobra wróżba na moją gwiazdkę. — Do widzenia pani najdroższej, za dziesięć dni.

— Do widzenia!

XXIV.

Tęgi mróz wybrylantował okna „skarbcza“ w Kureniczach, jednak wesoło było i na zewnątrz domu, bez wiatru, i wewnątrz, bez troski. Na dzień wigilii Bożego Narodzenia Bronisław Dowbutt przyjechał do Marcelki, pono ostatni raz przed ślubem, który miał się odbyć zaraz po nowym roku. Renia, chociaż pełniła gorliwie swe obowiązki gospodyni, dzisiaj wyjątkowo skomplikowane — bo wieczerza musiała być według wszelkich tradycji, z sianem pod obrusem, z zupą migdałową i barszczem grzybowym do wyboru, z krążkami, z rybami rozlicznymi, z osuszkami, z kutią i tartym makiem — Renia chodziła dzisiaj jakby we śnie czynnym. Skupiona i cichsza, niż zwykle, zwracała uwagę swem przeistoczeniem — nie tajemniczością bynajmniej — wszyscy naokoło wiedzieli dokładnie, że Renia oczekuje dzisiaj swego losu w postaci ukochanego człowieka; podziwiali jednak, jak ona to bierze do serca gorąco, a nie traci przytem głowy. Bez chichotów, ani dąsów, bez wstydu zaściankowego, ani pychy półbogiń, szła naprzeciwko wybranego człowieka w blasku swej szczerzej piękności, w powadze czystej duszy.

Marcelka z Bronisławem, w wesołej harmonii, omawiali już szczegóły swego nowego mieszkania w Osowie, którą Bronisław brał w dzierżawę od wuja i tam wkrótce miał zamieszkać z żoną. Prowadzili więc rozmowy przeważnie tapicerskie.

Justyn Sas przygotowywał umiejętnie Antoniego Oleszę do przyjazdu Kotowicza:

— Toż bohater, panie Antoni! Tak się wyplatać w ciągu kilku miesięcy i z kłopotów pieniężnych i z sieci kobiecych nie byle kto potrafi. Założenie tutaj fabryki francuskim kapitałem! — pomysł ministeryalny i jego własny. Ja mu tego nie doradzałem.

— Pomysł dobry — przyznawał Olesza — kapitał obfity, ceny drzewa odrazu podskoczyły w okolicy, las się nie marnuje, owszem zużyje się do fabryki dużo sztuk bezwartościowych dotychczas — pomysł istotnie dobry.

— A za dwa lata będziesz dojeżdżał, panie Antoni, wązkotorówką z Turowicz do głównej linii kolei. Błoto, czy nie, zasy, czy gołoledź — będziecie mieli szyny do podróży — i fiut z przed ganku do Paryża! — Cywilizacya!

— Mnie tam rzadko będzie to potrzebne — uśmiechnął się Olesza — ale ułatwienie wielkie transportów — przyznaje.

— Edward Kotowicz stanie się chlubą naszej okolicy...

— To się dopiero okaże. Widzę, że człowiek spreżyty do interesów — bodajby równie był wytrzymały. — Ale mówimy o nim z innego stanowiska, rodzinnego. Tutaj możemy tylko mieć nadzieje na przyszłość. Bo przeszłość jest trochę zatrważająca — a najgorsza ta historia, która dotarła aż do naszych spokojnych dworów, z tą... jak ona się tam nazywa? — Mówią o tem w okolicy.

— Jakże chcesz, żeby o nim mówiono, panie Antoni? Że na kapucyna się kierował do lat trzydziestu paru? Niech sobie mówią, że miał szczęście do kobiet.

— Szczęście... szczęście — dąsał się Olesza — piękne

mi szczęście! Zapewne, znam pokusy młodości, nawet wieku dojrzałego — ależ to niebezpieczna awanturnica?

— Waryatka — orzekł Sas tak stanowczo, że Olesza zapytał ciekawie:

— Czyż w istocie?

— No, nie taka, żeby ją wiązać. Chodzi luzem, ale waryatka. A piękna bestya! — chcesz ją zobaczyć?

— Gdzie?! — zmarszczył się Olesza.

— Mam ją w kieszeni... Wyratowałem dla mojego zbioru parę fotografii od całopalenia, które Kotowicz urządził parę dni temu w Turowiczach z jej portretów, listów i pamiątek.

— Pokaż, niechże się przyjrzę tej osobliwości. — No, nie szpetna — może i piękna — tylko, mój drogi Justynie, ja przecie także widziałem trochę kobiet w życiu. — Skąd ona waryatka? To się zupełnie inaczej nazywa.

— Jak sobie chcesz, panie Antoni. Ona już dla nas *tempo passati* na wieki. Kotowicz poprostu... wyrzucił ją za drzwi.

— Jak to? skąd i kiedy?

— To widzisz, jest cała historia — Dlatego mówię, że Edward okazał się bohaterem. Wyobraź sobie na przykład, że jakaś twoja dawna flamma — no, grzesznica, ale miła — pod wpływem gwałtownej recydywy uczucia, poczuła nieprzewartą chęć ujrzenia ciebie, nawiązania porwanych nici... no, jednym słowem, że przyjechała nagle tutaj, do Kurenicz. Cóżbyś zrobił? psami byś jej nie wyszczul?

— Nie mogę tego przypuścić — odparł Olesza — bo nie znajduję żadnej podobnej w moich wspomnieniach. Jeżeli znał jakie kobiety, oprócz mojej żony, to nie dałem żadnej prawa nad sobą, nie zaciągałem względem żadnej zobowiązań, nie udawałem miłości...

— Ale mogłeś ją w niej obudzić. — No, wyobraź sobie taką sytuację. —

— Chybaby waryatka?

— A właśnie! — uchwycił skwapliwie Justyn ten cień argumentu — Cóżbyś z nią zrobił?

— Odesłałbym do szpitala. — Ale właściwie do czego zmierzasz, panie Justynie?

— Bo widzisz... Kotowiczowi zdarzył się podobny wypadek...

Olesza nasrożył się, a Sasowi pot wystąpił na skronie. Uznawszy za najlepsze wyznanie sąsiadowi całej prawdy, bał się jednak okrutnie, czy ten sposób okaże się skuteczny dla sprawy którą całym sercem popierał. Teraz nie mógł się już cofnąć.

— Zdarzyło się, że owa pani Teo, po miesiącach oddalenia, po miesiącach milczenia ze strony Edwarda, przyleciała aż tutaj...

— Dokąd?

— Na szczęście tylko do Mińska, ale z zamiarem przyjazdu do Turowicz. Prosiła już o konie...

— Teraz? niedawno?!

— Tydzień temu, właśnie kiedy Edward, po przeprowadzeniu interesów, po zerwaniu wszelkich łączników z przeszłością, zawitał z powrotem do domu, żywiąc najpiękniejsze zamiary... Byłem w Turowiczach, gdy przyszła ta depesza. Szkoda, że nie widział jego stanowczości w odepchnięciu tej nienawistnej wizyty...

Sas naszkicował jaskrawo, ale prawdziwie całą akcją Kotowicza i swoją własną. Olesza słuchał, zakrywszy czy, macerując ręką skronie. Dopiero gdy Sas przerwał, zmordowany niedługim opowiadaniem, Olesza rzekł:

— Wierzę ci, Justynie, bo nie mam prawa nawet przypuszczać, abys w tak ważnych dla nas okoliczno-

ciach prawdę osłaniał, albo żartował. Wierzę nawet, że Kotowicz zmienił się; historia jego ostatnich miesięcy tłómaczy się, przedstawia obraz gruntownej pracy nad sobą. Jednak awantura, o której się w tej chwili dowiaduję, jest groźna — bardzo żałuję, że o niej nie wiedział przed dniem dzisiejszym, w którym pan Kotowicz ma podobno przyjechać... no, wiesz zapewne?

— Wiem, naturalnie, że wiem. Ależ drogi mój! dlaczegoż ta awantura ma być tak groźna? Właśnie koniec wszystkiego na zawsze z tamtą osobą! Kotowiczowi nic tu zarzucić nie można; postąpił sobie jak najlepiej, jak najskuteczniej. —

— Tak, dzisiaj zachował się, jak należało; dawniej?... No, gdyby to nawet pominąć, któż nam zaręczy, że owa osoba nie zjawi się tu znowu? I coż będzie? wyścig tej awanturnicy z Renią o łaskawy wybór pana Kotowicza?! Ja tego nie zniosę!

Obruszył się gwałtownie.

— Na miłość Boską, panie Antoni! zastanów się spokojniej! Ja znam Edwarda, obcuje z nim od wiosny; darzy mnie przyjaźnią i mówi mi wszystko. Od chwili poznania Reni zmienił się zaraz, jakby tknięty urokiem. Od tej chwili pracował, naprawiał, dążył tylko do dnia dzisiejszego. Oderwał się od Teo, zapomniał ją, przeklął, wreszcie wyrzucił za drzwi bez wahania, ani miłosierdzia. On nigdy nie dopuści jej do siebie, ani blisko — i ona nie powróci — za to ja ci ręczę, jakem przyjaciół twój i twojej rodziny.

Gorąco i stanowczość tego oświadczenia zastanowiły Oleszę. Zapytał:

— Prawda, wszak mówisz, że ty ją ostatecznie wyprawileś z Mińska. Więc jakim sposobem? co jej powiedziałaś? co ona tobie? dobrze nie rozumiem.

— Mówiłem ci przecie, com jej naopowiadał... nie

wstydzę się tych kłamstw. Ale pomimo, że niby Kotowicz znowu wyjechał, że Turowicze mają leżeć o sto wiorst od kolei, baba upierała się jechać ze mną do domu. (Ja udawałem plenipotentą Kotowicza). „Niech odetchnę chociaż powietrzem jego domu — mówiła pompatycznie — można go przecie sprowadzić przez depeszę dla tak niezwykłego gościa“ — i różne takie paplania, że już mi zabrakło pomysłów odstraszających. Wtedy powiedziałem...

Justyn Sas powstał i chwiejąc się na nogach, aż mu się laska miotała w rękę, dokończył:

— Powiedziałem... oby prawdę! Powiedziałem, że Edward Kotowicz zaręczony jest z panną Reginą Oleszanką.

— Jak to?! jakim prawem?! — Olesza zerwał się też z krzesła.

Sas upadł lekko na oba kolana przed przyjacielem i sąsiadem:

— Mam zaszczyt prosić cię o rękę Reni dla Edwarda Kotowicza.. On cię prosi przezemnie,, a ja, stary wasz druh, wierny... ręczę ci, że on jej godzien. —

— Zmiłuj się! co wyprawiasz?! — zawołał Olesza.

Chwycił za ramiona klęczącego Sasa, uniósł z ławością na nogi i posadził znowu w fotelu.

Sas trząsł się, jak w ataku sercowym, ale głowy nie tracił. Raczej Olesza był oszołomiony, chodził po pokoju, gestykulując energicznie w niemej walce z samym sobą.

— Ha! zapytam Reni — rzekł nareszcie — o nią tu chodzi przedewszystkiem, trzeba jej rzecz całą przedstawić — ona ma instynkt pewny. — — — Reniu!

Skoro tylko drzwi od pokoju otworzył i zawołał, głos doszedł do wszystkich kątów niewielkiego „skarbcza“. W takim domu mieszkać mogła tylko rodzina, której członkowie nie mieli jedni przed drugimi tajemnic. Re-

nia, ubrana już odświętnie — bo w każdej chwili spodziewała się doniosłego przyjazdu — weszła natychmiast do pokoju ojca. Z twarzy ojca i Justyna Sasa wyczytała odrazu, o czym będzie mowa, przykneła trochę oczy w tajemnym skupieniu myśli, poprostu i odważnie usiadła na krześle.

— Może ja trochę się przejdę? — rzekł Sas, ujmując zdrową ręką za poręcz swego fotelu.

— Nie, Justynie, już ty nasz oddawna, teraz i krewiny... zostań, kiedy łaska.

Poczem Olesza łagodnie, lecz uroczyście przemówił do córki:

— Moje drogie dziecko, zgadniesz zapewne, o jakiej sprawie chcę z tobą pomówić, gdy wymienię pana Edwarda Kotowicza?

— Tak, papo.

— Mówiliśmy z tobą o nim... teraz w jego postępowaniu zaszły zmiany... korzystne. Ale i przyszedł czas, że o waszem porozumieniu należy wyrzec słowo stanowcze. Obecny tu nasz przyjaciel prosił mnie przed chwilą o twoją rękę dla pana Kotowicza... Nie wstawaj, Justynie, zmiłuj się! — nie o ceremonię chodzi, ale o rzecz — pan Kotowicz ma zaraz przyjechać i zapewne ponowi swoją prośbę. — Jakże więc ty, Reniu, zapatrujesz się na tę sprawę doniosłą?

— Ja, papo?!... — przecie papa wie?...

— No, tak — ale i ty musisz wiedzieć wszystko dokładnie, w tak stanowczej chwili. Pan Kotowicz miał, jeszcze w tym roku, inne projekty wręcz przeciwne jego dzisiejszym zamiarom.

— Wiem, papo; już ich dawno niema.

— Chcę i ja temu wierzyć. Jednak osoba, która... grała dużą rolę w jego życiu, istnieje. — — Nie możemy

wiedzieć napewno, jak przyjęła zerwanie z panem Kotowiczem i czy nie upiera się...

— Nie odjechała jeszcze?! — zwróciła się Renia żywo do Sasa.

— Ależ wyjechała! wyniosła się na zawsze! — odrzekł Sas, machając ręką i krzywiąc nosem, jakby się opędzał od perfum pani Teo.

Olesza spojrział ze zdziwieniem na córkę:

— To wiedziałaś, że ta osoba była niedawno w pobliżu?

— Tak, papusiu. Pan Edward wszystko mi wyznał wtedy, w lesie. Mieliśmy czekać, póki pan Justyn załatwi się z tą panią, a potem pan Edward miał przyjechać na wigilię... do papy. Więc teraz tak się właśnie stało — i on zaraz tu będzie.

— Dlaczegoż jednak nie wyznałaś mi wszystkiego uprzednio? — rzekł Olesza z wyrzutem.

Renia przyskoczyła do ojca, uklękła i ujmując jego rękę, okrywając je pocałunkami, mówiła tak gorąco, jak nigdy w życiu:

— Papuś najdroższy! tak się z *nim* umówiliśmy — nie chcieliśmy stanąć przed papą, zanim cała ta historia nie będzie na wieki zakończona. — — *On* tak pracował nad tem, taki teraz dobry już, porządny! taki nasz!

Olesza objął oburącz rozplómienną główkę Reni i długo się w nią wpatrywał. Uśmiechnął się wreszcie, rozrzewniony:

— Więc znaczy, że ty, Reniuś, prosisz mnie o niego?

— Tak, papusiu, tak! On jest dzielny, dobry, jedy-ny... zobaczy papa, jaki on jeszcze będzie! — —

Olesza przytulił gorąco główkę Reni do piersi. — Aby przerwać rzewność, która chwytala wszystkich za gardła, zwrócił się do Justyna:

— A więc, o czem tu dalej mówić? Bóg tak chciał, i my z Nim...

Ale Sas płakał jak bóbr. Więc Renia podeszła do niego, ujęła jego zdrową rękę w obie dłonie i śpiewała głosem najśladszym:

— Dziękuję drogiemu panu Justynowi — ja wiem, jak się on nami zajmował oddawna — mnie mówili — ja pana tak kocham!

— Nie więcej, jak ja ciebie, moja ptaszyno!

Uchwycił nachyloną główkę Reni i pocałował ją w skroń; potem jął się tłómaczyć:

— ...Bo i krewnym ci będę. — Jakżeż to? będę zaraz wujem twojej siostry, to i twoim, Reniuś... A jeszcze tak niedawno wolno mi było głaskać cię po loczkach. Pamiętasz, jakie nosiłaś loczki temu lat... cztery, pięć? — —

Renia, choć upojona szczęściem, nie zapominała o całym planie, który sobie, na wypadek szczęścia, szybko w głowie ułożyła. Przysunęła się znów do ojca, usiadła tuż przy nim.

— Mam jeszcze jedną prośbę. — —

— No mów, małeństwo — pewno nic trudnego?

— Kiedy przyjedzie pan Edward... niech już papuś nie wątpi o tem, co on powie — dobrze? On nigdy nie kłamie. Raz mi powiedział jedną rzecz trochę inaczej, niż była, ale teraz mi wytłómaczył dlaczego... bo jeszcze wielu rzeczy nie rozumiałam wtedy — — ale papuś rozumie?

— Dobrze, dobrze, moje dziecko. Oszczędzimy jego dumę, przyjmujemy go z otwartemi rękoma — o to chciałaś prosić?

— Tak, o to właśnie! Widzi papa: jak kto jest na prawdę mądry, to w dwóch słowach powie, a ja nie mogłam się wyrazić...

— Ach ty! mała dyplomatko!

Powstał, wyprostował się wspaniale, odmłodzony, promienny w oczach szczęściem swojej Reni.

-- A teraz rozejdźmy się i nie mówmy już o tem. Zaraz może nadjechać, a my wyglądamy, jak po jakiej tragedji. — —

Dzień zimowy biały już zaczynał się nasycać popielatą sinością zmroku, gdy posłyszano dźwięk metalowych grzechotek. Wszyscy mieszkańcy „skarbcza“ podążyli do przedpokoju, skąd przez drzwi oszklone widać było podwórze. Od strony traktu, nie od lasu, zajeżdżały sanie parokonne, buńczuczne barwami na szczycie chomał, brzęczące z całej uprzęży. Olesza poznał krakowskie chomała nieboszczyka marszałka, a wszyscy zrozumieli, że Kotowicz trochę się spóźnił, bo wielkimi saniami nie mógł przejechać przez las, lecz daleki łuk zatoczył po trakcie.

Zarżały oba konie.

Poszło rzenie tryumfalne po ziemi rodzonej, szerokiej. Wzięła go, szaleńca, który długo szukał szczęścia poza jej granicami, ogarnęła dziką, a dobroczynną swą mocą i przykuła do siebie. Wysłała na jego podbój wszystkie swe uroki, a postawiła na ich czele jedną dzieweczkę, przez Boga natchnioną.

XXV.

Księżyc różowy sunął nisko nad horyzontem, przeciskając się przez rozrzedzoną sośninę, wzdłuż leśnej dróżki, po której postępowali Edward i Renia, przy schyłku nocy. Dziwnie i obco wyglądał w brzasku wiosennym, zabłąkany w nieswoją niby drogę, ciężący płomiennym metalem na niebiosach lekkich, sinawych od przedświt. Twarz miał zmizerowaną, coraz bledszą od walki z dniem nadciągającym, jednak usłużną narzeczonym, bo im rozwidniał drogę po lesie i rzucał pozłote bajki na tajemniczą godzinę podkradów do głuszca.

— Ciepło, jak w lecie — odezwał się Edward.

Noc zaś kwietniowa była tylko bardzo cicha, myśliwi dobrze ubrani i pełni żaru oczekiwani.

— Miło... — odpowiedziała Renia.

Turmowicz, młody leśnik wysoki i sztywny, prowadził narzeczonych, w zastępstwie Moroza. Chociaż doskonały i pewny przewodnik do głuszca, nie miał powagi starego mistrza i nie śmiał strofować panów. Gdy jednak oni wszczynali rozmowę, on starał się ją przerwać za pomocą wyrazistego ruchu, który magnetycznie działał na ucieszenie. To stanął, to się przechylił, nasłuchując, to znów rękę wznosił dyskretnie, przypominając, że nie zwykła to przechadzka.

Zatrzymał się na dróżce, w gęstej kępie choiny. Stał jak słup, odwrócony od Edwarda i Reni, zaledwie widoczny w cieniu. Oczekiwanie, choć pełne radości,

drżące w uszach i w sercach dzwoneczkami szczęśliwymi, zaczęło dłużyć się i martwić.

Wtedy Kotowicz otoczył ostrożnym ruchem krągły kubraczek Reni i, schylając się do jej ucha, szepnął prawie bezdźwięcznym tchnieniem:

— No, pozwól, Reniuta... kochanie jedyne... przecie już tydzień tylko do naszego dnia...

Renia odsunęła się, bez oburzenia. Ujęła dłoń Edwarda, błakającą się koło jej kibici.

— Spłoszymy głuszca — rzekła bardzo cicho, jednak figlarnie.

— Czem?— pocałunkiem? — ręczę, że nie.— —

— Jak zabijesz — wtedy.

— No dobrze—zgodził się Edward i ścisnął mocno strzelbę w garści.

Turmowicz poruszył się i zwrócił twarz — zdawało się — ku narzeczonym, jak gdyby z niemą wymówką. A oni jeszcze bardziej przyciszyli głosy, lecz mówić jednak nie przestali.

— Żeby to był Moroz, nie pozwoliliby nam gadać—wionęła Renia uwagę w ucho Edwarda.

— Z pewnością. On w takich sytuacjach nie żartuje.— — Dziwi mnie to, że nie przyszedł. Widziałem go przedwczoraj; mocno kaszłał.

— Ale jeszcze zasadził dla nas wczoraj dwa głuszce. Tylko, że sam nie prowadzi, to zły znak... musi być chory...

W tej chwili Turmowicz obrócił się i rzekł prawie rozpaczliwym szeptem:

— Podejdzim cicho...

Zmiarkował bowiem, że zakochani, gdy postępują, ostrożniejsi są i mniej gadatliwi.

Po jakich stu krokach zatrzymał się znowu i, bardziej, niż pierwszej, odsłonięty, wznosił obie dłonie ostrze-

gawcze, niby dyrektor orkiestry, który przed rozpoczęciem symfonii gestem pełnym niemej siły, trzyma na uwięzi dźwięki i serca.

Jakoż pierwszy solista puszczy nie dał na się czekać. Z drżącej ciszy wyprysnął pojedynczy dźwięk, jakby go wydała uszczypnięta jedna struna bałabajki:

— Tyk.— — —

Poznali go wszyscy i zrozumieli, że głuszcę jest blisko. Błyszeli ku sobie oczyma, Renia chwyciła za rękaw Edwarda — skamienieli.

Nie poruszyło ich z miejsca bąknięcie jedno, drugie i trzecie — nie skusiło i coraz zawziętsze telekowanie. Dopiero gdy głuszcę, jakby po ataku gwałtownego kaszlu, zacyhitał spazmatycznie, troje ludzi wykonało szybko, co do każdego należało: Turmowicz, ściągnął z szyi jasny szalik, cisnął go o ziemię, podniósł kołnierz od kurty i stanął pierwszy w szeregu. Kotowicz zdjął rękawicę z prawej ręki, opatrzył broń — i stanął drugi. Renia, która już uprzednio odstąpiła strzał Edwardowi, ponieważ nie zabił dotąd ani jednego głuszca — stanęła ostatnia z rzędu.

Zaraz powtórzyła się pieśń i poniosła ludzi do skoku. Skakali po dwa tylko susy, ze względu na niedalekość śpiewaka, który grał coraz wspanialej, trochę na lewo od drogi, na wzgórzu. Gdy skręcili na lewo, w szczyry las, Kotowicz odezwał się wśród pieśni do Turmowicza:

— Na bok!

Natychmiast leśnik w bok skoczył, padł na mech i przywarował; Edward zaś z Renią, polotni podczas pieśni, nieruchomi w przerwach, skakali, jak para elfów łowczych, w jasność księżycową. Bo księżyc, który ich gonił dotąd, zaglądnął w przerwy drzew po lewej stro-

nie drogi, stanął teraz wprost przed nimi, blado złocisty, uśmiechnięty czule do miłości panującej na ziemi.

Dopadli nareszcie do drzewa, które grało. Pieśń zdawała się nie być w niem, lecz przepływać przez nie kaskadą stuków głuchych i szumów. Pieśń gadała młodym o wiosennej potędze życia; jak uderzenia serc ogromne, przyspieszały się stuki; gorące szumy były strzeliście w niebo przybliżone.— — Przez długi czas zapomnieli oboje o strzale; przyciśnięci ramię do ramienia, żyli pieśnią.

Wypatrywali jednak, w którym skłębieniu niejasnych jeszcze zarysów drzewa tkwi źródło pieśni — głuszczyca?— — Nagle, podczas szumnego szmeru, rzekła Renia do Edwarda, wskazując na wierzchołek drzewa:

— Patrz! głuszczyca w samym księżycu!

Zaledwie to rzekła, Edward przymierzył się i strzelił.— — Odłam zgęszczonego mroku zsunął się z bladej twarzy księżycy, zatrzeszczał po gałęziach i grzmotnął ciężko o ziemię.

Stali przez mgnienie cicho, przejęci doniosłością wypadku. Odezwała się Renia:

— Gdyby Moroz tu był, jakby się ucieszył!

— Prawda — biedny Moroz!

Zimna mgławica żalu, która czasem ogarnia wśród najgorętszych upojeń, przemknęła szybko przez rozigrane mózgi młodych. Edward podniósł głuszcza, leżącego bez ruchu, zważył w ręce wyciągniętej — nagle upuścił go na ziemię i przystąpił blisko do Reni:

— No, a obietnica, gdy zabiję głuszcza.— —

Ona podniosła na niego oczy wierne, nawet żartem nigdy nie kłamujące, i przymknęła je tylko z nadmiaru trwożnej lubości. Ostrożnie, ze czcią i szalem zarazem, przycisnęła Edward jej dziewicze maliny do ust swych spragnionych.

Ale z miejsca, gdzie pozostał, nadchodził Turmowicz.— Edward już prosił Renię o powrót we dwoje do kurenia, już się wybierał dać stosowny rozkaz Turmowiczowi, — gdy pośród wszczynającego się porannego świetu małych ptasząt jeden daleki głos wyższego chóru trącił uspione na chwilę szaleństwo łowieckie, w mózgach trojga ludzi.

— Drugi śpiewa za górą — szepnął Turmowicz, otwierając szeroko oczy i usta.

— To twój, Renius!— rzekł Edward.

I poniosło ich znowu przez mchy, przez kręte między pniami kurytarze, wzgórzem, doliną, przez ruczaj— ku nowej pieśni.

* * *

Moroz leżał, całkowicie ubrany, na łóżku w chacie leśnika Muraszki. Przybył tam późnym wieczorem, w zupełnym pogotowiu do stawienia się przed brzaskiem na pańskim kurenium, bo czuł, że, gdyby się rozebrał, mogłoby być z ubieraniem się *durnowato*. Dwa dni temu chłód nocny chwycił go za gardło i za piersi — chłodek dobry znajomy, tyloletni przyjaciel — ale tym razem zjadliwy jakiś i zdziczały, jak pies domowy, gdy się wścieknie i rzuca się na własnego pana. Moroz nie przywykł do buntowania się przeciw niemu potęg leśnych, nad którymi tak długo panował, a chorobę znał tylko ze skarg na nią cudzych; znał też i nieomylnie przeciw niej lekarstwa. Więc gdy go febra zaczęła trząść przedwczoraj na noc, napił się wódki z dzięglem i nazajutrz poczuł się oczywiście lepiej, tak dalece, że wybrał się wieczorem do lasu, aby zasadzić głuszcza dla młodych państwa, którzy zapowiedzieli na dzisiejszą noc swoją „ochotę“.

W lesie spostrzegł jednak, że nosi w sobie coś niezdrowego: w głowie szum i zawrót, w żyłach żar i niepokój. Niecierpliwiło to raczej starego strzelca, niż zatrważało. Ale gdy z *hradki* na *hradkę* przelazł, po rzuconym przez błoto chodniku z cienkich brzózek, gdzie już sto razy łatwo przechodził, dzisiaj chybił nogą i całym ciałem chlapnął obok w bagno.

*Ciało ty majo proklatoje!*¹⁾ — zawarczał sam na siebie, jakby od duszy przemawiał do ciała.

Przemokły, dzwoniąc zębami, zdołał jednak wywiązać się dokładnie z przedsięwzięcia. Ukryty w krzakach głuszczonej kniei, podслуchał jak dwa koguty zapadły na nocleg z łopotem, podobnym do bębnionego capstrzyka — jeden na wzgórzu — zapewne starzec, który już czwarty rok tam powraca — drugi za ruczajem, niżej. Oba ucięły przed snem po parę kurantów, dziwnie smutnych. — —

— *Usio mnie już hadko!*²⁾ — splunął.

Umówił się o spotkanie z Turmowiczem w chacie Muraszki, ale sam do dworu nie poszedł, tylko wysłał Turmowicza z raportem i z dokładną instrukcją, gdzie się znajdują zasadzone głuszce.

— *Idzi, Antoluk, panu powiadaj i bacz, żeby udało się. Tobie jednemu majstrem być, koliby Moroza nie stało.*

Zanocował u Muraszki, ale obiecywał sobie wstać przede dniem i do panów poskoczyć, jeżeli Bóg pozwoli. — Dlatego położył się w ubraniu, napiwszy się raz jeszcze leczniczej wódki z dziegłem.

Łóżko tak było ustawione, że Moroz widział wciąż przez okno las oblany księżycowym światłem, którego słup wchodził ukośnie do izby i opierał się wydłużonym

1) Ciało ty moje przeklęte!

2) Wszystko mi już wstretne.

odbiciem okna na podłodze. Stary miarkował, że gdy ten słup świetlny naprostuje się na łóżko, niby jasny kurytarz, prowadzący przez okno w puszcze, czas będzie wstać i pójść w błękitną przestrzeń. Tymczasem przyciągnął do siebie wszystkie szmaty, jakie namacał, i okrył się niemi, bo zimno mu było bardzo. Nie spał, oczy miał wlepione w podłogę, w jasną plamę, która powoli przypelzała do łoża. Na tej plamie odbijał się krzyż okiennych poprzeczek i miękkie cienie — może dalekich gałęzi, może rysów tak wyrazistych pełnej twarzy księżyca. W oczach Moroza mnożyły się te znaki i układały sceny znamienne jego długiego, podleśnego żywota. Widniały tam kity sosen, rozłożone płasko, jak ciemne chmurki nad horyzontem — i widma dębów, rozpierające się kurczowymi węzłami konarów — i słup brzoź lekko uwieńczone — i olch obfite kopice. Przez ciemny krzyż lało się światło sine i zimne. — —

Na ramieniu krzyża usiadł cień duży, podłużny, odęty piórami, wydłużony szyją — głuszc? nie głuszc? — — może dusza w głuszczu, skoro na krzyżu siada? — —

Bystre, małe oczy Moroza, fosforyczne gorączką, biegały od okna do podłogi, a mózg ważył przypuszczenia, czyja to dusza mogła wleźć w głuszcza? — — Przecie nie jego własna, bo ją czuł w sobie, rozkazywał za jej pomocą ciału, macał się po twarzy, dotykał strzelby, wiszącej na ścianie. — — Więc czyja to dusza? — Rybaka Halimona, który umarł kilka dni temu w lesie, nad brzegiem Ptyczy? — Nie podobna do niego; Halimon, gdyby po śmierci miał się przedzierzgnąć w ptaka, to chyba już w płacznego zórawia? — — Sądząc z podobieństwa, mogła to być dusza smolarza Daniłki, który miał nos zakrzywiony i czarną brodę, gdzieś z szyi wyrastającą, jak u głuszca.

Ale im bliżej przysuwał się słup księżycowy do łóżka, tem skłonniejszy był Moroz do przypuszczenia, że to jego dusza wlaża w głuszca, a przynajmniej wleźć w niego gotowa, gdy księżyc spojrzy mu pełną twarzą w oczy. A jeżeli tak będzie to Moroz jako osoba ludzka przestanie istnieć.

Nie przyzywał śmierci, ale i nie bał się jej nadto. A nawet myślał teraz, czy nie lepiej zejść z tego świata w pełni sił i talentów, niż samego siebie przeżyć. Do przeszłego roku był zdrow i sprawny, jak temu pół wieku, gdy zaczynał swój zawód leśny. Pod tę wiosnę zaś coś go zaczęło toczyć wewnętrznie — starość, czy choroba?—jedno licha, które wywoływało w nim odrazę do własnej osoby:

— *Cielo ty majò proklatoie!*

Gdy kto wpada w błoto, zamiast utrzymać się na kładce, i nie może sam zameldować głuszca, — tak on już nie inaczej, tylko *cielepiej*.¹⁾ I nie Morozem mu być, najpierwszym z łowczych, osaczników i wabicieli, lecz chyba weteranem na łaskawym chlebie...

— Nie dla mnie to! pora *iść w proczki* od świata.

I myślał stary, że jednak był kimś na świecie w obrębie swej działalności—niemałym—do trzydziestu tysięcy dziesięcin leśnego państwa; że życia nie zmarnował, służąc ojcom do rycerskich zabaw, hodując zwierza, tropiąc kłusownika, — a nakłaniając synów do trwania przy ojcowiznie. Uśmiechał się do wyniku swych zamysłów i chytrych przebiegów: ot, pan nie sprzedał obcym ludziom Turowicz i żeni się z Hrenią, żonką zdrową i dobrą. *Daj im Boh usio szcástliwoje na wieki!* Więcej Moroz nie zdoła—pora mu umierać.

Gdy tak zagłębiał się długo w porachunki życia,

¹⁾ Niedolega.

księżyc tymczasem okrążył chatę i słupem błękitnego płomienia uderzył prosto w łożo chorego. Zerwał się strzelec na nogi, pas na biodrach obcisnął, narzucił czapkę, poczuł się rzeźkim, jak za dobrych czasów, otworzył okno i lekko, ochoczo, wybrał się przez nie w puszcze.

Owionął go chłód przedziwny, nasycony wiosenną żywicą i taka lotność wstąpiła mu w nogi, że nie przebierając niemi, sunął przez las do wiadomego miejsca, gdzie zasadzony był wielki głuszc na wzgórzu. Księżyc, jak przewodnik, mknął przed nim wierzchołkami sosen.

Teraz wiedział Moroz napewno, że jego dusza jest nie w nim samym, nie w piersi pod szarą kurtą, lecz przed nim w księżycowym pasie, który unosi ją w górę i w dal, a ciało podąża za duszą, lekko wprawdzie, lecz trochę opodal. Było to dziwne z początku i straszne, ale stało się wkrótce czemś naturalnem, choć niesłychanem. Tak już ma być: dusza Moroza płynie po promieniu i osadzi się w grającym głuszcu.

Oto już w nim teleka. — —

Wierny prawidłom sztuki, Moroz przystanął i czekał, aż się rozegra pieśń cała.

A gdy wypłynęła z ogromnej ciszy, Moroz, który ją znał od lat tylu, zrozumiał, co głuszc dzisiaj gada:

— Tak — tak — na wiek, na wiek — zamieszkaż w urocyszczu Moroziszczu. — —

— *Taho mnie tołko i treba!* ucieszył się stary, skacząc ochoczo do swego losu, podczas czyhania.

Skakał po mchu, z lekkością nadprzyrodzoną — wiadomo: cień bez duszy! — i wysłuchiwał w skoku, co mu opowiadał śmiertelny jego głuszc.

A głuszc, poganin, śpiewał tylko o radości życia w wybuchu wiosny i w zachwycie kochania. Choć wziął w siebie ludzką duszę, nie pamiętał nauk o życiu ziemskim; wielbił tylko chwilę rozkoszy, zapominał o jej

następstwach. A może przeczuwał, że wiek człowieka, czy ptaka, nie przepada dla wszechżycia — i czekał odważnie szczytnej chwili umierania, chwili przemiany. —

Cień Moroz, w doczesnej postaci strzelca, dążył jednak do urzeczywistnienia swych ziemskich zamiarów i dochodził do głuszcza, który grał na wzgórzu, w księżycu. Ujrzał go, rozpoznał dokładnie na złocistej aureoli. Nie był to Halimon, ani smolarz Daniłko, lecz on sam, Moroz, z głowy zupełnie podobny, tylko w ptasim najbogatszym ubiorze, w kołnierzu starczym, siwym, z łańcuchem pawich orderów na piersi. — Czy sam grał z wnętrza gardzieli, czy tylko, drżąc piórami, słuchał, jak pieśń płynie przez drzewo, przez okolicę, przez całą ziemię — śmiertelnie luba? — —

Ujrzał Moroz, że pan i panienska stoją pod pieśnią w skamieniałym zachwycie. Może pan nie strzeli? — może przeczuje, do jakiego głuszcza dziś doszedł, i że w nim gra dusza najwierniejszego przyjaciela? A niechaj strzeli! — myślał stary, niechaj już z jego ręki, nie z obecnej — byle odrazu — —

— Strzelaj dobrze, panoczek! — ot, zasadził się ja dla ciebie *chitreńko*, w samym księżycu...

Oczy przymknął, czekał. — Szum, jakoby wiatru leśnego, poczuł w głowie, a serce przymarło i nogi mu coś podcinało. Rękoma trzymał się jakiejś mocnej podpory — czyżby ramy okiennej? — Ale gdzież tam! kiedy to on już wyszedł z chaty Muraszki! — Cekał i czuł, przez szumy i niemoce, że jednak szkoda życia. — — —

Wtem przez las czarownie cichy, gdzie tylko pieśń wiosenna marzyła o miłości, śmierć ryknęła gromem.

— *Hospody pomituj!* — jęknął Moroz — *ubił duszu!*
Chwycił się za pierś i upadł ziemię.

* * *

Leśnik Muraszko zjawił się przed południem w Kureniczach, gdzie Kotowicz był przy narzeczonej i zameldował, że, gdy zjrzał o wschodzie słońca do izby, gdzie nocował Moroz, znalazł go leżącego na podłodze w całkowitem myśliwskim ubraniu. Budził go, cucił, ale Moroz „już nie chciał oddychać“.

Wiadomość, choć trochę oczekiwana, mocno wszystkich zasmuciła. Renia zapłakała nawet po stracie wielkiego strzelca i kochanego swata. Wypytywała leśnika o szczegóły najprostsze, — bo innych nie było — właściwie żądano tylko powtórzenia wiadomości, jakby dla stwierdzenia, czy leśnik nie bredzi.

— Więc leżał na podłodze?

— Leżał.

— Ubrany, jak do lasu?

— I w czapce. — —

— Wybierał się pewnie do nas — zauważył Edward, zwracając się do Reni.

— Pamiętasz — odrzekła — gdyś zabił swego głuszcza, żeśmy oboje naraz pomyśleli o Morozie?

— Jakby jeszcze był przy nas....

Muraszko, nie bywalec po dworach, nie umiał, jak nieboszczyk gawęda, podtrzymywać konwersacyi, przymilać się, dowcipkować, wypowiadać się w sprawach najzawilszych i zadziwiać trafnością zdania. Przyszedł do dworu z obowiązku, do którego się naturalnie poczuł, będąc pierwszym, który ujrzał powalonego Moroz. Zameldował więc krótko, odpowiedział na parę pytań i stał, milcząc. Jednak po chwili rękę za kark założył, dziwnie jakoś w bok spojrzął i przemówił niepytany:

— *Budzie jon hrać w hluszczu* — — 1).

— Kto taki?

1) Będzie on grał w głuszczu.

— Moroz.

— Co też pleciesz, Muraszko?

— A już tak. — — Też wiosny może nie będzie, bo późno, a na przyszlą będzie. — —

Uśmiechnęli się słuchacze i odprawili Muraszkę do domu, nie zastanowiwszy się nad tem, że ponury leśnik był jednym z najbliższych nieboszczyka. Moroz nocował często u Muraszki i ostatnią noc życia u niego przesnił — mógł mu też powierzyć dzisiejszej nocy swe najskrytsze nauki?

Komu zatem wypadnie w przyszłości „stanąć pod pieśnią“ w Turowickiej puszczy, gdy księżyc walczyć będzie ze świtem na niebie, niech dobrze się wsłucha w pieśń i rozważy, czy głuszczyk zwyczajny bąka i teleka, — czy czasem nie zagra w głuszczyku Morozowa dusza? — — —

K O N I E C.

Składy księgarni

Leona Idzikowskiego

w Kijowie.



MARYAN DUBIECKI.

Młodzież Polska w uniwersytecie kijowskim przed r. 1863. Z portretami dwóch ostatnich Profesorów-Polaków oraz rzadkimi dziś podobiznami współczesnych studentów.

Cena Rb. 1.

„Znany monografista wschodnich kresów Rzeczypospolitej niedawno wydał ciekawą pracę pod przytoczonym tytułem. Jest to cenny i piękny przyczynek do dziejów szkolnictwa polskiego w XIX w., mówi bowiem o uniwersytecie kijowskim jego zasługach naukowych, o świetnym gronie nauczycielskim przed r. 1863, o niemniej pięknym zastępie słuchaczy, z pośród których wyszli zasłużeni na wielu polach działalności publicznej pracownicy.

Sylwetki te, tak samo jak i cała książka, kreślone są żywo, ciepło i z prawdziwą znajomością i umiłowaniem przedmiotu, przynosząc wiele cennego i ciekawego materiału dla wszystkich, miłujących swą narodową przeszłość Polaków.

Książkę zdobi kilkadziesiąt portretów byłych wychowalców uniwersytetu kijowskiego, wśród których widzimy wiele nazwisk, zasługujących na trwałą pamięć w narodzie.

Praca p. Dubieckiego staje się cennym przyczynkiem do historii naszego życia na Kresach... Zapomnia-

na, a często, dla bardzo wielu nas, zgoła nieznana przeszłość żywo barwi się w tej książce, w której dużo jest smutku i dużo—otuchy“.

MARYAN DUBIECKI.

Z przeszłości, 1861—1862. I. Zjazd Hórodelski. II. Moje pierwsze wygnanie na stępy Kipczaku.

Cena Rb. 1.50

„Niestrudzony, zawsze w pracy swej świeży, a gorący w uczuciach, M. Dubiecki wydał pod powyższym tytułem książkę w Kijowie. Podwakroć jest to książka dla czytelnika polskiego pożądana i miła, bo obejmuje chwile drogie sercu każdego Polaka—i wydana w Kijowie, z którym naród nasz łączy tyle wspomnień i klęsk.

Książka ta jest tylko kartką z pamiętnika, wspomnieniem chwil przeżytych przed 50 laty niespełna. Obejmuje zaledwie rok wspomnień (1860—1862), ale w tym roku, jak by w wielkim zwierciadle, odbiło się całe życie narodu.

Była to dziwna jesień... (pisze Dąbiecki). Drogami, któremi szły niegdyś wpływy cywilizacyjne, wpływy polskie, płynął nieuchwytny prąd, budzący ducha narodowego w masach na wieki, zda się, uśpionych... I budzili się ludzie lepszymi, rósł w nich duch i serce, odradzało się poczucie jedności. Wiosna szczególnie i lato owego roku patrzyły na dziwne, przedtem w takiej liczbie niespotykane, zjawiska: powaśnieni od lat wielu podawali sobie dłonie; siejący zły przykład cofali się ze stromych ścieżek; starzy grzesznicy—przestali grzeszyć, Prądy, budzące żywsze uczucia społeczne, umoralniały jednostki i masy: widzieliśmy obojętnych w wierze, którzy się nawracali. Nawet uczniowie w niektórych szkołach lepiej uczyć się zaczęli. Zapał do nauki

wśród szkolnej młodzieży rósł w naszych oczach pod wpływem moralnych wstrząśnień tamtoczesnych.

Opowiadanie to proste, jasne, szczerze, jest obrazem, przed którym czytelnik staje ze wzruszeniem, ze smutkiem, ze czcią dla przeszłości i dla ludzi ówczesnego pokolenia.

Taka to książka smutna, tak szarpiąca duszę szponami przeszłości, napisana tak prosto, tak pięknie, że doprawdy, tylko z polskiej zbolącej duszy wypłynąć mogą takie myśli, uczucia i obrazy“.

MARYAN DUBIECKI.

Romuald Traugutt, i jego dyktatura podczas powstania styczniowego 1863—1864 r. Wydanie IV powiększone. Kijów, 1911.

Ruch styczniowy nie bacząc na 50 lat, które nas od niego odgradzają, wciąż jeszcze pozostaje dla pokolenia dzisiejszego poniekąd zagadką, czekając na historyka, któryby wykorzystawszy wszystkie źródła i ujawnszy go w całej rozciągłości, należycie przedstawił i nastroił dusz owoczesnych, i tło wypadków, i szczegółowy, a prawdziwy tych wypadków rozwój.

Posiadamy natomiast poszczególne, nie raz wysokiej wartości, owych czasów dotyczące monografie, a jedno z pierwszych miejsc przynależy tu świetnej pracy Maryana Dubieckiego p. t. „Romuald Traugutt“, która świeżo w nakładzie kijowskiej księgarni Leona Idzikowskiego w czwartym już wydaniu opuściła prasę.

Dotyczy ona sześciu ostatnich miesięcy powstania, bo od jesieni 1863 r. aż do zimy 64-go roku. A daje nam wizerunek jednej z najwybitniejszych tego ruchu postaci, które na swych stanowiskach zdobyły pamięć i uznanie; ale ponad temi pamiętnymi imionami urasta jedna postać górująca, o takiej mocy charakteru i siły

poświęcenia, iż w chwilach najcięższych na barkach swych unieść zdołała brzemień całe rozpaczliwego boju“.

Tak często, myśląc o owych czasach, powiadamy:—człowieka nie mieliśmy!..

W wielu wypadkach okrzyk słusznym mienić się mógł, lecz nie zawsze. Styczniowe powstanie posiadało męża niepospolitego, choć obywatelskich wyjątkowych, który umiał się wznieść ponad tłum i wypadki, zdołał sięgnąć okiem szerzej niż inni i kierować całą machiną powstańczą dłońią energiczną i twardą pół roku, a więc dłużej niż trzecią część okresu walki. Mąż ten wybitny a niezapomniany —Romuald Traugutt..

Odmiernym torem biegnie wysiłek naszych prac i naszej myśli dzisiejszej... Pomnąc wszakże, iż życie narodu nie z oderwanych i niczem niepowiązanych epizodów się składa, lecz stanowi zlewną całość, na której każda fala żłobi niezatarte ślady i że ich przeorywanie bez dokładnej znajomości gruntu, bezładną gmatwaninę stworzyć tylko potrafi — musimy uznać za pewnik niezbity, że każdy z nas posiada obowiązek przeszłość narodu dokładnie poznać i należycie wykorzystać..

Dotyczy to zwłaszcza spraw i rzeczy, które bezpośrednio na bieg wypadków dzisiejszych wpływają, których następstwa żywą krwią w tętnach współczesnego życia biją... Pod wpływem rzetelnego poznania tego „wczoraj“ nie jedno złorzeczenie na ustach naszych zamrze i nie jeden jasny promień do mózgu naszego się przedrze i sumienie... zaniepokoi.

Pamiętniki FRANCISZKA KOWALSKIEGO.

Wspomnienia 1819—1823. Wydanie drugie, zaopatrzone wstępem, życiorysem i portretem autora oraz przypisami Henryka Ułaszyna.

Cena Rb. 2.40

Przed pięćdziesięciu z górą latami na półkach świeżo wówczas założonej księgarni Leona Idzikowskiego pojawiły się dwa szczupłe tomy, noszące tytuł: „Pamiętniki Franciszka Kowalskiego“. Było to podczas zjazdu kontraktowego, rozchodziły się więc szybko, autor bowiem miał liczne stosunki i powszechnie był znany i lubiany wśród starszego pokolenia mieszkańców naszych południowych prowincyi. Dawni koledzy szkolni z Winnicy i Krzemieńca, towarzysze broni z roku 1831, chętnie czytali opowiadania p. Franciszka, przypominające im własną przeszłość. Pamiętniki obejmują bardzo krótki, zaledwie czteroletni okres czasu (1819—23), zawierając tylko wspomnienia, wyniesione ze szkół Winnickich i liceum Krzemienieckiego. Były to czasy nie zbyt dawne, znane nawet młodzieży z opowiadań ojców, chociaż więc „Pamiętniki“ mieściły niejedną szczegół ciekawy i charakterystyczny, nie obudziły one żywszego zainteresowania czytelników.

Skądinąd znowu w owej epoce myśl ogółu była zajęta bieżącymi sprawami; kwestya włościańska zaprzętała umysły, wionęły ożywcze prądy świeżego powietrza, nowe życie budziło się po trzydziestoletniej, martwej, ciężką zmorą dławiącej ciszy. Niejedna praca literacka przeszła niepostrzeżenie i „Pamiętniki“ uległy zapomnieniu. Wkrótce nastąpiły dni krwawe..., a potem znowu milczenie i cisza cmentarna...

Po pięciu dziesiątkach lat, na półkach tej samej, początkującej niegdyś, a dziś zasłużonej krajowi księgarni pojawia się po raz wtóry zapomniane nazwisko Franciszka Kowalskiego. Z podobizny, dodanej do nowego wydania, znowu spogląda na nas dobrze niegdyś znana postać autora, z podkreśconym po żołniersku siwym wąsem i tym pocziwym uśmiechem, który nie opuszczał oblicza p. Franciszka do ostatnich lat życia,

choćby koleje jego bywały nieraz smętne, a zawsze ciężkie i pracowite.

Obecnie „Pamiętniki“ nabierają poważniejszego, niż przy pierwszym się ich ukazaniu, znaczenia. Okryła je patyna ubiegłych lat kilkudziesięciu i nadała wartość dokumentu historycznego, materiału do domowych dziejów naszych prowincyi. Najmłodsze pokolenia z zajęciem przeczytają barwne, z prostotą a prawdą malowane obrazki życia szkolnego z przed lat dziewięćdziesięciu. Może nawet zbyt wyidealizowanym się wyda rodzinny stosunek, łączący nauczycieli z wychowawcami. Dla wszystkich pokoleń, które pobierały nauki już podług systemu wprowadzonego w czwartym dziesiątku lat minionego stulecia, dziwnie, niemal bajecznie wygląda ów dawny uczeń, żegnający szkołę z żalem i łzą w oku. My i młodszy nasi następcy nie doświadczaliśmy nigdy tych wzruszeń wdzięcznego serca. Żegnając nasze zakłady naukowe, opuszczaliśmy je z tem uczuciem głębokiej ulgi, jakie napełnia pierś człowieka, wypuszczonego na wolność po kilku latach, spędzonych w domu poprawy, lub karnych batalionach.

Obok wspomnień o swoich profesorach i kolegach, rysuje Kowalski sylwetki kilku współczesnych mu, chociaż o całe dziesiątki lat starszych osobistości. Występuje tu marszałek Gracyan Szaszkiewicz, znany już dawniej z opowiadań Michała Czajkowskiego. Z uśmiechem czytamy o prezesie Onufrym Szczeniowskim i jego, pomimo bardzo sędziwego wieku, dziecinnych figlach, wyrządzanych doktorowi Banki w Winnicy. Przesuwa się sympatyczna, poważna postać uczonego Aleksandra Chodkiewicza w Młynowie. W bardzo pochlebnych lecz nie przesadzonych barwach przedstawia się czytelnikowi na tle domowego życia słynny w swoim czasie Stanisław Staszyński, zwany przez swych wielbicieli Beran-

żerem Polskim. Panowała w owej epoce moda takich porównań. Mieliśmy już oddawna naszych Kornelów, Rasyńów, nawet Horacych i Wirgiliuszów, należało więc na Podolu wyszukać Beranżera; został nim przeznacny p. Doliwa, chociaż w niczem nie był podobny do francuskiego pieśniarza i nigdy nie starał się go naśladować.

Z licznych, wprost z natury kreślonych szkiców, najudatniej wysuwa się z pod pióra pamiętnikarza portret p. Piotra Jukowskiego, niezbyt dawno wówczas zaawansowanego z małego tuleczyńskiego oficjalisty na możnego dziedzica obszernych dóbr pod Winnicą.

Pierwsze lata minionego stulecia były epoką nagłego powstawania znacznych fortun, zwłaszcza na Podolu i Ukrainie. Olbrzymie majątności możnowładców, dzięki bezmyślnemu marnotrawstwu, przepychowi, wznoszącemu z dniem każdym, podróżom zagranicę, nierządowi i grze szalonej, zachwiały się w swoich posiadaniach. Nawet nad takimi monarchicznymi latyfundiami, jak Potockich, Lubomirskich, zawisła groźba ruiny, a zabrakło starostw, które zamiast być nagrodą zasług obywatelskich, płynęły z łaskawej dłoni królewskiej na wspieranie balujących, zgrywających się i romansujących potomków dawno zmarłych bohaterów. Głośne bankructwo Prota Potockiego, oddając kilkunastomilionowe dobra pod rozbiór na korzyść wierzycieli, przysparza od razu wielką ilość nowych dziedziców. Z Tuleczyna fala złota płynie obficie, bogacąc nieraz ludzi dotąd zupełnie nieznanymi, lub znanych, jako karyerzystów i rycerzy przemysłu, frymarzących sumieniem, a wiecznie żądnych grosza. Dopóki żył rozgoryczony zawodami marszałek targowicki, salony Tuleczyna zachowywały jeszcze pewne pozory powagi, lecz ze śmiercią dumnego dynastę w pałacu, który miał być „zawsze wolnych i

sześciu mieszkaniem“, objęła rządy piękna jeszcze greczynka Zofia, mając u boku Szczęsnego Jerzego, najstarszego z czterech swoich pasierbów. Bale, polowania, a przede wszystkim nieustająca, do szaleństwa doprowadzona gra w karty, zapanowały wszechwładnie. Szulerzy, awanturnicy z całego świata napływali do Tuleczyna, w nadziei sutego i łatwego obłowu. Namiętność do gry porwała nawet najporządniejszego gatunku dworaków, do których należał mistrzowsko przez pamiętnikarza narysowany p. Piotr. Grał widocznie szczęśliwie i powoli, gromadząc codziennie wygrywane sumki, w końcu przy obrachunku dostał od p. Szczęsnego klucz Braiłowski, na satysfakcyę należności. Wygląda to na bajkę, a jednak w opowiadaniu Kowalskiego niema ani jednego słowa przesady. W ten sposób p. Szczęsny Jerzy puścił w świat szesnaście milionów w bardzo niedługim czasie.

W czasie, kiedy Kowalski poraz pierwszy zawitał do Braiłowa, nowy dziedzic oddawna już opuścił dworską karierę. Był to jowialny, gadatliwy starowina, spoczywający na laurach w swojej świeżo wzniesionej rezydencji. Dom mieszkalny, szumnie pałacem zwany, obfitował we wszelkie wygody. Zwłaszcza zasobna była biblioteka, Tem bowiem niewinnem mianem ochrzcił swoją piwnicę krotochwilny gospodarz. Czerpiąc obficie z okazów w niej zawartych, zwiedzał wraz z gośćmi Węgry i Maderę, brzegi Renu i uroczą Malagę. Wieczorem zaś popijał herbatkę z *R o m u l u s e m*, wysoce wenerując dzielnego założyciela Rzymu. Pan Piotr podczas wieczornych posiedzeń chętnie opowiadał o dawniejszem wesołem życiu w Tuleczynie. Zawód publiczny ukochanego pryncypała zbywał dyskretnem milczeniem, wielbiąc natomiast bez granic jego domowe cnoty. Podnosił z zapalem dobroć i wyrozumiałość dla olbrzymiego

zastępu oficyalistów, pełniących najrozmaitsze administracyjne i dworskie poufne urzędy. „Był to prawdziwy pan, lubiący aby się dobrze działo tym, którzy dla niego pracują. Cieszyło go, jeśli obaczył jakąś wyfiokowaną gubernatorową z Humania lub Mohylowa, przyjeżdżającą do Tulczyna w paradnej karocy z zamaszystym kozakiem, cwałującym przed zaprzęgiem. To nie dziwniejszy podpanek, który swego ekonomę posadza o nieuczciwość, jeśli chudzina zdobędzie się na parę niezłych podjezdaków i lada jaką bryczynę“.

Opis kilkudniowego pobytu w Braiłowie zakańcza pierwsze dwa tomy pamiętników. Adam Pług, długo mieszkający w okolicy Tulczyna, znał dobrze Kowalskiego i twierdzi stanowczo, że zostały po nim dwa drugie tomy wspomnień i inne rękopisy niemałej wartości. Niewiadomo jakie losy spotkały spuściznę po starym pisarzu: prawdopodobnie zaginęła przed pięćdziesięciu laty.

Największą zasługą Kowalskiego jest przyswojenie naszej literaturze dzieł Moliera. Rozpoczął on tę pracę jeszcze na szkolnej ławie, zachęcony przez Felińskiego i Ludwika Kropińskiego.

Tłumaczenia Kowalskiego, zawierające prawie wszystkie utwory Moliera, ukazały się w druku w sześciu tomach, pomiędzy 1947 a 50 rokiem. Cechą ich jest szczery humor i wyborne przejęcie się duchem oryginału. Do niedawna był to jedyny, niemal kompletny zbiór prac francuskiego komedyopisarza, chociaż pojedyncze jego komedye od lat przeszło stu nie były obce polskiemu czytelnikowi. Pojawiały się one, od czasu do czasu, w przekładach autorów nowych i dawniejszych. Tłumaczyła je niegdyś księżna Urszula z Wiszniowieckich Radziwiłłowa i nawet dała je poznać swojemu otoczeniu na scenie domowego teatru w Nieświeżu.

W historii literatury do nazwiska Kowalskiego dodawanym bywa zwykle tytuł tłumacza Moliera. Ze wszech miar należy mu się to miano. Lecz w dziejach narodu znany on jest, i znany powszechnie a zaszczytnie, jako śpiewak obozowy, w chwilach spoczynku brząkający na żołnierskiej bandurze. Pełne zapału i ułańskiej tężyzny piosnki jego długo rozlegały się po najdalszych zakątkach ziem naszych. Śpiewali je po latach wielu osiwali towarzysze broni autora, nuciły młode matki nad kolebką usypiającego dziecięcia...

W najcieńszych chwilach Kowalski nie tracił fantazyi. Kiedy kapitulacja Zamościa stała się już nieuchronna, Maurycy Gosławski śpiewa rozgoryczony:

Z załamaną w żalu dłonią,

Wy czekacie tam u wrót,

A nas w więzach stąd pogonią,

Gdzieś pod jarzmo, gdzieś pod knut!

Nasz pan Franciszek nawet wtedy nie daje się pokonać boleści i jest pewny, że bieda minie i

...siądziemy znów na szkapy.

Z wyżyn Watykanu padły groźne wyrazy, potępiające ruch ówczesny. Kowalski, chociaż gorliwy katolik, nie bardzo się tem trapi i przesuując na bakier amarantową czapkę, dodaje otuchy kolegom:

...dalej zuchy,

Niech nam Bulla głowy ścina,

Wszyscy święci są piecuchy,

Prócz świętego Saturnina!

Najwyższej popularności dosięgła śpiewka: „Tam na błoniu błyszczy kwiecie“. Stała się ona własnością ogółu, jak te piosnki ludowe, które pamięta każdy, często nie znając nazwiska autora.

Słyszając te pełne naiwnej prostoty słowa, przed nami staje, wywołany z pomroku lat „ułań na widecie“,

ze zwieszoną za prawem ramieniem lancą o dwubarwnej chorągiewce i „dziewczyna, jak malina“, przyrzekająca ułanowi, w razie śmierci na polu walki, pozostać mu wierną i złożyć pocałunek na cmentarnym krzyżu.

Hej, hej, gdzie te czasy, gdzie te śpiewki! Nie wiem, jakie wrażenie w młodych sercach wywołuje znana, pospolita, ośpiewana nuta, lecz nam starym, niepoprawnym marzycielom, w czasie długich, bezsennych nocy, wydaje się nieraz, że tam hen, wysoko, za czarnymi jesiennymi chmurzyskami okrywającymi niebo, brzmią, jakby na wieki zaczarowane, echa ułańskiej pobudki...

Tomasz Zawadyński.



92126

Składanie rozpoczęło 2 maja, ukończono 21 maja.

Wydrukowano w Kijowie w drukarni Jana Czokołowa, pod zarządkiem Teodozego Klimenki. W składali: Anna Jefimowna, Katarzyna Baranowska, Borys Repczun; odbijał—Dymitry Kałmykow.

Kierownik wydawniczy: Jan Gniewkowski.

92 126

Nakt

Leona Idzikowskiego w Kijowie

<i>Augustynowicz J.</i> Listy z tych czasów	2 20
<i>Filochowska H.</i> Macierzyństwo. Powieść, 2 tomy	1 80
<i>Filochowska H.</i> Kobieta w masce. Nowele	1 50
<i>Gomulicki W.</i> Sylwety i miniatury literackie. Treść: O żołnierzu tułaczku i innych pieśniach polskich.—Liryzm Deotymy.— Wielkanoc w Polsce.—Dusza Rosji.—Ksiądz Józef i ko- biety.—Gry staropolskie oraz gry przedostatniej doby.— Rozjuszony nosoróg.—Sylwetki polskie.—Rej.—Stanisław Konarski.—Teofila Glińska.—Słowacki nad oceanem.— Cyganka warszawska.—O Bogdanie Zalewskim.— O Władysławie Ordonie.—O Włodzimierzu Zagór- skaia.—O Ludwiku Jenikiem.—O Henryku Siemiradzkim.— Arytsta—odtwórca. (Władysław Walkiewicz).—Miron (Aleksander Michaux).	2 40
<i>Gomulicki W.</i> Trójliść. Nowele	1 20
<i>Grabska L.</i> (baronowa Szczepkowska). Panna Ada. Powieść	1 80
<i>Krzyżanowski J.</i> Promień Boży. Powieść	2 —
<i>Krzyżanowski J.</i> Za cudze winy. Powieść	1 50
<i>Łada J.</i> Mag. Powieść historyczna, 2 tomy	2 50
<i>Makuszyński K.</i> Perły i wieprze	1 60
<i>Nowaczyński A.</i> Było to nad Bałtykiem	1 40
<i>Ostrowski S.</i> Twierdza jutra. Powieść	2 —
<i>Paszkowski E.</i> Podniebie. Powieść	1 50
<i>Poliński A.</i> Chopin. Biografia	— 60
<i>Poliński A.</i> Moniuszko. Biografia	— 60
<i>Pruszyński hr. G.</i> Wśród ostępów poleskich	1 —
<i>Przybyszewski S.</i> Miasto	1 50
<i>Przybyszewski S.</i> Mocny człowiek. Powieść	30
<i>Romain-Rolland.</i> Beethoven. Biografia	— 50
<i>Rzewuski hr. A.</i> Jego Żarłoczna Mość... Burak	—
<i>Rzewuski hr. A.</i> Książd Maryan	—
<i>Sobańska H.</i> Grzech	20
<i>Tetmajer K.</i> Melancholia	50
<i>Wielowiejska E.</i> (Sławomir). Prometeusze. Powieść	1 60